

CHRISTIANE F (FELSCHERINOW CHRISTIANE VERA)

MY, DZIECI Z DWORCA ZOO

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy świadomie bądź nieświadomie wpłynęli na ostateczny kształt językowy tej książki.

Tłumacz

Z zapisu magnetofonowego podali do druku Kai Hermann i Horst Rieck

Przełożył Ryszard Turczyn

Tytuł oryginału

WIR KINDER VOMBAHNHOF 200

Piętnastoletnią wówczas Christiane F. spotkaliśmy w początkach roku 1978 w Berlinie, gdzie występowała jako świadek w pewnym procesie. Umówiliśmy się z nią na wywiad, który miał być uzupełnieniem naszych badań nad sytuacją młodzieży. Na rozmowę przewidywaliśmy dwie godziny. Z dwóch godzin zrobiły się dwa miesiące. Bardzo szybko z prowadzących wywiad dziennikarzy staliśmy się przejętymi słuchaczami. Z zapisu magnetofonowego tych rozmów powstała niniejsza książka. Byliśmy zdania, że historia Christiane F. więcej mówi o sytuacji wielkiej części młodzieży w naszym kraju niż najbardziej nawet starannie udokumentowany raport. Christiane F. chciała tej książki, ponieważ jak niemal wszyscy narkomani odczuwa przemożną chęć przełamania wstydlivej zmowy milczenia wokół plagi tego nałogu wśród dorastającej młodzieży. Wszyscy jej przyjaciele narkomani, którzy przeżyli, oraz rodzice poparli ten pomysł. Wyrazili gotowość udostępnienia swoich nazwisk oraz fotografii, aby podkreślić dokumentarny charakter tej książki. Ze względu na dobro rodzin podaliśmy jednak w pełnym brzmieniu tylko imiona. Załączone wypowiedzi matki Christiane oraz innych osób, z którymi się kontaktowała, mają służyć rozszerzeniu perspektywy i pomóc głębie zrozumieć istotę problemu narkomanii.

Kai Hermann, Horst Rieck

Wyjątki z aktu oskarżenia
Sądu Krajowego w Berlinie Zachodnim
z dnia 27 lipca 1977 roku

Oskarża się uczennicę Christiane F o to, że jako nieletnia, w pełni zdolna do odpowiedzialności prawnej, w okresie po 20 maja 1976 roku nabywała w Berlinie w sposób ciągły i świadomy środki oraz preparaty, podlegające rozporządzeniom ustawy federalnej o środkach odurzających, nie posiadając koniecznego zezwolenia Federalnego Ministerstwa Zdrowia

Obwiniona jest od lutego 1976 roku konsumentką heroiny. Wstrzykiwała sobie dożylnie - początkowo w dłuższych odstępach czasu, potem codziennie - około 1/4 grama heroiny 20 maja 1976 roku obwiniona osiągnęła wiek odpowiedzialności karnej.

Podczas dwóch kontroli, przeprowadzonych 1 i 13 marca 1977 roku, obwiniona zatrzymana została w hali dworca Zoo oraz dworca Kurfürstendamm i przeszukana. Znaleziono przy niej odpowiednio 18 oraz 140,7 mg substancji zawierającej heroinę.

Ponadto 12 maja 1977 stwierdzono, iż jest w posiadaniu opakowania ze staniolu z 62,4 mg substancji zawierającej heroinę. Znaleziono też przy niej przybory, używane przez narkomanów do iniekcji. Analiza wykazała na nich pozostałości substancji z zawartością heroiny. Również analiza moczu obwinionej wykazała ślady morfiny.

12 maja 1977 matka obwinionej, U.F., znalazła w osobistych rzeczach córki 62,4 mg substancji z zawartością heroiny i przesłała ją policji kryminalnej.

W toku składania wyjaśnień obwiniona podała, że jest konsumentką heroiny od lutego 1976 roku. Ponadto zimą 1976 roku zaczęła uprawiać nierząd, aby w ten sposób zdobyć pieniądze na zakup heroiny.

Rozpatrując niniejszą sprawę należy uwzględnić fakt, że obwiniona w dalszym ciągu jest konsumentką heroiny.

WYROK

Wyciąg z sentencji wyroku wydanego przez sąd w Neumünster dnia 14 czerwca 1978 roku

Wyrok w imieniu ludu w sprawie karnej przeciwko Christiane F., oskarżonej o przestępstwo przeciwko federalnej ustawie o środkach odurzających.

Oskarżoną uznaje się winną ciągłego nabywania środków odurzających oraz

przestępstwa przeciwko ustawie podatkowej. Jednocześnie sąd orzeka warunkowe zawieszenie wykonania.

Uzasadnienie:

Oskarżona do 13 roku życia nie wchodziła w konflikt z prawem. Wyższy od przeciętnej poziom inteligencji pozwalał oskarżonej rozumieć, że nabywanie heroiny jest działaniem zagrożonym karą sądową. Istnieją wyraźne dowody na to, że oskarżona była nałogową narkomanką już przed 20 maja 1976 roku (to jest przed osiągnięciem wieku odpowiedzialności karnej), nie wyłączało to jednak ani jej zdolności rozpoznania czynu, ani odpowiedzialności karnej. Oskarżona rozumiała swoją sytuację i sama próbowała kuracji odwykowej. Wynika stąd, że była w stanie rozpoznać przestępczy charakter swojego postępowania i działać zgodnie z tym rozpoznaniem, Prognoza na przyszłość jest w obecnej chwili korzystna, jakkolwiek trudno twierdzić z całą pewnością, że nie nastąpi recydywa. Dalsze poczynania oskarżonej należy uważnie śledzić przynajmniej przez najbliższe miesiące.

To wszystko było niesamowicie podniecające. Mama całymi dniami pakowała walizki i pudła. Zrozumiałam, że zaczyna się dla nas nowe życie.

Miałam wtedy sześć lat i po przeprowadzce miałam iść do szkoły. Kiedy mama bez przerwy pakowała i robiła się coraz bardziej zdenerwowana, ja prawie cały dzień siedziałam u Yólkelów. Czekałam, aż przyprowadzą krowy do obory na dojenie. Karmiłam świnię i kury i wariowałam z innymi dzieciakami na sianie. Albo nosiłam na rękach małe kotki. To było piękne lato, pierwsze, jakie przeżyłam świadomie.

Wiedziałam, że wkrótce pojedziemy daleko stąd, do wielkiego miasta, które nazywa się Berlin. Najpierw mama poleciała sama do Berlina. Chciała trochę urządzić to mieszkanie. Moja młodsza siostra, ojciec i ja poleciliśmy dopiero w parę tygodni później. Dla nas, dzieci, była to pierwsza podróż samolotem. Wszystko było niesamowicie ciekawe.

Rodzice opowiadali wspaniałe rzeczy o wielkim sześciopokojowym mieszkaniu, w którym będziemy teraz mieszkać. Mieli też zarabiać dużo pieniędzy. Mama mówiła, że będziemy miały dla siebie osobny, duży pokój. Mieli kupić bombowe meble. Mama opisywała dokładnie, jak będzie wyglądał ten nasz pokój. Pamiętam to do dziś, bo jako dziecko nigdy nie przestałam go sobie wyobrażać. W mojej wyobraźni robił się tym piękniejszy, im byłam starsza.

Jak wyglądało mieszkanie, w którym się znaleźliśmy, też nigdy nie zapomnę. Prawdopodobnie dlatego, że na początku miałam potężnego pietra przed tym mieszkaniem. Było takie wielkie i puste, że bałam się, że w nim zabłądzę. Kiedy się głośno mówiło, było niesamowite echo.

Tylko w trzech pokojach stało parę mebli. W pokoju dzieciennym były dwa łóżka i stary kredens z naszymi zabawkami. W drugim pokoju stało łóżko rodziców, a w największym stara wersalka i parę krzeseł. Takie mieliśmy warunki w berlińskiej dzielnicy Kreuzberg przy Paul-Lincke-Ufer.

Po paru dniach odważyłam się wyjść na rower na ulicę, bo tam bawiły się dzieci trochę starsze ode mnie. U nas na wsi starsze dzieci zawsze bawiły się razem z młodszymi i uważały na nie. Dzieci pod naszym blokiem od razu powiedziały: A ta tu czego? Potem zabrały mi rower. Kiedy go dostałam z powrotem, miał przebite koło i pogięty błotnik.

Ojciec spuścił mi lanie za popsuty rower. Potem jeździłam już na nim tylko po naszych sześciu pokojach.

W trzech pokojach miało być właściwie biuro. Moi rodzice chcieli założyć biuro matrymonialne. Ale biurka i fotele, o których tyle mówili, nigdy nie nadeszły. Kredens został w pokoju dzieciennym.

Pewnego dnia wersalka, łóżka i kredens zostały załadowane na ciężarówkę i przewiezione do jednego z wieżowców w dzielnicy Gropiusstadt. Zajęliśmy tam dwu i półpokojowe mieszkanie na jedenastym piętrze. Wszystkie te wspaniałe meble, o których mówiła moja mama, nawet by się nie zmieściły w tej połówce pokoju dzieciennego.

Gropiusstadt to wieżowce na czterdzieści pięć tysięcy ludzi, między nimi trawniki i centra handlowe. Z daleka wszystko wyglądało na nowe i zadbane. Ale kiedy się weszło między bloki, wszędzie śmierdziało szczynami i gównem. A to z powodu wielkiej liczby psów i dzieci mieszkających na tym osiedlu. Najbardziej śmierdziało na klatce schodowej.

Moi rodzice klęli na dzieci robotników, że zanieczyszczają klatkę. Ale one przeważnie wcale nie były temu winne. Zrozumiałam to, jak tylko poszłam pierwszy raz bawić się na podwórko i nagle mi się zachciało. Zanim wreszcie zjechała winda i dostałam się na to jedenaste piętro, zdążyłam zrobić w majtki. Ojciec zbił mnie za to. Kiedy parę razy nie zdążyłam z dołu na czas do łazienki i dostałam baty, też zaczęłam kucać gdzie popadnie, byle mnie tylko nikt nie widział. A, że z wieżowców zajrzeć można niemal w każdy kąt, klatka schodowa była najbezpieczniejsza.

Na podwórku w Gropiusstadt też byłam początkowo głupim dzieckiem ze wsi. Nie miałam takich zabawek, jak inni. Nawet pistoletu na wodę. Byłam inaczej ubrana. Inaczej

mówiłam, i nie znałam zabaw, w jakie bawiły się inne dzieci. Nie za bardzo je też lubiłam. U nas na wsi często jeździliśmy rowerami do lasu nad strumień z mostkiem. Tam budowaliśmy tamy i zamki otoczone wodą. Czasem wspólnie, czasem każdy sobie. A kiedy je patem burzyliśmy, to wszyscy wyrażali na to zgodę i była to dla wszystkich wielka frajda. Tam, na wsi, nie było też najważniejszych. Każdy mógł zaproponować, w co się bawić. Potem tak długo spieraliśmy się, aż jakiś pomysł zwyciężał. Nie było żadnej sprawy, jeśli starsi ustępowali czasem młodszemu. To była prawdziwa dziecięca demokracja.

W Gropiusstadt, w naszym bloku, szefem był taki jeden chłopak. Był najsilniejszy i miał najładniejszy pistolet na wodę. Często bawiliśmy się w piratów. On oczywiście był hersztem. A najważniejszą zasadą w tej zabawie było to, że mieliśmy wykonywać wszystko, co rozkazał.

Poza tym bawiliśmy się, bardziej przeciwko sobie niż ze sobą. Właściwie zawsze chodziło o to, żeby jakoś dokuczyć temu drugiemu. Na przykład zabrać mu nową zabawkę i zepsuć ją. Cała zabawa polegała na tym, żeby tego drugiego załatwić, a dla siebie wyciągnąć korzyść, zdobyć władzę i tę władzę demonstrować.

Najślabsi dostawali największe ciągi. Moja młodsza siostra nie była za bardzo silna, a na dodatek była trochę bojaźliwa. Ciągłe ją lali, a ja nie mogłam jej pomóc.

Poszłam do szkoły. Cieszyłam się, że idę do szkoły. Rodzice powiedzieli mi, że muszę się tam zawsze grzecznie zachowywać i robić wszystko, co każe pan nauczyciel. Uważałam to za oczywiste. Na wsi my, dzieci, miałyśmy szacunek dla każdego dorosłego. Cieszyłam się też chyba, że teraz w szkole będzie taki pan nauczyciel, którego będą musiały słuchać także tamte dzieci.

Ale w szkole było całkiem inaczej. Już po paru dniach dzieci biegały po klasie w czasie lekcji bawiąc się w wojnę. Nasza nauczycielka była kompletnie bezradna. Krzyczała tylko ciągle „siadać na miejsca”. Ale wtedy one wariowały jeszcze bardziej, a reszta się śmiała.

Zwierzęta kochałam już jako całkiem małe dziecko. W naszej rodzinie wszyscy niesamowicie lubili zwierzęta. Dlatego byłam dumna z takiej rodziny. Nie znałam drugiej, co by tak lubiła zwierzęta, i zawsze żał mi i było dzieci, których rodzice nie znosili zwierząt i które nigdy nie dostawały ich w prezencie.

Z czasem nasze dwu i półpokojowe mieszkanie zmieniło się w małe zoo. Miałam w końcu cztery myszki, dwa koty, dwa króliczki, papuzkę i Ajaksa, naszego brązowego doga, którego mieliśmy już przed przyjazdem do Berlina.

Ajaks zawsze spał przy moim łóżku. Zasypiając zwieszałam zawsze z łóżka jedną

rękę, żeby go cały czas dotykać.

Poznałam inne dzieci, które też miały psy. Z tymi rozumiałam się całkiem nieźle. Odkryłam, że poza osiedlem Gropiusstadt, w Rudow, zostały jeszcze resztki prawdziwej przyrody. Tam właśnie zaczęliśmy jeździć z naszymi psami. Bawiliśmy się na starych wysypiskach śmieci przykrytych warstwą ziemi. Nasze psy zawsze bawiły się razem z nami. „Pies myśliwski” to była nasza ulubiona zabawa. Trzeba się było gdzieś schować, podczas gdy inni przytrzymywali naszego psa. Potem pies miał znaleźć swojego pana. Mój Ajaks miał najlepszego nosa.

Inne zwierzęta zabierałam czasem do piaskownicy, a nawet do szkoły. Nasza nauczycielka wykorzystywała je jako materiał pogładowy na lekcjach biologii. Paru nauczycieli pozwoliło, żeby Ajaks był ze mną w klasie w czasie lekcji. Nigdy nie przeszkadzał. Aż do dzwonka leżał bez ruchu obok mojego krzesła.

Byłabym całkiem szczęśliwa, mając te swoje zwierzęta, gdyby z ojcem nie robiło się coraz gorzej. Mama chodziła do pracy, a on siedział w domu. Z tego biura matrymonialnego nic przecież nie wyszło. Teraz ojciec czekał na jakąś inną pracę, która by mu się spodobała. Siedział na zdezelowanej wersalce i czekał. Jego wariackie napady szału zdarzały się coraz częściej.

Lekcje mama odrabiała ze mną, jak tylko wracała z pracy. Przez pewien czas miałam trudności z rozróżnianiem liter H i K. Któregoś wieczora mama wyjaśniała mi to z anielską cierpliwością. Nie mogłam się jednak wcale skupić, bo widziałam, jak rośnie wściekłość ojca. Zawsze wiedziałam, kiedy miało się zacząć: przyniósł z kuchni małą szczotkę do zamiatania i zaczął mnie walić gdzie popadnie. Potem kazał, żebym mu wyjaśniła różnicę między H i K. Oczywiście ja już kompletnie nie kontaktowałam, dostałam znowu rżnięcie i - marsz do łóżka.

Tak właśnie odrabiał ze mną lekcje. Chciał, żebym była pilna i wyrosła na kogoś lepszego. W końcu przecież jeszcze jego dziadek miał niesamowitą forszę. Był nawet między innymi właścicielem drukarni i gazety gdzieś na terenie wschodnich Niemiec. Po wojnie NRD go wywłaszczyła. Dlatego ojciec dostawał świra, kiedy pomyślał, że mogę sobie nie dać z czymś rady w szkole.

Były takie wieczory, które pamiętam jeszcze ze wszystkimi szczegółami. Raz miałam rysować domy w zeszytach do rachunków. Miały być szerokie na sześć kratek i wysokie na cztery. Jeden dom już skończyłam i wiedziałam dokładnie, jak to trzeba robić, kiedy nagle ojciec usiadł obok. Zapytał, dokąd trzeba narysować następny domek. Ze strachu nie liczyłam krater, tylko zaczęłam zgadywać. Za każdym razem, kiedy pokazałam złą kratkę, dostawałam

w łeb. Kiedy już tylko beczałam i w ogóle nie potrafiłam nic odpowiedzieć, podszedł do fikusa. Wiedziałam już, co to znaczy. Wyciągnął z doniczki bambusowy kij podtrzymujący fikus. Potem walił mnie tym bambusem po tyłku tak długo, że aż dosłownie można było warstwami ściągać skórę.

Strach zaczynał się już przy jedzeniu. Jeśli mi coś skapnęło, od razu dostawałam w łeb. Jeśli coś przewróciłam, prał mnie po tyłku. Ledwie miałam odwagę sięgnąć po szklanę z mlekiem. Ze strachu niemal przy każdym posiłku przytrafiało mi się jakieś nieszczęście. »

Wieczorem zawsze bardzo przymilnie pytałam ojca, czy nie wychodzi. Wychodził dosyć często i my, trzy kobiety, dopiero wtedy mogłyśmy swobodniej odetchnąć. Te wieczory były tak bosko spokojne. Ale kiedy potem wracał do domu w nocy, znów mogło być nieszczęście. Przeważnie przychodził lekko podcięty. Wystarczył byle drobiazg i dostawał kompletnego świra. Mogły to być zabawki albo jakieś rzeczy z ubrania leżące nie tam, gdzie trzeba. Ojciec wciąż powtarzał, że porządek jest w życiu najważniejszy, i kiedy w nocy zobaczył jakiś nieład, zrywał mnie z łóżka i spuszczał lanie. Mojej młodszej siostrze też się coś przy tym dostawało. Potem ojciec wyrzucał nasze rzeczy na podłogę i kazał w ciągu pięciu minut wszystko posprzątać. Najczęściej nam się nie udawało i znowu dostawałyśmy rżnięcie.

Mama stała wtedy przeważnie w drzwiach i płakała. Rzadko kiedy odważyła się nas bronić, bo wtedy bił także i ją. Tylko Ajaks, mój dog, często wskakiwał między nas. Skowyczał cienko i miał bardzo smutne oczy, kiedy zaczynało się lanie. Jemu najłatwiej przychodziło doprowadzić ojca do opamiętania, bo ojciec, tak jak my wszyscy, bardzo kochał psy. Czasem krzyczał na Ajaksa, ale nigdy go nie uderzył.

Mimo wszystko czułam do ojca coś jak miłość i szacunek. Myślałam sobie, że o niebo przewyższa innych ojców. Ale przede wszystkim bałam się go. W dodatku uważałam za całkiem normalne, że tak często brał się do bicia. Nie inaczej było w domach u innych dzieci z Gropiusstadt. Czasami miały nawet formalnie sińce na twarzy, tak jak i ich matki. Byli ojcowie, co leżeli pijani na ulicy albo na naszym placu zabaw. Tak bardzo mój ojciec nie upijał się nigdy. Zdarzało się też na naszej ulicy, że z okien leciały meble, kobiety wołały ratunku i przychodziła policja. A więc tak źle znowu u nas nie było.

Ojciec ciągle czepiał się mamy, że za dużo wydaje. A przecież to ona zarabiała. Więc czasem mu mówiła, że większość idzie na jego pijackie eskapady, jego panienki i samochód. Wtedy awantura była gotowa.

Samochód, porsche, to było z pewnością to, co ojciec kochał najbardziej. Pucował go niemal codziennie, chyba, że wóz stał akurat w warsztacie. Drugiego porscha chyba w

Gropiusstadt nie było. W każdym razie na pewno drugiego bezrobotnego z porsche.

Oczywiście nie miałam wtedy pojęcia, co jest z moim ojcem i dlaczego bez przerwy mu tak odbija. Zaświtało mi to dopiero później, kiedy zaczęłam już z mamą częściej o nim rozmawiać. Stopniowo zrozumiałam to i owo. Po prostu nie dawał rady. Ciągłe chciał się wspiąć wysoko i za każdym razem spadał na pysk. Jego ojciec gardził nim za to. Dziadek ostrzegał moją mamę przed małżeństwem z takim nieudacznikiem. Bo mój dziadek miał zawsze jakieś wielkie plany w związku z ojcem. Rodzina miała znów tak świetnie prosperować jak dawniej, zanim wywłaszczono ich w NRD z całego majątku.

Gdyby nie spotkał mojej mamy, zostałby może zarządcą dóbr i miał własną hodowlę dogów. Właśnie uczył się na zarządcę, kiedy spotkał moją mamę. Potem była w ciąży ze mną, on przerwał naukę i ożenił się z nią. Pewnie w którymś tam momencie przyszło mu do głowy, że to mama i ja jesteśmy przyczyną jego porażek. Ze wszystkich marzeń został mu tylko porsche i paru zadzierających nosa kolegów.

Nie tylko, że nienawidził rodziny, on ją po prostu skreślił. Doszło do tego, że żaden z jego kolegów nie mógł się dowiedzieć, że on jest żonaty i ma dzieci. Jeśli spotykaliśmy gdzieś jego kolegów albo jacyś znajomi odprowadzali go do domu, zawsze musiałam mówić do niego „wujku”. Biciem tak mnie zaprogramował, że nigdy się nie pomyliłam. Gdy tylko zjawiali się obcy ludzie, on był dla mnie wujkiem.

Z mamą było to samo. Nie wolno jej było powiedzieć przy jego kolegach, że jest jego żoną, a już w żadnym wypadku zachowywać się jak żona. On ją chyba podawał za siostrę.

Koledzy ojca byli młodszy od niego. Mieli życie przed sobą, w każdym razie na pewno tak twierdzili. Ojciec chciał być jednym z nich. Takim, dla którego wszystko dopiero się zaczyna. A nie takim, co ma już na głowie rodzinę, której nie może nawet wyżywić. Mniej więcej tak to było z moim ojcem.

Oczywiście mając te sześć, osiem lat kompletnie nie wiedziałam, co tu jest grane. Ojciec potwierdzał tylko życiową zasadę, której nauczyłam się już na ulicy i w szkole: bić albo być bitym. Moja mama, która w swoim życiu dostała już wystarczające cięgi, doszła do takich samych wniosków. Nieraz wbijała mi do głowy: Nigdy nie zaczynaj. Ale jeśli ktoś ci coś zrobi, oddaj mu. Bij tak mocno i długo, jak potrafisz. Bo ona nie mogła już oddać.

Powoli opanowałam zabawę pod tytułem: albo masz władzę nad innymi, albo cię stłamszą. W szkole zaczęłam od najsłabszego nauczyciela. Ciągłe przerywałam mu na lekcji dogadywaniem. Reszta śmiała się teraz ze mnie. Kiedy zaczęłam tak robić także u surowych nauczycieli, zdobyłam w końcu prawdziwe uznanie w oczach całej klasy.

Nauczyłam się, jak można się przebić w Berlinie: zawsze umieć odpyskować.

Najlepiej tak, jak nikt inny. Wtedy można być szefem. Kiedy już tyle osiągnęłam niewyparzoną gębą, odważyłam się też wypróbować muskuły. Właściwie nie byłam za silna. Ale potrafiłam się wściec. A wtedy mogłam urządzić i silniejszego. Potem to się niemal cieszyłam, kiedy ktoś mi podpadł w szkole i potem spotykałam go po lekcjach. Ale najczęściej nie potrzebowałam nawet podnosić ręki. Zwyczajnie, czuli przede mną respekt.

Skończyłam osiem lat. Moim najskrytszym marzeniem było szybciej dorosnąć, być dorosła tak jak ojciec, mieć prawdziwą władzę nad innymi ludźmi. Tymczasem wypróbowywałam władzę, jaką miałam na razie.

Kiedyś tam ojciec znalazł pracę. Nie taką, co by go uszczęśliwiła, ale taką, która dawała mu pieniądze na eskapady i porscha. Z tego powodu popołudniami zostawałam w domu sama z młodszą o rok siostrą. Zaprzyjaźniłam się ze starszą o dwa lata dziewczynką. Byłam dumna, że mam starszą od siebie przyjaciółkę. Z nią czułam się jeszcze silniejsza.

Razem z moją młodszą siostrą niemal codziennie bawiłyśmy się w coś, czego się właśnie nauczyłyśmy. Wracając ze szkoły wybierałyśmy pety z popielniczek i koszy na śmieci. Wyrównywałyśmy je, wsadzałyśmy sobie do ust i paliłyśmy. Kiedy moja siostra też chciała peta, dostawała po łapach. Kazałyśmy jej robić wszystko w domu, czyli zmywać, odkurzać i tak dalej, co tam rodzice nam kazali. Brałyśmy nasze wózki z lalkami, zamykałyśmy drzwi na klucz i szłyśmy na spacer. Zamykałyśmy ją na tak długo, aż zrobiła wszystko, co trzeba.

W tym czasie, to znaczy kiedy miałam z osiem, dziewięć lat, w Rudow otworzyli szkółkę jeździecką. Najpierw byliśmy wszyscy wkurzeni, bo zagrodzili i wykarczowali przy tym właściwie ostatni kawałek prawdziwej natury, gdzie mogliśmy uciekać z naszymi psami. Ale potem zupełnie nieźle dogadywałam się z tymi ludźmi ze szkółki i zaczęłam pomagać w stajni i przy koniach. Za to wolno mi było parę kwadransów na tydzień jeździć za darmo. Uważałam, że to genialnie.

Uwielbiałam te konie i osła, którego mieli. Ale w jeździe konnej fascynowało mnie raczej coś innego. Znowu mogłam udowodnić, że mam siłę i władzę. Koń, na którym jechałam, był silniejszy ode mnie. Ale mogłam podporządkować go swojej woli. Jeśli zdarzyło mi się spaść z konia, zaraz dosiadałam go z powrotem. Tak długo, aż koń znowu mnie słuchał.

Z tą robotą w stajni nie zawsze wychodziło i wtedy musiałam mieć pieniądze, żeby pojeździć chociaż z piętnaście minut. Kieszonkowe dostawałyśmy rzadko, więc zaczęłam trochę oszukiwać. Podwędzałam mamie drobniaki i wynosiłam ojcu butelki od piwa, żeby dostać zastaw.

Mając gdzieś tak dziesięć lat zaczęłam też kraść. Kradłam w supermarketach. Rzeczy, jakich normalnie nie dostawaliśmy. Przede wszystkim słodycze. Prawie wszystkie inne dzieci mogły jeść słodycze. Mój ojciec mówił, że od słodyczy psują się zęby.

W Gropiusstadt człowiek uczył się po prostu automatycznie robić to, co zabronione. Na przykład zabroniona była zabawa we wszystko, co było fajne. Właściwie wszystko było zabronione. W Gropiusstadt co krok stoją tabliczki. Te tak zwane tereny parkowe między wieżowcami to przecież parki tabliczek. Większość z nich zabrania oczywiście czegoś tam dzieciom.

Potem przepisywałam sobie napisy z tabliczek do pamiętnika. Pierwsza tabliczka była od razu na drzwiach klatki schodowej. Po klatce i w najbliższym otoczeniu domu dzieciom wolno było właściwie chodzić tylko na paluszkach. Zabawa, bieganie, jazda na wrotkach i na rowerze - zabronione. Dalej trawniki i w każdym rogu tabliczka „Nie deptać trawników”. Takie tabliczki stały przy byle kawałku zieleni. Nawet z lalkami nie wolno nam było rozłożyć się na trawniku. Była też taka maciupieńka grządka z różami i obok wielka tabliczka: „Teren zielony pod ochroną”. Pod tym od razu numer paragrafu, z którego człowieka ukarzą, jak za blisko podejście do tych nędznych różyczek.

Mogliśmy więc chodzić tylko na plac zabaw. Każde parę bloków miało swój plac zabaw. Składał się on z zasiekanej piaskownicy, paru rozwalonych drabinek do wspinania się i oczywiście wielkiej tablicy. Tablica była w prawdziwej, żelaznej gablocie ze szkłem, a przed szybą miała kraty, żebyśmy nie mogli nic z tymi idiotyzmami zrobić. Na tablicy było napisane „Regulamin placu zabaw”, a pod spodem, że dzieci powinny „wykorzystywać go do wypoczynku i zabawy”. Z tym, że nie wolno nam było „wypoczywać” wtedy, kiedy mamy na to ochotę. Bo następne zdanie było grubo podkreślone „...w godzinach od 8⁰⁰ do 13⁰⁰ i od 15⁰⁰ do 19⁰⁰”. Więc po powrocie ze szkoły nici z wypoczynku.

Mnie i siostrze właściwie w ogóle nie wolno było tam być, bo według tablicy dzieci mogły się bawić „wyłącznie za zgodą i pod nadzorem osoby uprawnionej do opieki nad dzieckiem”, i to też możliwie cichutko: „szczególnie należy uważać, aby nie zakłócać spokoju innym mieszkańcom osiedla”. Grzecznie rzucać do siebie gumową piłką, to jeszcze od biedy było wolno, bo poza tym: „Gry typu sportowego są niedozwolone”. Żadne tam dwa ognie czy piłka nożna. Chłopakom było z tym szczególnie ciężko. Wyładowywali rozpierającą ich energię na urządzeniach do zabaw, ławkach i oczywiście tablicach z zakazami. Sporo forsy musiało iść na odnawianie poniszczonych tablic.

Nad przestrzeganiem zakazów czuwają dozorczy. Dość szybko miałam przechlapane u naszego cecia. Po przeprowadzce do Gropiusstadt pierońsko nudził mnie ten plac zabaw z

betonu i piachu z malutką blaszaną ślizgawką. Ale jednak znalazłam coś ciekawego. Studzienki w betonie, przez które spływać miała woda po deszczu. Wtedy kratki studzienek dawały się jeszcze podnieść. Potem przymocowali je na stałe. Więc podnosiłam taką kratkę i razem z siostrą wrzucałam do studzienki wszelkie możliwe śmiecie. Przyszedł dozorca i siłą zaciągnął nas do administracji. Tam musiałyśmy obie, ja miałam sześć, siostra pięć lat, podać nasze personalia. Tak jak umiemy. Zawiadomiono rodziców i ojciec miał dobry powód do lania. Nie bardzo nawet rozumiałam, dlaczego to źle, jak się zapycha odpływ. U nas na wsi nad strumieniem nie takie rzeczy się robiło i jakoś nikomu z dorosłych to nie przeszkadzało. Ale rozumiałam już mniej więcej, że w Gropiusstadt wolno się bawić w to, co przewidzieli dla nas dorośli. Czyli ślizgawka i babki w piaskownicy, i, że niebezpiecznie jest mieć własne pomysły przy zabawie.

Następne spotkanie z dozorcą, jakie pamiętam, to była już gorsza sprawa. Mianowicie wyszłam na spacer z Ajaksem, moim dogiem, i wpadłam na pomysł, żeby nazrywać trochę kwiatków dla mamy. Tak jak to robiłam na wsi prawie na każdym spacerze. Ale między blokami były tylko te nędzne różyczki. Pokrwawiłam sobie całkiem palec, żeby odłamać parę kwiatków z krzaczka. Tabliczki „Teren zielony pod ochroną” nie umiałam jeszcze przeczytać, a może po prostu nie chwyciłam, o co chodzi.

Zrozumiałam jednak natychmiast, kiedy zobaczyłam dozorcę, jak klnąc i wrzeszcząc biegnie w moją stronę przez trawnik, którego nie wolno deptać. Panicznie zlekłam się tego faceta i zawołałam - Ajaks, uważaj!

Ajaks oczywiście natychmiast nastawił uszy, zjeżyła mu się sierść na karku, cały zeszywniał i spojrzał na faceta najgroźniej, jak tylko potrafił. Dozorca wycofał się zaraz tyłem przez trawnik i odważył się znowu wrzeszczeć dopiero pod wejściem do bloku. Byłam zadowolona, ale kwiatki schowałam, bo czułam przecież, że znowu zrobiłam coś zabronionego.

Kiedy wróciłam do domu, był już telefon z administracji. Powiedzieli, że poszczułam dozorcę psem. Zamiast buziaka od mamusi, którego chciałam Wycyganić kwiatkami, dostałam rżnięcie od ojca.

Latem upał był u nas czasem nie do zniesienia. Beton, asfalt i kamienie formalnie magazynowały gorąco i wypromieniowywały je potem z siebie. Te parę anemicznych drzewek nie dawało najmniejszego cienia. A bloki doskonale osłaniały od wiatru. Nie było ani basenu, ani brodzika. Tylko fontanna pośrodku naszego betonowego placu zabaw. Czasem chlapaliśmy się w niej. Oczywiście było to zabronione i zawsze szybko nas przepędzali.

Kiedy padało, hall wejściowy w bloku był fantastycznym torem wrotkowym. Te wielkie korytarze w blokach też fantastycznie się nadawały. Ponieważ na samym dole nie było mieszkań, to hałas nikomu nie przeszkadzał. Spróbowaliśmy parę razy i faktycznie nikt się nie skarżył. Z wyjątkiem dozorczyń. Powiedziała, że od jeżdżenia na wrotkach robią się rysy w posadzce. Więc znowu nic. Z wyjątkiem rżnięcia od ojca.

Przy brzydkiej pogodzie my, dzieci, miałyśmy w Gropiusstadt fatalnie Właściwie żadne z nas nie mogło zapraszać do domu koleżanek i kolegów. Zresztą, pokoje dzieciinne były na to o wiele za małe. Prawie wszystkie dzieci dostały, tak jak my, ten najmniejszy pokój, który był właściwie połową pokoju. Kiedy padało, siadałam nieraz przy oknie i przypominałam sobie, co się dawniej robiło w czasie deszczu. Na przykład strugało się coś z drewna. Można powiedzieć, że byliśmy normalnie przygotowani na niepogodę. Przynosiliśmy sobie z lasu grube kawały dębowej kory i w czasie deszczu strugaliśmy z tego małe łódeczki. A kiedy padało za długo i nie można już było wysiedzieć, to wkładało się coś od deszczu i szło się nad strumyk, żeby wypróbować łódeczki. Budowaliśmy porty i robiliśmy prawdziwe wyścigi naszych łódek z kory.

Włóczyć się między blokami w czasie deszczu to naprawdę żadna radocha. Więc trzeba było coś wykombinować. Coś, co byłoby zabronione, że ho! i było coś takiego: zabawa windami.

Oczywiście przede wszystkim chodziło o to, żeby dokuczyć jakiemuś innemu dziecku. Łapało się takiego, zamykało w windzie i naciskało wszystkie musiał wlec się aż na samą górę z przystankiem na każdym piętrze. Ze mną też często tak robili. Akurat kiedy wracałam z psem i spieszyłam się, żeby zdążyć na kolację. Naciskali wszystkie guziki i cholernie długo trwało, zanim dojechałam na jedenaste piętro, a Ajaks strasznie się wtedy denerwował.

Fatalnie było, jak robiło się to komuś, kto się spieszył, bo mu się chciało siusiu. Biedak lał w końcu do windy. Ale jeszcze gorzej było, jak zabrało się dzieciakowi łyżkę. Wszystkie małe dzieci wychodziły zawsze na podwórko z łyżką. Bo tylko długą, drewnianą łyżką mogliśmy dosięgnąć guzików w windzie. Więc bez łyżki człowiek był kompletnie załatwiony. Jeśli się ją zgubiło albo inne dzieciaki ją zabrały, trzeba było zasuwać na jedenaste piętro na piechotę. Bo inni oczywiście nie mieli zamiaru pomóc, a dorośli myśleli, że chcemy się dostać do windy tylko po to, żeby się nią bawić i ją zepsuć.

Windy psuły się często i nie byliśmy tu bez winy. Robiliśmy sobie prawdziwe wyścigi wind Wprawdzie jeździły jednakowo szybko, ale było kilka sposobów, żeby zaoszczędzić parę sekund. Drzwi zewnętrzne trzeba było zamknąć szybko, ale z dużym wyczuciem. Bo jak się je zatrasnęło za gwałtownie, to zamiast się zamknąć odskakiwały na parę milimetrów.

Drzwi w środku zasuwwały się automatycznie, ale jeśli pomogło się rękami, to zamykały się szybciej. Albo się psuły. Byłam dość dobra w tych wyścigach.

Wkrótce te nasze 13 pięter przestało nam wystarczać. Poza tym dozorca bez przerwy deptał nam po piętach. Więc w naszym bloku grunt coraz bardziej palił nam się pod nogami. Ale wchodzenie do innych bloków było dzieciom surowo zabronione. Nie było się zresztą jak dostać, bo nie mieliśmy klucza od drzwi do klatki. Ale było też drugie wejście. Na meble i inne duże przedmioty. Zawsze było zamknięte kratą. Odkryłam, jak można się przez nią przecisnąć. Najpierw głowa. Naprawdę trzeba było mieć sposoby, żeby tak kręcić głową, aż się ją wreszcie przepchnęło. Resztę zawsze dało się jakoś przecisnąć. Tylko grubasy nie dawały rady.

W ten sposób otworzyłam drogę do prawdziwego windowego rajy. Do takiego trzydziestodwupiętrowca z niesamowicie sprytnymi windami. Dopiero tam zobaczyliśmy, co tak naprawdę można robić z windą. Szczególnie lubiliśmy zabawę w „hopki”. Jeśli w czasie jazdy wszyscy naraz podskoczyliśmy do góry, winda stawała. Drzwi wewnętrzne się otwierały. Albo nawet od początku zostawały otwarte. W każdym razie taka zabawa w czasie jazdy była niesamowicie emocjonująca.

Wreszcie sensacyjny trick. Kiedy wyłącznik hamulca bezpieczeństwa nacisnęło się nie na dół, ale w bok, drzwi wewnętrzne były otwarte nawet w czasie jazdy. Dopiero wtedy było widać, jak szybko te windy jeżdżą. Beton i drzwi mijały nas na przemian jak szalone.

Prawdziwą próbą odwagi było nacisnąć guzik alarmu. Zaczynał wtedy dzwonić dzwonek, a z głośnika odzywał się głos dozorca. Wtedy trzeba się było zmywać. W takim trzydziestodwupiętrowym bloku człowiek ma duże szansę uciec dozorczy. Bez przerwy na nas czatował, ale rzadko kiedy udawało mu się nas dorwać.

Najbardziej emocjonującą zabawą w czasie deszczu była zabawa w piwnicach. Tego też nie wolno nam było robić pod żadnym pozorem. Jakoś tam odkryliśmy drogę do piwnic w bloku. Każdy lokator miał tam swój boks z drucianej siatki. Siatka nie dochodziła do sufitu. Górą można więc było przeleźć. Zaczęliśmy bawić się tam w chowanego. Nazywało się to „chowany na całego”. Czyli, że można było wszędzie włązić, żeby się schować. Mieliśmy przy tym niesamowitego cykora. Niesamowicie było już przez samo siedzenie wśród nieznanymi przedmiotów w niezbyt jasnym świetle. Do tego strach, że ktoś może przyjść. Czuliśmy przecież, że robimy coś najbardziej zabronionego ze wszystkich rzeczy.

Potem zaczęliśmy się bawić, kto znajdzie najfajniejszą rzecz w tych boksach. Zabawki, stare kłopoty czy ubrania, które zaraz na siebie zakładaliśmy. Oczywiście potem nie pamiętaliśmy dokładnie, co skąd zabraliśmy, więc wrzucało się to z powrotem

gdziekolwiek. Nikt nas nigdy nie przyłapał. W ten sposób człowiek automatycznie się uczył, że wszystko, co wolno, jest potwornie nudne, a ciekawe tylko to, co zabronione.

Centrum handlowe naprzeciwko naszego bloku też było czymś w rodzaju mniej lub bardziej zakazanego terenu. Mieli tam zupełnie wściekłego dozorcę, który nas ciągle przeganiał. Najbardziej się wściekał, kiedy przechodziłam z psem. Twierdził, że to przez nas ten brud na jego terenie. Rzeczywiście było tam obrzydliwie, jak się tak dokładniej przyjrzeć i pociągnąć nosem. Jeśli idzie o sklepy, to jeden był elegantszy, przyjemniejszy i nowocześniejszy od drugiego. Ale pojemniki na śmieci na tyłach zawsze były przepełnione i śmierdziały. Co chwila człowiek wlaź w roztopione lody albo psie gówno, potykał się o puszki po coli i piwie

Dozorca musiał to wszystko wieczorem sprzątnąć. Nic dziwnego, że przez cały dzień czatował, żeby przyłapać kogoś na śmiecienu. Ale tym ze sklepu, co wysypywali śmiecie obok pojemników, nie mógł nic zrobić. Do podpitych chuliganów, którzy rzucali na ziemię puszki po piwie, nie miał odwagi podejść. A babcie z pieskami też nie dały sobie nic powiedzieć. No więc całą tę swoją wściekłość wyładowywał na dzieciach.

W sklepach też nas nie lubili. Kiedy któreś z nas dostało jakieś kieszonkowe albo w ogóle wykombinowało skądś pieniądze, zaraz szło do sklepu kawowego, gdzie były słodycze. A reszta oczywiście za nim, bo była to mała sensacja. Sprzedawczynie okropnie się denerwowały, kiedy do sklepu wlaźła gromada dzieci i zaczynały się narady, co bytu kupić za te parę groszy. Zaczęliśmy przez to nienawidzić tych ze sklepu i byliśmy zadowoleni, jeśli któremuś z nas udało się im coś podwędzić.

W centrum handlowym było też biuro podróży, często staliśmy tam z nosami przyciśniętymi do szyby, dopóki nas ktoś nie przepędził. Na wystawie były śliczne obrazki z palmami, plażą, Murzynami i dziką zwierzyną. Pomiędzy nimi wisiał model samolotu. Wyobrażaliśmy sobie, że siedzimy w tym samolocie i lecimy na tę plażę z obrazka, i wspinamy się na palmy, z których widać lwy i nosorożce.

Obok biura podróży był Bank Handlowo-Przemysłowy. Wtedy nas jeszcze nie dziwiło, skąd taki bank wziął się akurat w Gropiusstadt, gdzie mieszkają ludzie, którzy wszyscy co do jednego pracują dla handlu i dla przemysłu. Lubiliśmy ten bank. Elegancy panowie w nienaganych garniturach nigdy nie byli wobec nas niemili. Nie byli też tak zajęci jak te panie w sklepie z kawą. U nich mogłam zmienić na trochę grubsze te drobniaki, które podwędzałam mamie ze skarbonki. Bo sprzedawczynie w sklepie z kawą dostawały białej gorączki, kiedy płaciliśmy drobniakami. A jak się grzecznie poprosiło, to za każdym razem można było dostać w banku jakieś zwierzątko-skarbonkę. Może ci mili panowie myśleli, że

potrzeba nam tyle skarbonek, bo tak pilnie oszczędzamy. Ja w każdym razie nie wrzuciłam do żadnej ani feniga. Wykorzystywaliśmy te skarbonki w kształcie słoni i świnek do zabawy w zoo w piaskownicy.

Kiedy zaczęliśmy coraz bardziej rozrabiać, zbudowali nam tak zwany „plac przygód”. Nie mam pojęcia, co tacy ludzie, którzy to planują, rozumieją przez przygodę. Ale widocznie nie nazywało się to tak dlatego, że dzieci mogą tam robić coś, co jest dla nich przygodą, tylko po to, żeby dorośli sobie myśleli, że ich dzieci robią tam jakieś zupełnie nadzwyczajne rzeczy. Wszystko to musiało kosztować z pewnością masę forsy. W każdym razie długo budowali. A kiedy wreszcie nas wpuścili, to zostaliśmy przywitani przez miłych pracowników socjalnych: No, co byście mieli ochotę robić? i takie tam. Przygoda polegała na tym, że było się cały czas pod nadzorem.

Były tam prawdziwe narzędzia, gładko heblowane deski i gwoździe. Można więc było sobie budować. A pracownik socjalny uważał, żeby żadne z nas nie przydzwoniło sobie młotkiem w palec. Jak już się wbiło gwóźdź, to koniec. Nic nie dało się już zmienić. A przecież zanim jeszcze coś było gotowe, człowiek chciał, żeby to wyglądało zupełnie inaczej.

Jednemu z tych pracowników socjalnych opowiadałam raz, jak to dawniej budowaliśmy jamy i prawdziwe drewniane chatki. Bez młotka, bez jednego gwoździa. Z jakichś tam desek i gałęzi, które się gdzieś znalazło, i każdego dnia, kiedy tam przychodziliśmy, zaczynało się od nowa coś majstrować i przerabiać. To dopiero było fajne. Na pewno mnie zrozumiał. Ale miał przecież swoje obowiązki i przepisy.

Na początku mieliśmy jeszcze jakieś pomysły, w co by się tam bawić. Raz chcieliśmy się bawić w rodzinę z epoki kamiennej i ugotować na ognisku prawdziwą zupę z groszku. Pracownik socjalny uznał pomysł za wspaniały. Ale niestety, powiedział, gotować zupę, nie, nie da rady. Może mielibyśmy chęć zbudować sobie chatkę. Za pomocą młotka i gwoździ - w epoce kamiennej.

Niedługo potem plac zabaw znowu zamknęli. Powiedzieli, że chcą go przebudować, żebyśmy mogli się tam bawić także przy złej pogodzie. Przywieźli, żelazne słupy, przyjechały betoniarki i ekipa budowlana. Wybudowali betonowy bunkier z oknami. Poważnie, normalny betonowy silos. Żaden tam domek, czy coś w tym rodzaju, tylko betonowy grzmot. Już po paru dniach szyby były powybijane. Nie wiem, czy chłopaki powybijali te szyby dlatego, że to betonowe monstrum wywoływało w nich agresję. A może to nasze miejsce do zabawy zbudowano od razu w formie bunkra, bo wiadomo było, że w Gropiusstadt wszystko zostanie natychmiast zniszczone, co nie będzie z betonu i, żelaza Potężny betonowy silos zajmował więc teraz sporą część naszego placu przygód. Potem tuż obok zbudowali jeszcze szkołę i ona

miała swój własny plac zabaw, taki z blaszaną ślizgawką, drabinkami i kilkoma pionowo wkopanymi drewnianymi palami, za którymi całkiem fajnie można się było wysuszać. Szkolny plac zabaw zajmował więc część placu przygód i był oddzielony drucianą siatką. Z placu przygód niewiele już więc właściwie zostało.

Na tej resztkę placu przygód coraz bardziej panoszyli się starsi chłopcy, których nazywaliśmy rockerami. Przyłazili zaraz po południu już trochę podpruci, terroryzowali dzieci i po prostu niszczyli. Właściwie niszczenie było ich jedynym zajęciem. Pracownicy socjalni nie bardzo się do nich palili. No więc tak czy siak plac przygód był przeważnie zamknięty.

Za to przybyła dzieciom prawdziwa atrakcja. Zrobiono mianowicie górkę do zjeżdżania na sankach. Pierwszej zimy było idealnie. Sami mogliśmy wybierać sobie trasy do zjeżdżania. Mieliśmy swoją trasę śmierci i łatwiejsze odcinki. Ci chłopcy, których nazywaliśmy rockerami, zaczęli się niebezpiecznie zabawiać. Robili łańcuch z sanek i formalnie umyślnie starali się nas rozjechać. Ale można było zawsze zjechać na inną trasę. Te dni, kiedy był śnieg, należą do moich najpiękniejszych chwil w Gropiusstadt.

Wiosną było na górze prawie tak samo fajnie. Wariowaliśmy tam ze swoimi psami i staczaliśmy się w dół po zboczach. Najfajniej było zasuwać z góry na rowerze. Te zjazdy były bombowe. Wyglądało to groźniej, niż było naprawdę. Bo nawet jak się człowiek wywalił, to upadał miękko na trawę.

Niedługo potem zakazali nam zabaw na górze. Powiedzieli, że to górka do zjeżdżania na sankach, a nie miejsce na wygłupy czy zwłaszcza jazdę na rowerze. Trawa musi odpoczywać i tak dalej. Byliśmy już w tym wieku, że kompletnie nic nie robiliśmy sobie z zakazów i dalej chodziliśmy na górkę. Więc pewnego pięknego dnia przyszli panowie z zieleni miejskiej i postawili wokół niej prawdziwe zasieki z drutu kolczastego. Daliśmy za wygraną tylko na parę dni. Potem ktoś skombinował nożyce do drutu i wycięliśmy dziurę, wystarczająco dużą, żebyśmy mogli przejść z psami i rowerami. Kiedy ją załatali, wycięliśmy znowu.

Parę tygodni później znowu zjawili się budowlańcy. Zaczęli obmurowywać, cementować i asfaltować naszą górkę, z naszej trasy śmierci zrobili schody. Prawie wszystkie zbocza przecinały asfaltowe dróżki. Na płaski wierzchołek położyli betonowe płyty. Na tor saneczkowy został jeden pas trawy.

W lecie nie było już tu czego szukać. Zimą na tym jednym jedynym torze było normalnie niebezpiecznie. Najgorzej było z wchodzeniem. Trzeba było zasuwać po kamiennych płytach i schodkach. Bez przerwy oblodzone. Rozbijaliśmy kolana, nabijaliśmy

sobie guzy, zdarzał się i wstrząs mózgu.

Po prostu wszystko w Gropiusstadt stawało się z czasem doskonalsze. Kiedy się wprowadzaliśmy, to wzorcowe osiedle nie było jeszcze gotowe. Zwłaszcza poza terenem wielkich bloków nie wszystko było skończone. W czasie niewielkich wycieczek, które mogliśmy robić sami nawet jako małe dzieci, trafialiśmy czasem na wręcz bajeczne miejsca do zabawy.

Najlepsze było pod murem, który stoi przecież niedaleko Gropiusstadt. Był tam taki pas zieleni, nazywaliśmy go laskiem albo ziemią niczyją. Mógł mieć jakieś 20 metrów szerokości i co najmniej półtora kilometra długości. Drzewa, krzaki, trawa taka, że nas zakrywała, porozrzucone deski, doły z wodą.

Tam łąziliśmy po drzewach, bawiliśmy się w chowanego, czuliśmy się jak badacze, którzy każdego dnia odkrywają nowy, nieznany kawałek dżungli. Mogliśmy tam nawet palić ogniska, piec kartofle i wysyłać sygnały dymne.

W końcu jednak zauważyli, że bawią się tam dzieciaki z Gropiusstadt i, że im fajnie. Więc znowu zjawily się ekipy i uprzętnęły teren. Potem ustawili tablice z zakazami. Nic już nie było wolno, autentycznie wszystko wzbronione: jazda na rowerze, wdrapywanie się na drzewa, puszczenie psów bez smyczy. Policjanci, którzy ze względu na mur ciągle się tam kręcili, sprawdzali, czy nikt nie łamie zakazów. Nasza „ziemia niczyja” była teraz rzekomo rezerwatem ptaków. Niedługo potem zrobili tam wysypisko śmieci.

Była jeszcze taka stara góra śmieci, przysypana ziemią i piaskiem, na której często bawiliśmy się z psami. Ją też zagrodzono przed nami najpierw drutem kolczastym, a potem wysokim parkanem, zanim zaczęli tam budować restaurację z tarasem widokowym.

Fajnie było też na paru polach, których chłopcy już nie uprawiali. Rosło na nich jeszcze zboże, chabry, maki, trawa i pokrzywy, wszystko takie wysokie, że zakrywało człowieka prawie z głową. Pola wykupiło państwo, żeby zrobić tam właśnie prawdziwe tereny wypoczynkowe. Odgradzano kawałek po kawałku. Na jednej części dawnych pól rozłożyła się szkółka jazdy konnej, na drugiej zbudowano korty tenisowe. Wtedy już właściwie w ogóle nie mieliśmy gdzie pójść, żeby wyrwać się z Gropiusstadt.

Moja siostra i ja pomagałyśmy przynajmniej w szkółce i mogłyśmy pojeździć konno. Początkowo wolno było jechać, dokąd się chciało. Potem na wszystkich ulicach i ścieżkach zabroniono konnej jazdy. Bo zrobili specjalną trasę. Taką ładniutką, z piaseczkiem, wszystko jak się należy. Musiało to masę kosztować. Trasa biegła akurat wzdłuż torów kolejowych. Od płotu do szyn było akurat tyle miejsca co na dwa konie. Tam się teraz jeździło, a obok z łoskotem przelatywały pociągi z węglem. Nie ma chyba konia, który by nie zaczął wariować,

kiedy parę metrów od niego z łoskotem przelatuje pociąg z węglem. Nasze konie w każdym razie ponosiły. Człowiek miał tylko słodką nadzieję, że szkapa nie pogna pod pociąg, i tak było mi o wiele łatwiej niż innym dzieciom, miałam swoje zwierzaki. Czasami zabierałam do piaskownicy moje trzy myszki. W regulaminie placu zabaw nie było przynajmniej nic, że „myszy wzbronione”. Kopaliśmy dla nich korytarze i jamy i wpuszczaliśmy je tam, żeby biegały.

Któregoś popołudnia jedna z myszy uciekła w trawę, której nie wolno było deptać. Nie znaleźliśmy jej już. Było mi trochę smutno, ale pocieszałam się myślą, że na pewno bardziej się jej tam spodoba niż w klatce.

Akurat wieczorem tego dnia ojciec wszedł do pokoju dziecinnego, zajrzał do klatki z myszkami i zapytał tak jakoś śmiesznie: Czemu tylko dwie? A gdzie trzecia myszka? Nie spodziewałam się niczego strasznego, kiedy tak śmiesznie zapytał. Ojciec nigdy nie lubił myszek i wciąż mi mówił, żebym je komuś oddała. Opowiedziałam mu, jak to myszka uciekła mi na podwórku.

Ojciec spojrzał na mnie jak wariat. Zrozumiałam, że kompletnie mu odbiło. Zaczął wrzeszczeć i od razu się na mnie rzucił. Bił mnie, a ja byłam unieruchomiona w łóżku i nie miałam jak uciec. Jeszcze nigdy mnie tak nie bił, i myślałam, że teraz zatłucze mnie na śmierć. Kiedy potem zaczął tłuc moją siostrę, miałam parę sekund luzu i instynktownie starałam się podejść do okna. Chyba bym wyskoczyła z tego jedenastego piętra.

Ale ojciec złapał mnie i z powrotem rzucił na łóżko. Mama pewnie znowu stała z płaczem w drzwiach, ale nawet jej nie widziałam. Zobaczyłam ją dopiero wtedy, kiedy rzuciła się między ojca a mnie. Zaczęła go okładać pięściami.

A on kompletnie postradał zmysły. Bijąc mamę wypchnął ją na korytarz. Nagle bardziej zaczęłam bać się o nią niż o siebie. Poszłam za nimi. Mama próbowała uciec do łazienki i zamknąć przed nim drzwi. Ale ojciec złapał ją za włosy. W wannie jak co wieczór moczyło się pranie. Bo jak dotąd nie stać nas było na pralkę. Ojciec wsadził mamie głowę do pełnej wanny. Jakoś się wyrwała. Nie mam pojęcia, czy ojciec ją puścił, czy sama się wyrwała.

Ojciec blady jak trup zniknął w dużym pokoju. Mama wzięła z szafy płaszcz, założyła go na siebie i bez słowa wyszła z mieszkania.

Mama zaprosiła go do środka. Był o wiele młodszy niż mój ojciec, trochę ponad dwadzieścia lat. i ni stąd, ni zowąd Klaus zapytał mamę, czy nie poszłaby z nim gdzieś na kolację. Mama z miejsca odpowiedziała: - Dobrze, czemu nie. - Przebrała się i wyszła z tym człowiekiem zostawiając nas same.

Inne dzieci byłyby może niezadowolone, może by się bały o swoją mamę. Ja też chyba coś takiego czułam przez chwilę. Ale potem szczerze się cieszyłam. Mama wyglądała naprawdę na zadowoloną, kiedy wychodziła, chociaż starała się tego nie okazywać. Moja siostra czuła podobnie i powiedziała: - Mama naprawdę się ucieszyła. - Klaus zaczął teraz wpadać częściej, kiedy ojca nie było. Była niedziela, pamiętam dokładnie, i mama wysłała mnie na dół ze śmieciami. Wracając na górę zachowywałem się bardzo cicho. Może umyślnie byłam cicho. Kiedy zajrzałam do dużego pokoju, zobaczyłam, że Klaus całuje moją mamę.

Było mi dziwnie. Przekradłam się do swojego pokoju. Tych dwoje nawet mnie nie widziało, i z nikim nie rozmawiałam o tym, co zobaczyłam. Nawet z siostrą, przed którą normalnie nie miałam tajemnic.

Przy Klausie, który przychodził teraz bez przerwy, czułam się nieswojo. Ale był dla nas miły. Przede wszystkim był miły dla mamy. Znowu zaczęła się śmiać i w ogóle już nie płakała. Zaczęła też na nowo marzyć. Opowiadała o pokoju, jaki ja i moja siostra będziemy miały, kiedy przeprowadzimy się z Klausem do nowego mieszkania. Ale na razie mieszkania nie było. A ojciec się nie wyprowadzał. Nie zrobił tego nawet, kiedy byli już po rozwodzie. Rodzice spali w małżeńskim łóżku i nienawidzili się. i nadal nie mieliśmy pieniędzy.

A kiedy w końcu dostaliśmy mieszkanie, przystanek dalej metrem, w Rudow, to też nie wszystko było idealnie. Klaus był teraz niemal bez przerwy w domu i jakoś tak zawadzał. Właściwie dalej był miły. Ale po prostu stał pomiędzy mamą a mną. Wewnętrznie nie zaakceptowałam go. Nie dałam sobie nic powiedzieć temu dwudziestolatkowi. Zawsze reagowałam na niego agresywnie.

Potem zaczęły się między nami spięcia. O drobiazgi. Czasem sama te spięcia prowokowałam. Najczęściej chodziło o gramofon. Na jedenaste urodziny mama kupiła mi gramofon, takiego mikruska, miałam parę płyt, disco i taka tam muzyka dla smarkaczy. No więc wieczorem nastawiałam jakąś płytę i dawałam głos do oporu, aż bębniarki pękały. Któregoś wieczora Klaus wszedł do mnie do pokoju i powiedział, żebym trochę przyciszyła. Ja nic. Przyszedł drugi raz i wyłączył. Natychmiast włączyłam z powrotem i stanęłam tak, że Klaus nie mógł sięgnąć do gramofonu. Wtedy chwycił mnie i odepchnął. Kiedy mnie chwycił, dostałam jakiegoś szału.

W czasie takich spięć mama stawała najczęściej ostrożnie po mojej stronie, i znowu było głupio, bo robiła się z tego sprzeczka między Klausem a mamą, a ja czułam się jakoś winna. Najwyraźniej było o kogoś za dużo.

To, że od czasu do czasu były spięcia, nie było jeszcze najgorsze. Gorzej było, kiedy panował spokój, kiedy siedzieliśmy wszyscy w dużym pokoju, Klaus przeglądał jakiś

magazyn ilustrowany albo kręcił przy telewizorze, a mama próbowała rozmawiać to z nami, to z nim i nic z tych wysiłków nie wychodziło. Robiło się wtedy tak jakoś niesamowicie nieprzyjemnie. Obie z siostrą czułyśmy, że jesteśmy tu całkowicie zbędne, i kiedy mówiłyśmy, że chciałybyśmy wyjść na podwórko, nikt nie miał nic przeciwko temu. Przynajmniej Klaus, jak się nam zdawało, był naprawdę zadowolony, kiedy nie było nas w domu. Dlatego przebywałyśmy poza domem tak często i tak długo, jak się dało.

Patrząc na to po tych paru latach nie mam do Klause żadnego żalu. Miał dopiero niewiele ponad dwudziestkę. Nie wiedział, co to znaczy rodzina. Nie docierało do niego, jak bardzo mama związana była z nami, a my z nią. Że właściwie potrzebowałyśmy jej przez cały ten krótki czas, kiedy się widziałyśmy, wieczorami i na weekendach. Prawdopodobnie był o nas zazdrosny, my o niego na pewno. Mama chciała być blisko i nas, i niego i znowu żyła pod presją.

Reagowałam na tę sytuację głośno i agresywnie. Moja siostra za to robiła się coraz cichsza i cierpiała. Na pewno sama nie wiedziała dokładnie, co ją dręczy. Ale coraz częściej mówiła, że chce wrócić do ojca. Dla mnie, po tym wszystkim, co przeszłyśmy z ojcem, był to kompletnie wariacki pomysł. Ale pewnego dnia on faktycznie zaproponował nam, żebyśmy się do niego przenieśli. Był jakby nie ten sam, od kiedy nie mieszkał z nami. Miał jakąś młodą przyjaciółkę, i kiedy go spotykałyśmy, zawsze był w dobrym humorze. Zrobił się niesamowicie miły. Taki właściwie był. Dał mi w prezencie doga, sukę.

Miałam już dwanaście lat, coś jakby początki biustu i w zupełnie zabawny sposób zaczęłam się interesować chłopcami i mężczyznami. Były to dla mnie dziwne stworzenia. Wszyscy brutalni. Starsi chłopcy na podwórku tak samo jak mój ojciec i na swój sposób także Klaus. Bałam się ich. Ale jednocześnie fascynowali mnie. Byli silni i mieli władzę. Byli tacy, jaką i ja bym chciała być. W każdym razie pociągała mnie ich władza i siła.

Od przypadku do przypadku zaczęłam układać sobie suszarką włosy. Nożyczkami do paznokci podciąłam je sobie z przodu i zaczesywałam na bok. W ogóle ciągle z nimi coś robiłam, bo słyszałam nieraz, że mam takie piękne długie włosy. Nie chciałam już nosić beznadziejnych dzieciennych spodni w kratkę, tylko dzinsy. Dostałam dzinsy. Koniecznie chciałam mieć buty na obcasie. Mama dała mi jakieś swoje.

W dzinsach i na wysokich obcasach prawie co wieczór łąziłam do dziesiątej po ulicach. W domu czułam się paskudnie. Ale za to swoboda, jaką miałam, wydawała mi się fantastyczna. Może nawet na rękę były mi te ciągłe sprzeczki z Klausem. To, że mogłam się sprzeczać z dorosłym, dawało mi poczucie siły.

Moja siostra nie wytrzymała tego wszystkiego. Zrobiła coś, czego nie mogłam pojąć.

Przeniosła się do ojca. Zostawiła mamę i przede wszystkim mnie. Byłam teraz jeszcze bardziej samotna. Ale dla mamy to był potworny cios. Znowu płakała. Postawiona między dziećmi a przyjacielem znów nie mogła sobie poradzić.

Myślałam sobie, że siostra prędko wróci. Ale jej się spodobało u ojca. Dostawała kieszonkowe. Opłacił jej jazdę konną i podarował prawdziwe spodnie jeździeckie. Bardzo mnie to kopnęło. Ja dalej musiałam zapracowywać na jazdę pomagając w stajni. Ale nie zawsze wychodziło i niedługo potem moja siostrzyczka w swoich eleganckich spodniach jeździła lepiej ode mnie.

Ale potem dostałam odszkodowanie. Ojciec zaprosił mnie na wycieczkę do Hiszpanii. W szóstej klasie dostałam bardzo dobre świadectwo i wytypowano mnie do gimnazjum. Zanim więc rozpoczął się nowy rozdział mojego życia, który miał się zakończyć maturą, poleciałam z ojcem i jego przyjaciółką do Hiszpanii, do Torremolinos. Urlop był pierwsza klasa. Ojciec był fantastyczny. Zauważyłam, że na swój sposób mnie kocha. Traktował mnie teraz prawie jak dorosłą. Mogłam nawet wychodzić z nimi wieczorem.

Ojciec zrobił się całkiem normalny. Miał teraz kolegów w swoim wieku i wszystkim powiedział, że był już żonaty. Już nie musiałam mówić do niego wujku. Byłam jego córką. Wyglądało na to, że jest dumny, że ma taką córkę. Jedna rzecz, typowa dla niego: urlop ustawił sobie tak, jak było wygodnie jemu i jego kolegom. Na koniec moich wakacji, i od razu na początek o dwa tygodnie spóźniłam się do nowej szkoły. Zaczęłam więc od wagarów.

W nowej szkole poczułam się całkiem obco. W klasie porobiły się już paczki, ludzie się zaprzyjaźnili. Ja siedziałam sama. A do tego przez te dwa tygodnie, kiedy ja byłam w Hiszpanii, wytłumaczono wszystkim, na czym polega system gimnazjum, co jest przecież dosyć skomplikowane dla tych z podstawówki. Pomagano im przy wyborze kierunków, na które mieli chodzić. Ja byłam zdana na siebie. W ogóle nie orientowałam się w założeniach tej szkoły. Nigdy też nie miałam się już zorientować. Nie było przecież jednego nauczyciela do wszystkich przedmiotów, jak w podstawówce, który mógł się zająć każdym z osobna. Każdy nauczyciel uczył paręset dzieci w różnych klasach i na różnych kierunkach. Jak ktoś chce zrobić maturę w takiej szkole, to musi sam wiedzieć, co i jak. Trzeba dobrowolnie zdecydować się na naukę. Trzeba coś robić, żeby dostać się potem na kursy uzupełniające. Albo ma się rodziców, którzy mówią zrób to, zrób tamto, i poganiają. A ja się w tym wszystkim po prostu nie mogłam zorientować. W szkole czułam się nie akceptowana. Reszta miała przecież fory, dwa tygodnie. W nowej szkole to bardzo dużo znaczy. Spróbowałam i tutaj starej recepty z podstawówki. Przerzywałam nauczycielom dogadywaniem, stawiałam się. Czasem, bo miałam rację, czasem tak dla zgrywu. Znowu walczyła[^]). Przeciwno

nauczycielom i szkole. Chciałam być akceptowana.

Najważniejsza w naszej klasie była jedna dziewczyna. Nazywała się Kessi. Miała już prawdziwy biust. Wyglądała na co najmniej o dwa lata starszą od nas i była też bardziej dorosła. Wszyscy akceptowali ją bez zastrzeżeń. Podziwiałam ją. Moim największym życzeniem było, żeby Kessi została moją przyjaciółką.

Kessi miała też ekstra chłopaka. Chodził do równoległej klasy, ale był starszy. Milan się nazywał. Miał co najmniej metr siedemdziesiąt wzrostu i długie, czarne, kręcone włosy, sięgające do ramion. Nosił obcisłe dżinsy i ekstrabutę. W Milanie kochały się wszystkie dziewczyny. A Kessi miała uznanie nie tylko przez swój biust i dorosły wygląd, ale również dlatego, że Milan był jej chłopakiem.

My, dziewczyny, miałyśmy wtedy całkiem konkretne wyobrażenia o świetnym chłopaku. Nie mógł chodzić w workowatych spodniach, tylko musiał mieć właśnie obcisłe dżinsy. Jak chłopak chodził w trampkach, to był dla nas głupi. Musiał mieć jakieś modne buty, najlepiej wysokie, na obcasie i z ozdobami. Pogardzałyśmy chłopcami, którzy pstrykali w klasie papierowymi kulkami czy rzucali ogryzkami jabłek. To byli ci sami, którzy na przerwie pili mleko i uganiaли się za piłką. W porządku byli tylko ci, którzy na przerwie od razu melinowali się gdzieś na papierosa. Oczywiście musieli umieć pić piwo. Do dziś pamiętam, jakie to na mnie zrobiło wrażenie, kiedy Kessi mi powiedziała, że Milan sobie zaprawił.

Ciągle myślałam, co tu zrobić, żeby poderwał mnie taki chłopak jak Milan, i chciał ze mną chodzić. Albo, to właściwie to samo, żeby taka Kessi mnie zaakceptowała. Już samo jej przezwisko „Kessi” wydawało mi się niesamowicie fajne. Chciałam coś zrobić, żeby na mnie też tak jakoś fajnie wołali.

Powiedziałam sobie, co cię obchodzą nauczyciele, których widzisz raptem przez godzinę. Grunt, żeby zaakceptowali cię ludzie, z którymi jesteś przez cały czas. Zaczęłam sobie strasznie używać na lekcjach. Z nauczycielami nie łączyły mnie przecież żadne bliższe więzy. Większości z nich było zresztą wszystko jedno. Nie mieli prawdziwego autorytetu i robili tylko dużo szumu. Jak tylko była okazja, to pyskowałam im ile wlezie. Wkrótce potrafiłam już rozhuścić całą klasę i rozpirzyć każdą lekcję. Oczywiście przynosiło mi to uznanie klasy.

Kombinowałam teraz na wszystkie sposoby, żeby mieć forszę na papierosy i wkłęcać się do palaczy. Kessi chodziła na każdej przerwie. A kiedy potem ja też zaczęłam przychodzić, zauważyłam, że Kessi coraz bardziej mnie akceptuje.

Rozmawiałyśmy teraz także po szkole. W końcu zaprosiła mnie do siebie do domu i piłyśmy piwo, aż mi się tak dziwnie zrobiło w głowie. Rozmawiałyśmy o tym, jak mamy w

domu. Z Kessi było prawie tak samo, jak ze mną. Właściwie to miała jeszcze większe bagno.

Bo Kessi była nieślubna. Jej mama często zmieniała facetów, i ci faceci oczywiście nie akceptowali Kessi. Właśnie niedawno miała przechery z jakimś świrowatym facetem swojej mamy. Też brał się do bicia i któregoś dnia zdemolował całe mieszkanie, a na koniec wyrzucił przez okno telewizor. Tylko, że mama Kessi była inna niż moja. W przeciwieństwie do mojej, starała się być bardzo surowa. Prawie codziennie Kessi musiała być przed ósmą w domu.

W szkole zaczęłam mieć wyniki, to znaczy chodzi mi o uznanie klasy. To była twarda, bezustanna walka. Na naukę prawie nie zostawało czasu. Mój największy triumf przeżyłam, kiedy Kessi pozwoliła mi usiąść obok siebie. Od Kessi nauczyłam się wagarować. Jak miała dosyć, to po prostu urywała się z paru lekcji, żeby spotkać się z Milanem albo robić coś innego, na co miała akurat ochotę. Początkowo miałam trochę pietra. Ale prędko zauważyłam, że jak się opuszczało pojedyncze godziny, to nie było prawie siły, żeby się ktoś połapał. Tylko na pierwszej lekcji sprawdzali obecność. Na następnych nauczyciele mieli za dużo uczniów, żeby się zorientować, kto jest, a kogo brakuje. Zresztą, wielu z nich to kompletnie zwiślało.

W tym czasie Kessi pozwalała się już chłopakom całować i dotykać, i chodziła już do „Haus der Mitte”. To był taki ośrodek młodzieżowy kościoła ewangelickiego z czymś w rodzaju dyskoteki czy „klubu” w piwnicy. Do klubu wpuszczali tylko powyżej 14 lat, ale kto by powiedział, patrząc na Kessi, że ma dopiero 13.

Błagałam tak długo, aż mama kupiła mi biustonosz. Wcale mi jeszcze nie był potrzebny, ale powiększał mi biust. Zaczęłam się też malować. A potem Kessi zabrała mnie do klubu, który był czynny od piątej po południu.

Pierwsze, co naprawdę zobaczyłam w tej piwnicy, to był chłopak z naszej szkoły. Chodził do dziewiątej klasy i według mnie był najbardziej super z całej szkoły. Lepszy jeszcze niż Milan. Lepiej wyglądał. Przede wszystkim robił wrażenie niesamowicie pewnego siebie. W klubie poruszał się jak gwiazdor. Widać było, że uważa się za lepszego od całej reszty. Nazywał się Piet. Piet należał do grupy, która zawsze stała albo siedziała z dala od innych. W każdym razie człowiek miał wrażenie, jakby nie mieli nic wspólnego z tymi smarkaczami, co tu byli. Cała ta ich grupa była obłądna. Wszyscy chłopcy wyglądali bombowo. Nosili obcisłe dżinsy, buty na niesamowicie grubych podszewkach i haftowane kurtki dżinsowe albo takie fantazyjne z dywanów i innych fajnych materiałów.

Kessi знаła tych chłopaków i przedstawiła mnie. Byłam cała w nerwach i pomyślałam sobie, jak to fantastycznie, że Kessi może mnie poznać właśnie z tymi chłopakami. Bo

wszystkim w klubie imponowała ta paczka. A nam pozwolili się nawet przysiąc.

Kiedy następnego wieczora przysłałam do klubu, chłopaki z paczki przynieśli wielkie nargile. Najpierw w ogóle nie wiedziałam, co to jest. Kessi wyjaśniła, że oni palą haszysz, i, że mogę się przyłączyć. Nie bardzo wiedziałam, co to jest haszysz. Pamiętałam tylko, że to narkotyk i strasznie zabroniony.

Chłopaki zapalili fajkę i puścili w obieg gumową rurkę. Każdy ciągnął po kolei. Kessi też. Ja odmówiłam. Właściwie to wcale nie chciałam odmówić.

Chciałam przecież należeć do paczki. Ale jakoś nie mogłam się jeszcze na to zdobyć, żeby palić narkotyk. Po prostu autentycznie się złąłam.

Czułam się koszmarnie nieswojo. Najchętniej rozpląnęłabym się w powietrzu. Ale nawet nie mogłam odejść od stołu, bo wyglądałoby na to, że zrywam z nimi, bo palą haszysz. Powiedziałam im więc, że akurat mam chęć na piwo. Pozbierałam puste butelki, które poniewierały się po klubie. Za cztery butelki dostawało się 80 fenigów albo butelkę piwa. Kiedy oni tak ciągnęli z tych nargili, ja po raz pierwszy w życiu się upiłam. Rozmawiali o muzyce. O muzyce, o której niewiele jeszcze wiedziałam. Lubiłam sweet. Uwielbiałam wszystkie te zespoły grające dla smarkaczy. Tak czy inaczej nie mogłabym z nimi pogadać, więc dobrze się stało, że byłam zalana, bo przynajmniej nie dręczył mnie kompleks niższości. Ci ludzie dominowali w sposób dla mnie całkowicie nowy. Nie byli głośni, nie bili się, nie przechwalali. Byli bardzo spokojni. Ich wyższość brała się jakby z nich samych. Także w swoim gronie byli niesamowicie opanowani. Nie było mowy o kłótni, i każdy z paczki przychodząc, był witany przez pozostałych pocałunkiem w usta. Ton nadawali wprawdzie chłopcy, ale dziewczyny były akceptowane. W każdym razie nie było mowy o tych idiotycznych rozgrywkach między chłopakami a dziewczynami.

W jakiś czas potem znowu urwałyśmy się z Kessi ze szkoły. Z ostatnich dwóch lekcji. Kessi umówiła się z Milanem na dworcu metra przy Wutzkyallee. Łaziłyśmy więc po dworcu i czekałyśmy na Milana rozglądając się, czy nie idzie ktoś z nauczycieli, którzy o tej porze mogli się już pojawić.

Kessi zapalała właśnie papierosa, kiedy zobaczyłam Pieta i jego kumpla Kathiego, też jednego z naszej paczki. To była chwila, o jakiej od dawna marzyłam. Zawsze chciałam spotkać Pieta albo jakiegoś chłopaka z paczki w ciągu dnia. i chciałam wtedy zapytać, czy nie wstąpiłby do mnie. Oczywiście absolutnie nic z tych rzeczy. Jako mężczyźni chłopcy w ogóle mnie jeszcze nie interesowali. Kończyłam przecież dopiero dwanaście lat i nawet nie miałam jeszcze okresu. Chciałam po prostu móc opowiadać, że Piet był u mnie w domu. Wtedy inni by sobie myśleli, że z nim chodzę, albo przynajmniej, że oni już na dobre przyjęli mnie do

swojej paczki.

Spotkałyśmy więc Pieta i Kathiego. O tej porze u nas w domu nie było nikogo, bo mama i Klaus pracowali do wieczora. Więc mówię do Kessi: - Chodź, podejźmy do chłopaków pogadać. - Serce mi biło. Ale już po paru minutach całkiem pewnie zapytałam Pieta: - Nie wpadlibyście do mnie na trochę? Jest wolna chata. A facet mojej mamy ma parę fantastycznych longów: „Led Zeppelin”, David Bowie, „Ten Years After”, „Deep Purple” i podwójny album z Woodstock.

Mnóstwo się już nauczyłam. Znałam nie tylko muzykę, która ich brała, nauczyłam się też ich języka. Był inny, jak wszystko w nich. Całą uwagę skupiałam na nowych wyrażeniach, które u nich słyszałam. To było dla mnie ważniejsze niż słówka z angielskiego i wzory matematyczne.

Piet i Kathi zgodzili się z miejsca. Cieszyłam się jak nie wiem co. Byłam pewna siebie. W domu powiedziałam: Słuchajcie, kurwa, ale nie mam nic do picia. Zrobiliśmy rzutkę i wyszłam razem z Kathim. Poszliśmy do supermarketu. Piwo było za drogie. Trzeba było mieć parę marek, żeby się trochę podhajcować. Kupiliśmy litr czerwonego wina za markę dziewięćdziesiąt osiem fenigów. Chłopaki nazywali je sikacz.

No więc piliśmy wino i gadaliśmy. Prawie cały czas mówiło się o policji. Piet powiedział, że musi teraz piekielnie uważać z glinami ze względu na hasz. Nie haszysz mówili hasz. Klęli na gliny i mówili, że u nas jest państwo policyjne.

Dla mnie to wszystko było niesamowicie nowe. Dotychczas właściwie tylko dozorczy byli dla mnie przedstawicielami władzy, których trzeba nienawidzić, bo zawsze się czepiają, kiedy człowiek akurat fajnie się bawi. Policjanci jeszcze mieli dla mnie autorytet niepodważalny. A teraz dowiaduję się, że świat dozorców Gropiusstadt jest jednocześnie światem glin. i, że gliniarze są o wiele bardziej niebezpieczni niż dozorczy. Niezależnie od wszystkiego, to, co mówili Piet i Kathi, było dla mnie absolutną i ostateczną prawdą.

Kiedy wino się skończyło, Piet powiedział, że ma jeszcze w domu trochę haszu. Kessi i Kathi strasznie się ucieszyli. Piet wyszedł przez balkon. Mieszkaliśmy teraz na parterze i też najczęściej wychodziłam przez balkon. Niesamowicie mi się to podobało po tych latach spędzonych na jedenastym piętrze.

Piet wrócił z taką sprasowaną tabliczką prawie wielkości dłoni, podzieloną na porcje po 10 marek. Wyciągnął fajeczkę do palenia haszyszu. To taka drewniana rurka, długa na dwadzieścia centymetrów. Najpierw włożył trochę tytoniu, żeby nie palić do spodu. Potem zmieszał tytoń z haszyszem i napchał mieszanką rurkę. Przy paleniu trzeba odchyłać głowę i trzymać rurkę możliwie pionowo w górę, żeby żar nie wypadł.

Dokładnie przyglądałam się, jak oni to robią. Nie miałam wątpliwości, że teraz, kiedy zaprosiłam do siebie Pieta i Kathiego, nie mogę powiedzieć nie. No więc zupełnie zdecydowanie powiedziałam: Dzisiaj też mam ochotę się sztachnąć. Zachowywałam się tak, jakbym paliła już po raz nie wiadomo który.

Spuściliśmy rolety. W świetle, które przez nie przechodziło, unosiły się smugi dymu. Puściłam płytę Davida Bowie, zaciągnęłam się i trzymałam dym w płucach tak długo, że aż dostałam ataku kaszlu. Wszyscy byli jacyś tacy skupieni. Każdy gapił się w przestrzeń i słuchał muzyki.

Czekałam, aż coś się ze mną zacznie dziać. Myślałam sobie - teraz, kiedy wzięłam narkotyk, musi się z tobą stać coś niesamowicie nowego. Ale jakoś nic nie mogłam zauważyć. Czułam się tylko odrobinę oszołomiona, i to też właściwie od wina. Nie wiedziałam jeszcze, że większość palących po raz pierwszy w ogóle nic świadomie nie odczuwa. Zupełnie poważnie trzeba mieć trochę wprawy, żeby złapać świadomie ten feeling, jaki daje hasz. Z alkoholem jest o wiele łatwiej.

Zobaczyłam, że Piet i Kessi, którzy siedzieli na kanapie, przysunęli się do siebie. Piet gładził Kessi po ramionach. Po chwili oboje wstali, poszli do mojego pokoju i zamknęli drzwi.

Zostałam teraz sama z Kathim. Usiadł obok na poręczu fotela i objął mnie ręką. Natychmiast spodobał mi się jeszcze bardziej niż Piet. Byłam nawet szczęśliwa, że Kathi do mnie przyszedł i daje do zrozumienia, że się mną interesuje. Zawsze się bałam, że chłopaki widzą po mnie, że mam dwanaście lat, i myślą o mnie jak o smarkatej.

Kathi zaczął mnie pieścić. Nie miałam pojęcia, czy mam być z tego zadowolona. Zrobiło mi się potwornie gorąco. Chyba ze strachu. Siedziałam jak skamieniała i próbowałam coś tam mówić o płycie, której właśnie słuchaliśmy. Kiedy Kathi dotknął mojego biustu, a raczej tego, co miało być dopiero biustem, zerwałam się, podeszłam do gramofonu i zaczęłam coś tam strasznie długo gmerać.

Potem Piet i Kessi wyszli z mojego pokoju. Wyglądali jakoś dziwnie. Zawstydzeni i jacyś tacy smutni. Kessi była całkiem czerwona na twarzy. Oboje ani razu już na siebie nie spojrzeli i nie zamienili już ze sobą ani słowa. Czułam, że Kessi ma za sobą jakieś bardzo nieprzyjemne przeżycie. Że jej to w każdym razie nic nie dało. Że dla obydwójga musiało to być dosyć przykre.

W końcu Piet zapytał, czy też wpadnę dzisiaj do klubu, i znowu się ucieszyłam. Niesamowicie dużo już osiągnęłam. Stało się dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam. Że zaproszę do siebie Pieta i Kathiego i potem już tak naprawdę będę należała do paczki.

Piet i Kessi wyszli przez balkon. Kathi wciąż jeszcze był w pokoju. Znowu zaczęłam się trochę bać. Nie chciałam zostać z nim sama. Powiedziałam mu wprost, że muszę trochę posprzątać, a potem zabrać się do lekcji. Nagle było mi wszystko jedno, co sobie pomyśli. W końcu poszedł. Położyłam się u siebie w pokoju, patrzyłam w sufit i próbowałam sobie wszystko ułożyć.

Kathi wyglądał niby całkiem fajnie, ale jakoś przestał mi się podobać. Za pół godziny ktoś zadzwonił do drzwi. Przez judasza zobaczyłam, że to Kathi. Nie otworzyłam i na palcach wróciłam do swojego pokoju. Normalnie bałam się być z nim sama. W tej chwili miałam go naprawdę dosyć i jakoś tak się wstydziłam. Nie miałam zresztą pojęcia, dlaczego. Czy to przez hasz, czy ze względu na Kathiego. Tak jakoś nie najwyraźniej było mi na duszy.

Zrobiło mi się trochę smutno. Teraz, kiedy już przyjęli mnie na dobre do swojej paczki, pomyślałam sobie, że tak właściwie to w ogóle się do nich nie nadaję. Na to, żeby kręcić z chłopakami, byłam za młoda. Teraz wiedziałam na pewno, że nie potrafię się zmusić. A to, co mówili o policji i państwie, było dla mnie kompletną abstrakcją i właściwie w ogóle mnie bezpośrednio nie dotyczyło.

A jednak już o piątej byłam w ośrodku. Tym razem nie poszliśmy na dół do klubu, tylko do sali kinowej. Chciałam usiąść między Kessi i takim jednym, którego nie znałam, ale Kathi wepchał się między nas. W czasie filmu znowu zaczął mnie pieścić. W którymś momencie wsadził mi rękę między nogi. Nie broniłam się. Byłam normalnie sparaliżowana. Nie wiedziałam, co jest, ale bałam się niesamowicie. Już chciałam nawet wstać i uciec. Ale pomyślałam sobie: Christiane, to jest cena za przyjęcie do paczki. Znosiłam więc wszystko w milczeniu. Bądź co bądź Kathi niesamowicie mi przecież imponował. Ale kiedy powiedział, żebym ja też go pieściła i próbował przyciągnąć moją rękę, to kurczowo przycisnęłam obie dłonie do podółka.

Niesamowicie się ucieszyłam, kiedy film się skończył. Natychmiast urwałam się od Kathiego i poszłam do Kessi. Wszystko jej opowiedziałam i oświadczyłam, że nie chcę o nim więcej słyszeć. Kessi na pewno mu wszystko potem powtórzyła, bo okazało się później, że ona się w Kathim niesamowicie buja. W klubie zaczęła beczeć, bo Kathi nie zwracał na nią większej uwagi niż na inne dziewczyny. Kiedyś potem opowiadała mi, jak bardzo się w nim kocha i, że zawsze chce jej się ryczeć, kiedy Kathi jest gdzieś blisko. Mimo tej sprawy z Kathim dalej należałam do paczki. Wprawdzie byłam dla nich ta mała, ale jednak byłam z nimi. Żaden z chłopaków nie próbował się już do mnie dobierać. Wszyscy przyjęli do wiadomości i pogodzili się z tym, że czuję się trochę za młoda, żeby już coś kombinować w tych sprawach. Z tym było u nas inaczej niż powiedzmy u takich żłopów. Żłopami

nazywaliśmy tych, co hajcowali się piwem i wódą. U nich strasznie brutalnie traktowało się dziewczyny, które nie chciały. Były wyśmiewane, wyzywane, po prostu nie miały życia. U nas w ogóle nie było brutalności. Akceptowaliśmy się nawzajem takimi, jakimi jesteśmy. Właściwie to wszyscy byliśmy do siebie w pewnym sensie podobni albo przynajmniej szliśmy tą samą drogą. Rozumieliśmy się bez zbędnego trzepania dziobem. Nikt z nas się nie wydierał ani nie rozrabiał. Nic nas nie obchodziło, o czym gadają inni. Czuliśmy się lepsi.

Oprócz Pieta, Kessi i mnie wszyscy już pracowali. Ze wszystkimi było podobnie. Nie mogli się znaleźć ani w domu, ani w pracy. Inaczej niż żłopy, którzy przychodzili ze swoimi stresami do klubu i byli agresywni, ci z naszej paczki potrafili się kompletnie wyłączyć. Po robocie łapali się po prostu za to, co lubią, palili hasz, słuchali fantastycznej muzyki i wszystko było okay. Zapominało się o tym całym bagnie, w którym się człowiek musiał babrać przez cały dzień.

Nie czułam się jeszcze tak samo jak reszta. Chyba byłam jeszcze na to za mała. Ale oni byli moim wzorem. Chciałam w miarę możliwości być taka jak oni, albo stać się taka. Chciałam się od nich uczyć, bo mi się zdawało, że oni wiedzą, co zrobić, żeby się fajnie żyło, i, żeby mieć totalny zwis na całą resztę i ten denny świat. Tym, co truli rodzice i nauczyciele, przestałam się w ogóle przejmować. Teraz moja paczka była dla mnie jedyną ważną w życiu sprawą - oprócz moich zwierząt.

To, że tak kompletnie wsiąknęłam w to towarzystwo, miało też przyczyny w domu. Powoli robiło się tam nie do wytrzymania. Najbardziej nieznośne było to, że Klaus, facet mojej mamy, nie cierpiał zwierząt. Tak mi się wtedy przynajmniej zdawało. Wszystko zaczęło się od tego, że Klaus bez przerwy mendził, że kto to widział trzymać tyle zwierząt w takim małym mieszkaniu. Potem zabronił, żeby mój nowy dog, którego dostałam od ojca, kładł się w dużym pokoju.

Tu już mnie trząchnęło. Nasze psy zawsze należały do rodziny. Traktowało się je zawsze jak kogoś bliskiego. A tu przyłazi ten facet i mówi, że nie wpuści doga do dużego pokoju. Potem było jeszcze weselej. Chciał mi zabronić, żeby pies spał przy moim łóżku. Zupełnie na serio kazał mi zrobić w tym miniaturowym pokoiku specjalną przegrodę dla psa. Oczywiście ani mi się śniło.

Wreszcie Klaus postawił sprawę jasno. Oświadczył, że w tym mieszkaniu nie będzie żadnego zwierzaka. Mama jeszcze go poparła i stwierdziła, że przestałam się zajmować swoimi zwierzętami. No, to już był koniec. Niby rzeczywiście ostatnio często nie było mnie wieczorami w domu, i czasem któreś z nich musiało wyprowadzić psa. Ale poza tym, powiedziałam, to każdą wolną chwilę poświęcam psu i reszcie zwierząt.

Nie pomogły jednak żadne groźby, krzyki i płacze. Pies został oddany. Poszedł do jednej pani, która nie była jeszcze najgorsza, naprawdę go lubiła. Ale niedługo potem dostała raka i musiała psa oddać. Słyszałam, że podobno do jakiejś knajpy. To był niesamowicie wrażliwy pies, przy byle awanturze dostawał prawie świra. Wiedziałam, że w knajpie prędko się wykończy. Obwinałam o to Klausa i mamę. Nie chciałam mieć nic wspólnego z ludźmi, którzy tak nie cierpią zwierząt.

Wszystko to działo się w okresie, kiedy zaczęłam chodzić do ośrodka „Haus der Mitte” i po raz pierwszy zapaliłam haszysz. Zostały mi dwa koty. Ale one nie potrzebowały mnie przez cały dzień. W nocy spały ze mną w łóżku. Kiedy nie było już psa, nie widziałam sensu w siedzeniu w domu. Nie miałam tam już czego szukać. Przestałam też lubić samotne spacerować. Czekałam tylko, żeby już była piąta i, żeby otworzyli klub. Czasami spędzałam z Kessi i innymi ludźmi z paczki również wczesne popołudnia.

Paliliśmy co wieczór. Ci z nas, którzy byli przy forsie, dawali trochę innym. Przestałam mieć jakiegokolwiek opory. Paliliśmy przecież w ośrodku zupełnie jawnie. Pracownicy socjalni z kościoła, którzy czuwali w klubie, przyczepiali się do nas czasami, kiedy paliliśmy. Różni byli. Ale większość z nich zaraz przyznała, że sami też już palili. Ci byli z uniwerku, z organizacji studenckich, a tam palenie haszyszu było chyba czymś zupełnie normalnym. Mówili nam potem tylko, żeby nie przesadzać, nie traktować tego jako środka ucieczki i takie tam gadki-szmatki. Przede wszystkim ostrzegali, żeby się nie przerzucać na „twarde” narkotyki.

Jednym uchem się słuchało, a drugim wypuszczało. Zresztą, co oni mieli do gadania, skoro przyznawali, że sami palą. Jeden chłopak od nas powiedział raz takiemu: - Wam się wydaje, że jak studenci palą hasz, to wszystko jest okay. Oni wiedzą, co robią. Ale jak pali ktoś z zawodówki albo robotnik, to wtedy jest groźnie. Z takimi argumentami to nie do nas. - Tamten nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Musiał naprawdę czuć się wobec nas nie w porządku.

Nie tylko paliłam, jak nie było haszu, piłam wino i piwo. Brało mnie zaraz po szkole albo już przed południem, jak urywałam się z lekcji. Ciągle musiałam się czymś hajcować. Bez przerwy byłam kompletnie odurzona. Tego właśnie chciałam, żeby nie musieć patrzeć na to całe bagno w szkole i w domu. Szkoła i tak dokumentnie mi wisiła. Bardzo szybko zjechałam w średniej z czwórek na tróje i lufy.

Zewnętrznie też kompletnie się zmieniłam. Niesamowicie schudłam, bo mało co jadłam. Wszystkie moje spodnie były na mnie za szerokie. Policzki mi się zapadły. Dużo stałam przed lustrem. Podobało mi się, że się tak zmieniam. Robiłam się coraz bardziej

zobaczyć po ich twarzach, co za obrzydliwe z nich kołtuny. Uprzytomniłam sobie, że te tłuste cielska wracają z jakiejś zasranej knajpy albo jeszcze bardziej zasranej pracy. Potem wleżą takie świńskie ryje do wyra, potem znowu do roboty, a potem oglądać telewizję. Pomyślałam sobie: możesz się cieszyć, że jesteś inna. Że masz swoją paczkę. Że jesteś teraz na kwasie, masz pełną jasność i widzisz, co za zsrane kołtuny jadą tym metrem. Mniej więcej tak sobie myślałam. W czasie późniejszych tripów też. Potem zaczęłam się bać tych mord. Popatrzyłam na Pieta. On też „był jakiś brzydszy niż normalnie. Jego twarz w przeciwieństwie do tych świńskich ryjów była jakaś taka mała. Ale mimo to wyglądał jeszcze normalnie.

Kiedy wysiedliśmy w Rudow, ucieszyłam się. Teraz zaczęło się na dobre. Wszystkie światła były niesamowicie jasne. Latarnia uliczna nad nami świeciła jaśniej, niż mogłoby świecić słońce. W kolejce podziemnej było mi zimno. Teraz zrobiło mi się potwornie gorąco. Wydawało mi się, jakbym była gdzieś w Hiszpanii, a nie w Berlinie. Było zupełnie jak na którymś z tych pięknych plakatów w biurze podróży w Gropiusstadt. Drzewa były palmami, ulica plażą. Było niesamowicie jasno. Nie powiedziałam Piętowi, że się zaczęło. Chciałam być sama na tym niesamowicie wspaniałym tripie.

Piet, który przecież też był na tripie, powiedział, że moglibyśmy jeszcze wpaść do jego dziewczyny, jeśli jej rodziców nie ma w domu. Miał dziewczynę, którą bardzo kochał. Poszliśmy do podziemnego garażu w bloku, gdzie mieszkała ta dziewczyna. Chciał zobaczyć, czy stoi auto jej rodziców. W garażu zaczęłam się bać. Niski sufit opuszczał się coraz bardziej - Normalnie aż się wyginał. Betonowe słupy chwiały się na wszystkie strony. Samochód był na miejscu.

Piet powiedział: Cholera, zsrany garaż. A potem widocznie przyszło mu nagle do głowy, że tylko on wszedł na trip i zapytał - No, gdzie wywaliłaś tę pigułkę? Przypatrzył mi się i po chwili powiedział: Dziewczyno, nie było rozmowy. Przecież ty masz źrenice jak spodki.

Przed blokiem znowu było pięknie. Usiadłam w trawie. Ściana domu była tak pomarańczowa, jakby odbijało się w niej wschodzące słońce. Cienie poruszały się, jakby wszędzie chciały zrobić miejsce dla światła. Ściana wybrzuszała się i wyglądała, jakby nagle stanęła w płomieniach.

Poszliśmy do Pieta. Piet niesamowicie fajnie malował. U niego w pokoju wisiał jeden jego obraz. Był na nim niesamowicie tłusty koń. Na koniu siedział szkielet z sierpem. Już przedtem widziałam ten obraz parę razy i myślałam, że to po prostu śmierć. Teraz wcale się go nie bałam. Przychodziły mi do głowy zupełnie naiwne myśli. Myślałam sobie, że ten szkielet nigdy nie da sobie rady z koniem. Już stracił nad nim panowanie. Długo gadaliśmy o

tym obrazie. Na koniec Piet wcisnął mi jeszcze parę płyt. Poszłam do domu.

Mama oczywiście nie spała. Zaczęło się zwykle gadanie. Gdzie byłam. Tak dalej nie może być. i w ogóle. Mama wydała mi się niesamowicie śmieszna. Rozlazła i gruba w swojej białej nocnej koszuli, twarz wykrzywiona z wściekłości. Jak te kołtuny w metrze.

Nie powiedziałam ani słowa, i tak już zresztą przestałam z nią rozmawiać. Odzywałam się tylko, kiedy już musiałam, i to też chodziło o duperele. Nie chciałam od niej czułości i bliskiego kontaktu. Wydawało mi się - przynajmniej czasami -, że nie potrzebuję już ani mamy, ani rodzinnego domu.

Mama z tym swoim faciem i ja żyliśmy od pewnego czasu i tak w zupełnie różnych światach. Nie mieli zielonego pojęcia o tym, co robię. Myśleli chyba, że jestem całkiem zwyczajnym dzieckiem, które właśnie wchodzi w okres dojrzewania. Zresztą, co ja bym im mogła powiedzieć? i tak by przecież nic nie zrozumieli. Po prostu by zabronili i koniec. Tak sobie myślałam. Mamy było mi jeszcze co najwyżej żal. Kompletnie zestresowana przychodzi z tej pracy i zabiera się do orki w domu. Ale myślałam sobie, jarecka sama jest sobie winna, że ma takie kołtuńskie życie.

MATKA CHRISTIANE

Często zadawałam sobie pytanie, jak to możliwe, że nie zauważyłam wcześniej, co dzieje się z Christiane. Odpowiedź jest prosta, ale potrafiłam ją znieść dopiero po rozmowach z innymi rodzicami, którzy mieli ze swoimi dziećmi podobny problem. Po prostu nie chciałam przyjąć do wiadomości, że moja córka wpadła w nałóg. Tak długo, jak się tylko dało, próbowałam się jeszcze łudzić.

Mój przyjaciel, z którym żyję od rozvodu z mężem, już wcześniej miał jakieś podejrzenia. Zawsze odpowiadałam tylko: Co ty sobie wmawiasz. Przecież to jeszcze dziecko. Przekonywanie samego siebie, że nasze dzieci są na to jeszcze za młode, to prawdopodobnie najpoważniejszy błąd. Kiedy Christiane zaczęła się izolować, kiedy coraz częściej unikała kontaktu z rodziną i wolała spędzać weekendy z przyjaciółmi, zamiast z nami, powinnam bezwzględnie dojść, dlaczego i z jakiego powodu. Za wiele rzeczy zlekceważyłam.

Jak człowiek pracuje zawodowo, to widocznie nie dość starannie pilnuje swoich dzieci. Chce się mieć po prostu święty spokój i człowiek nawet jest zadowolony, jeśli dzieci chodzą własnymi drogami. Rzeczywiście, czasami Christiane faktycznie przychodziła do domu za późno. Ale zawsze miała pod ręką jakąś wymówkę, a ja aż nazbyt chętnie jej

wierzyłam. Te jej wysoki oraz dość nieprzyjemne niekiedy zachowanie uważałam za zupełnie normalną fazę rozwoju i myślałam, że to z czasem minie.

Nie chciałam Christiane do niczego zmuszać. Poznałam to wystarczająco dotkliwie na własnej skórze. Mój ojciec był przesadnie surowy. W heskiej wiosce, w której wyrosłam, był powszechnie szanowanym właścicielem kamieniołomu. Ale jego metoda wychowawcza składała się z samych zakazów. O chłopcach nie wolno mi było wspomnieć ani słówkiem, bo zaraz bił mnie po twarzy.

Pamiętam jeszcze dokładnie taki popołudniowy spacer z koleżanką w którąś niedzielę. Grubo ponad sto metrów za nami szło dwóch młodych mężczyzn. Przypadkowo spotkałyśmy wtedy mojego ojca, wracającego z meczu piłkarskiego, zatrzymał się i przy ludziach strzelił mnie w twarz. Siłą wepchnął mnie do samochodu i zawiózł do domu. A wszystko tylko dlatego, że za nami szło tych dwóch młodych mężczyzn. Bardzo się wtedy zawzięłam. Miałam szesnaście lat i myślałam tylko, jak się stąd wydostać.

Moja mama, kobieta gołębiego serca, nie miała nic do powiedzenia. Nie mogłam nawet uczyć się mojego wymarzonego zawodu i zostać akuszerką. Ojciec zdecydował, że mam zdobyć zawód handlowy, żeby prowadzić mu księgowość. W tym czasie poznałam Richarda, mojego późniejszego męża. Był ode mnie starszy o rok i uczył się w szkole rolniczej. Miał zostać zarządcą dóbr. Też na życzenie swojego ojca. Początkowo była między nami tylko przyjaźń. Ale im więcej ojciec robił, żeby ją zniszczyć, tym bardziej byłam zawzięta. Widziałam tylko jedną szansę: zająć w ciążę i być zmuszoną do małżeństwa i w ten sposób zdobyć upragnioną wolność.

No i stało się, kiedy miałam 18 lat. Richard natychmiast przerwał naukę i przenieśliśmy się do północnych Niemiec, gdzie mieszkali jego rodzice. Nasze małżeństwo było jednym wielkim nieporozumieniem, od samego początku. Już w czasie ciąży nie mogłam liczyć na męża, na całe noce zostawiał mnie samą. W głowie były mu tylko ten jego porsche i jakieś nierealne projekty. Żadna praca mu nie pasowała. Koniecznie chciał być kimś lepszym i znaczyć coś w oczach innych. Chętnie mówił o tym, że przed wojną jego rodzina też coś sobą przedstawiała. Jego dziadkowie mieli we wschodnich Niemczech gazetę codzienną, sklep jubilerski i rzeźnię. Do tego jeszcze jakąś posiadłość ziemską.

To było chyba dla niego miarą sukcesu. Koniecznie chciał się usamodzielnić, zostać przedsiębiorcą jak jego przodkowie. Raz marzył o otwarciu firmy spedycyjnej, raz miał to być handel samochodami, innym znów razem zamierzał założyć ze znajomym przedsiębiorstwo budownictwa rolno-ogrodniczego. Tak naprawdę, to nigdy nie wyszedł poza wstępne kontakty. Swoją złość wyładowywał w domu na dzieciach, a jeśli spróbowałam się wtrącić, to

potrafił podnieść rękę na mnie.

Peniądze potrzebne na życie zarabiałam głównie ja. Kiedy Christiane miała cztery latka, dostałam bardzo dobrą pracę w biurze matrymonialnym. Kiedy pod koniec tygodnia trzeba było robić bilans, Richard mi w tym pomagał. Szło nam stosunkowo nieźle przez dwa lata. Potem Richard ściał się z moim szefem i straciłam pracę. Richard postanowił teraz sam otworzyć biuro matrymonialne w wielkim stylu. Na siedzibę firmy wybrał Berlin.

Przeprowadziliśmy się w 1968 roku. Miałam nadzieję, że wraz ze zmianą miejsca zamieszkania zmieni się coś na lepsze w naszym małżeństwie. Ale zamiast w reprezentacyjnych pomieszczeniach biurowo-mieszkalnych wyładowaliśmy w dwu i pół pokoju w dzielnicy Gropiusstadt na skraju Berlina. Richardowi nie udało się zebrać niezbędnego kapitału. Wszystko było znów po staremu. Richard wyładowywał swoją wściekłość na mnie i na dzieciach, i w najlepszym razie pracował czasem jako sprzedawca. Po prostu nie mógł się pogodzić z myślą, że będzie jednym z tych szarych ludzi, którzy mieszkają w Gropiusstadt.

Często myślałam o rozwodzie, ale nie miałam dość odwagi. Resztki samodzielności, które zdołałam uratować przed ojcem, zniszczył we mnie mój własny mąż.

Na szczęście w Berlinie szybko dostałam stałą pracę jako stenotypistka za tysiąc marek netto. Poczucie, że jestem doceniana i mogę coś osiągnąć, dodało mi sił. Przystałam znosić pokornie wszystkie wybryki męża. Zaczął mi się wydawać śmieszny z tą swoją manią wielkości. Tarcia między nim a mną stawały się coraz bardziej nie do zniesienia. Kilka prób odejścia nie wyszło. Byłam przecież bardzo do niego przywiązana. Może dlatego, że był moim pierwszym mężczyzną. A także ze względu na dzieci. Nie udało mi się załatwić przedszkola dla dziewczynek. Zresztą i tak nie byłabym w stanie za to zapłacić. Więc wołałam, żeby chociaż Richard posiedział od czasu do czasu w domu. i tak raz po raz przesuwałam termin rozwodu, aż wreszcie w 1973 miałam dość sił, żeby naprawić swój błąd. Poszłam do adwokata.

Chciałam oszczędzić Christiane tego, co sama przeszłam. Jak tylko się urodziła, przysięgłam sobie: będzie wychowywana tak, żeby nigdy nie musiała wplątać się w takie małżeństwo jak moje. Będzie się rozwijać swobodnie, nie będzie pchana ślepo w jednym kierunku, w odróżnieniu ode mnie będzie miała swobodę, jakiej wymaga prawdziwe nowoczesne wychowanie. Później za wiele jej chyba pozwalałam.

Po rozwodzie musiałam najpierw znaleźć nowe mieszkanie, bo Richard nie chciał się wyprowadzić. Znalazłam coś w tańszym budownictwie. Czynnosc wynosił sześćset marek, włącznie z garażem, chociaż nie miałam samochodu. Właściwie było to dla mnie o wiele za

drogo. Ale nie miałam wyboru. Chciałam raz na zawsze uwolnić się od koszmaru mojego małżeństwa. Za wszelką cenę pragnęłam zacząć od początku, ja i dzieci.

Richard nie był też w stanie płacić na dzieci. Powiedziałam sobie, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zakasać rękawy, nie bać się nadgodzin, żeby chociaż mogła coś dać tym swoim dzieciom. W końcu mają już jedno dziesięć, drugie jedenaście lat, a w dzieciństwie miały tylko najniezbędniejsze meble. Nie było nawet porządnej kanapy, wszystko sklecone było jak. Serce mi się krajało, że nie mogłam stworzyć moim dzieciom nawet przytulnego domu.

Chciałam to naprawić po rozwodzie. Chciałam mieć wreszcie ładne mieszkanie, w którym nam wszystkim byłoby dobrze. To były moje marzenia. Po to pracowałam. Ale i po to, żeby czasem spełnić jakieś specjalne życzenie dzieci, ładne ubranka, wspólne wycieczki w czasie weekendu, które mogą sobie spokojnie kosztować tych parę marek.

Z entuzjazmem dążyłam do tego celu. Dostały tapetę, jaką sobie wybrały, i pokój z pięknymi meblami, a w 1975 stać mnie było, żeby podarować Christiane gramofon Dual. To było coś, co dawało mi szczęście. Tak się przecież cieszyłam, że wreszcie mogę coś zrobić dla dzieci.

Wracając późnym popołudniem z pracy, często mogłam im coś przynieść w prezencie. Wprawdzie drobiazgi, ale sprawiało mi przyjemność kupowanie czegoś dla nich u Wertheima albo Karstadta. Najczęściej jakieś tanie okazje. A to jakieś wymyślne słodczy, a to zabawną temperówkę albo coś innego w tym guście. Rzuciły mi się wtedy na szyję. Czułam się jak na Boże Narodzenie, Dzisiaj wiem już oczywiście, że przede wszystkim chciałam się tym uwolnić od wyrzutów sumienia, bo tak mało czasu miałam dla dzieci. Powinnam raczej postawić kreskę na pieniądzech. Powinnam zająć się dziećmi, zamiast chodzić do pracy. Dziś sama siebie nie rozumiem, jak mogłam zostawiać je same. Jakby można to było naprawić kupowaniem pięknych rzeczy. Powinnam raczej żyć z zasiłku, jak długo dzieci mnie potrzebowały. Ale pomoc opieki społecznej to było dla mnie dno upadku. Już w domu rodzice kładli mi do głowy, że nie należy być dla państwa ciężarem. Może powinnam też zaskarżyć byłego męża o alimenty. Nie mam pojęcia. W każdym razie dokładając wszelkich starań, żeby mieszkanie ładnie wyglądało, zupełnie zapomniałam, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi. Mogę to sobie tłumaczyć na różne sposoby, a i tak w końcu zawsze stawiam sobie ten sam zarzut. Zbyt często zostawiałam dzieci same sobie. A Christiane z pewnością wymagała większej troski, pokierowania nią. Bo ona jest trochę chwiejna i bardziej wrażliwa niż jej młodsza siostra. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że Christiane może zejść na złą drogę. Mimo, że wiedziałam, co się wyprawia na co dzień w rodzinach

mieszkających tak jak my w tej peryferyjnej dzielnicy. Bez przerwy jakieś bójk. Pito niebywałe ilości alkoholu, nierzadko widziało się w rynsztoku pijaną kobietę, mężczyznę czy młodego chłopaka Ale łudziłam się, że jak będę dla swoich dzieci wzorem, jak nie będę się szlajać i poniewierać po ulicy, to przecież wezmą ze mnie przykład.

Naprawdę myślałam: zaczyna się dla nas lepsze życie. Przed południem dzieci szły do szkoły. W południe same robiły sobie coś do jedzenia. A po południu chodziły często do szkółki jeździeckiej przy Lippschitzallee. Obie bardzo lubią zwierzęta.

Nawet dość długo było całkiem dobrze. Pomijając drobne wybuchy zazdrości u dzieci i Klause, mojego przyjaciela, który z nami zamieszkał. Oprócz pracy, domu i dzieci miałam przecież i jego, dla niego też chciałam być. On był dla mnie czymś w rodzaju oparcia, i tu chyba popełniłam jeszcze jeden istotny błąd, powodowana pragnieniem, żeby móc poświęcać mu więcej czasu: pozwoliłam siostrze Christiane przenieść się do ojca, który starał się ją do siebie ściągnąć wszelkimi możliwymi obietnicami, bo czuł się samotny.

Odtąd Christiane wracając ze szkoły była w domu sama. W tym czasie nawiązała przyjaźnie, które stały się jej nieszczęściem. Aleja tego nie dostrzegałam. Kessi, jej koleżanka ze szkoły, mieszkająca w sąsiedztwie, z którą często spędzała popołudnia, wydawała mi się bardzo rozsądna. Matka Kessi miała od czasu do czasu na oku obie dziewczynki. Czasem Christiane była u Kessi, to znów Kessi u nas.

Obydwie były w wieku gdzieś dwunastu, trzynastu lat, kiedy człowiek jest strasznie ciekawy i wszystkiego musi choć raz spróbować. Nie widziałam w tym nic złego, że wieczorami chodziły do klubu młodzieżowego „Haus der Mitte”, ośrodka kościoła ewangelickiego w Gropiusstadt. Oczywiście byłam przekonana, że Christiane jest tam w dobrych rękach. Do głowy by mi nie przyszło, że nastolatkom wolno w tym klubie palić haszysz.

Wprost przeciwnie, byłam uspokojona, że Christiane rozwinęła się w pogodną nastolatkę i nie tęskni już tak bardzo za siostrą. Od kiedy zaprzyjaźniła się z Kessi, zaczęła się częściej śmiać. Czasami obie były tak przekomicznie zabawne, że musiałam śmiać się razem z nimi. Skąd mogłam wiedzieć, że te ich ataki śmiechu wywołane były haszyszem czy jakimiś tabletkami odurzającymi.

Moją rodziną była paczka. Czulo się w niej coś takiego jak przyjaźń, czułość i w pewnym sensie także miłość. Już ten pocałunek na powitanie niesamowicie mi się podobał. Każdy całował każdego czule i przyjacielsko. Ojciec nigdy mnie tak nie pocałował. Problemów między nami nie było. Nigdy nie rozmawialiśmy o swoich problemach. Nikt nikogo nie zanudzał opowiadaniem o bagnie, jakie ma w domu czy w pracy. Kiedy byliśmy

razem, ten denny świat innych ludzi w ogóle dla nas nie istniał. Rozmawialiśmy o muzyce i haszu. Czasami o ciuchach, a czasami o ludziach, którzy wycięli jakiś numer temu społeczeństwu gliniarzy. Dla nas dobry był każdy, kto zrobił włamanie, podwędził samochód czy obrabował bank.

Po tripie czułam się już zupełnie jak inni ludzie z paczki. Sam trip był niesamowicie obłądny. Cieszyłam się, że nie miałam koszmaru. Prawie wszyscy mają koszmar przy pierwszym braniu. Ale jakoś gładko to przeszłam. Czułam się jakby potwierdzona. Teraz brałam kwas, jak tylko dostałam.

Do wszystkiego nabrałam zupełnie nowego stosunku. Znowu zaczęłam szukać kontaktu z przyrodą. Dawniej łąziłam dużo z psem i dzięki niemu jakoś tę przyrodę głębiej przeżywałam. Teraz paliłam na początek fajkę haszu, jeśli nie byłam akurat na kwasie. Przeżywałam zupełnie inną przyrodę. Nie była już taka, jaka była. Rozpadała się na barwy, kształty i odgłosy, odbijające się w moich nastrojach. Po prostu życie, jakie prowadziłam, uważałam za niesamowicie fajne. Przez dobre parę miesięcy byłam prawie cały czas zadowolona z siebie.

W którymś momencie w grupie zrobił się jednak jakiś zastój. Shit, czyli haszysz, oraz kwas przestały być takie obłądne. Człowiek się po prostu przyzwyczaił. Jakoś tak stało się czymś normalnym, że było się na haszu albo na kwasie. Przestało to być źródłem nowych przeżyć.

Wtedy ktoś z paczki przyszedł do klubu i powiedział: Ludzie, mam coś zupełnie nowego, efedryna. Prawdziwy obłąd. Wzięłam dwie pigułki efedryny, taki środek pobudzający, nie wiedząc dokładnie, co łykam. Popiłam butelką piwa, do dna, bo widziałam, jak jeden taki to robił. Nie przyszło mi to łatwo. Zaczynałam mieć obrzydzenie do piwa, tak jak miałam obrzydzenie do ludzi, którzy chłali piwo.

Nagle w klubie można było dostać każdą ilość pigułek. Tego samego wieczora wzięłam jeszcze jeden mandraks, silny środek nasenny. Tego wieczora znów wszystko wydawało mi się obłądne i kochałam ludzi z naszej paczki. Przez następne tygodnie normalnie przetestowaliśmy chyba cały przemysł farmaceutyczny.

W szkole miałam coraz większe trudności. W ogóle przestałam odrabiać lekcje, a rano byłam wciąż niewyspana. Mimo to przepuścili mnie do 8 klasy. W niektórych przedmiotach, jak niemiecki czy wychowanie obywatelskie, coś tam jeszcze robiłam, bo mnie to od czasu do czasu interesowało i jakoś miałam na to ochotę.

Ale akurat na tych przedmiotach, których nie odpuściłam sobie kompletnie, zaczęłam mieć największe trudności. Z nauczycielami, a także z klasą. Po prostu to, jak ludzie w szkole

dobrym humorze i traktowała go po maczynemu. Coraz silniejsze stawało się inne podejrzenie: Atze potrzebuje dziewczyny, z którą może iść do łóżka. To jest właśnie taka, co może z nim pójść do łóżka.

Byłam kompletnie trzeźwa. Nawet nie chciałam nic brać tego wieczora. Kiedy już nie mogłam znieść przyglądania się tym dwojgu, poszłam na parkiet, żeby się wyszaleć. Kiedy wróciłam, oni oboje gdzieś zniknęli. Jak wariatka latałam po całej budzie. Znalazłam Atzego i Moni w sali kinowej. Ciasno objętych.

Nie wiem, jak wróciłam do ludzi z paczki. Był ktoś, kto od razu zauważył, co się ze mną dzieje. Detlef. Objął mnie ramieniem. Nie chciałam się rozryczeć. Zawsze myślałam, że to strasznie głupio ryczeć przy całej paczce. Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Kiedy nie mogłam już powstrzymać łez, wybiegłam stamtąd. Przeszłam przez ulicę i poszłam do parku naprzeciwko. Łzy normalnie strumieniami ciekły mi po twarzy.

Nagle stanął obok mnie Detlef. Podał mi chusteczkę higieniczną, potem jeszcze jedną. Za bardzo byłam zajęta sobą, żeby tak naprawdę dotarła do mnie jego obecność. Dopiero znacznie później uświadomiłam sobie, jak miłe było ze strony Detlefa, że wyszedł mnie poszukać.

Atzego nie chciałam więcej widzieć. Wydawało mi się, że nie będę potrafiła spojrzeć mu w oczy. Po tym, kiedy poryczałam się przy wszystkich pokazując tym samym, jak bardzo mi na nim zależy. Ale Detlef zabrał mnie z powrotem do dyskoteki.

I tak musiałabym wrócić, bo Atze miał przecież klucz od skrytki na rzeczy. Zebrałam się w sobie, poszłam do sali kinowej, wystraszyłam Atzego na tym fotelu i wzięłam od niego klucz. Ale kiedy wyjęłam już swoje rzeczy ze skrytki, to nie miałam tyle siły, żeby mu ten klucz odnieść. Zrobił to Detlef, który jakoś tak wciąż był w pobliżu.

Była prawie druga. Ostatnia kolejka już odeszła. Stałam przed „Soundem” i nie wiedziałam, dokąd pójść. Miałam niesamowitą ochotę coś teraz wziąć. Potrzebowałam tego teraz. Ale kompletnie nie miałam forsy. Wtedy napatoczył się jeden człowiek z naszej paczki z „Haus der Mitte”, Pantera. Wiedziałałam, że Pantera handluje trochę LSD i zawsze ma świetny towar. Zagadałam, czy nie odpaliłby mi pigułki kwasu. Dał mi. Nawet nie zapytał, dlaczego o takiej późnej porze koniecznie chcę polecieć.

Natychmiast połknęłam i zesłam z powrotem do dyskoteki. W czasie tańca kompletnie przestałam cokolwiek odbierać. Co najmniej przez godzinę tańczyłam jak zwariowana. Kiedy przestałam, w ogóle nie czułam jeszcze działania kwasu. Pomyślałam sobie nawet, że pewnie Pantera mnie wykołował. Na szczęście przyszło paru ludzi z „Haus der Mitte”. Podeszłam do Pieta. On też był na kwasie. Opowiedziałam mu historię z Atze. Ale

Piet oczywiście myślał zupełnie o czym innym i powiedział tylko „daj sobie spokój, dziewczyno” czy „nie przejmuj się” i parę podobnych frazesów.

Zjadłam budyń waniliowy i powiedziałam: Cały świat jest beznadziejny i kompletnie denny. Chciałam odnieść talerzyk po budyniu, żeby odebrać zastaw, bo w „Soundzie” za każdą szklankę i talerzyk płaci się zastaw, żeby nie ginęły. No i wtedy w ciągu sekundy kwas wszedł. To było jak błysk. Przewróciłam się razem z ławką. Potem tańczyłam aż do chwili zamknięcia całej budy.

Pod dyskoteką spotkałam znowu ludzi z paczki, Atzego i Moni. Zupełnie mi to zwisało. Udawałam, że patrzę na jakiś plakat. Atze poszedł z Moni do siebie.

My całą resztą poszliśmy w stronę zoo. Ktoś wpadł na pomysł, żeby pójść do Europacenter. Wylądowaliśmy tam na sztucznym lodowisku. Była dosyć ciepła noc. Padało i na lodzie była woda.

Ślizgałam się po tej wodzie i wyobrażałam sobie, że idę po morzu. Nagle usłyszałam brzęk tłuczonej szyby. Chłopaki dobrali się do budki kasjera. Któryś sięgnął przez wybitą szybę w drzwiach, włamał się do szuflady i wyrzucił z niej rolki pieniędzy. Zanim na dobre załapałam, o co chodzi, wszyscy już prysnęli. W tych swoich butach na wysokich obcasach wyłożyłam się na lodzie jak długa. Byłam kompletnie mokra. Detlef czekał na mnie i wziął mnie za rękę.

Na Kurfürstendamm odbył się podział łupu. Każdy coś tam dostał. To też mi się niesamowicie podobało. Dostałam dwie rolki po 5 marek. Wszyscy byli niesamowicie zadowoleni. Nie tyle z powodu pieniędzy, ale dlatego, że udało się nam zrobić dwóch gliniarzy z prywatnej policji, którzy nocą pilnują Europacenter i nieraz już nas ganiali. Szaleliśmy z radości. Rozdarliśmy rolki z drobniakami i rzucaliśmy pieniądze w powietrze. Na ulicę padał deszcz pieniędzy. Chodnik cały był pokryty monetami.

Poszliśmy do knajpy na dworcu Zoo. Była już otwarta. Na tym dworcu byłam po raz pierwszy. To był potwornie syfiasty dworzec. Pełno włóczęgów leżących we własnych rzygowinach, w każdym kącie ubzdryngolone typy. Skąd mogłam wiedzieć, że za parę miesięcy będę tu spędzać każde popołudnie.

Okolo szóstej pojechałam do domu. W łóżku po raz pierwszy w czasie tripu miałam prawie coś jak koszmar. Na ścianie wisiał plakat z Murzynką palącą skręta. W prawym dolnym rogu była mała niebieska plamka, i ta plamka nagle zmieniła się w niesamowitą gębę, normalnie jak twarz Frankenstein. W ostatniej chwili zdążyłam się skoncentrować na czymś innym.

W południe obudziłam się kompletnie otepiała. Byłam zupełnie pusta w środku. Jak

martwa. Pomyślałam sobie tylko: Co z ciebie za dziewczyna, że od razu pierwszy chłopak puszcza cię w trąbę. Podeszłam do lustra, popatrzyłam w nie i zaczęłam się nienawidzić. Widziałam swoją twarz, która jeszcze wczoraj wydawała mi się taka bombowa, taka tajemnicza, jak u prawdziwej dorosłej dziewczyny biorącej prochy. Wyglądałam na niesamowicie wyplutą. Pod oczami miałam czarne obwódki. Skóra była obrzydliwa i tłusta. Odkryłam krosty.

Powiedziałam sobie: Tak, no więc, Christiane, z „Soundem” koniec. Nie możesz pokazać się na oczy ani Atzemu, ani reszcie paczki. Przez następne dni starałam się zabić w sobie wszelkie uczucia dla innych. Nie wzięłam ani jednej pigułki, ani kwasu. Przez cały dzień piłam herbatę zmieszaną z haszyszem i paliłam jednego skręta za drugim. Po paru dniach znów wydałam się sobie całkiem w porządku. Doszłam do tego, że nie kochałam ani nie lubiłam już nikogo i nic poza sobą samą. Pomyślałam sobie, że teraz kontroluję już wszystkie swoje uczucia. Do „Soundu” nie miałam już zamiaru iść.

Najbliższa sobotnia noc była najdłuższą nocą mojego życia. Zostałam w domu. To był pierwszy sobotni wieczór od wielu tygodni, którego nie spędziłam w „Soundzie”. Nie mogłam oglądać telewizji ani spać. Nie miałam już wystarczająco dużo haszu, żeby się oszołomić. Zrozumiałam, że bez „Soundu” i tamtych ludzi w ogóle nie mogę już żyć. Bez nich moje życie było kompletnie puste.

Cieszyłam się potem na myśl o nadchodzącym piątku, zanim jeszcze tak naprawdę zdałam sobie sprawę, że znowu pójdę do „Soundu”. Wewnętrznie znów nastawiłam się na „Sound”. Robiłam coś tam z włosami i wpadłam na to, żeby w ogóle ich nie czesać. Sądziłam, że to doda mi jeszcze tajemniczości.

W piątek wyszłam z domu, żeby skombinować parę sztuk valium. Popiłam je piwem i zanim poszłam do „Soundu”, wzięłam jeszcze dodatkowo jeden mandraks. Wtedy zupełnie przestałam się bać Atzego i całej paczki. Ledwie co do mnie docierało. Pożyczyłam sobie duży dzinsowy kapelusz, usiadłam przy stoliku, położyłam głowę na blacie i przekimałam prawie całą noc.

Kiedy się na chwilę ocknęłam, Detlef zsunął mi kapelusz z twarzy i gładził mnie po włosach. Zapytał, co mi jest. Odpowiedziałam, że nic. Zachowywałam się bardzo odpychająco, ale mimo to było mi niesamowicie przyjemnie, że tak się o mnie troszczy.

Już w następną sobotę prawie przez cały czas byłam z Detlefem. Znów miałam powód, żeby chodzić do „Soundu”. Detlef.

Z nim to była sprawa bardzo powolna. To nie było takie olśnienie jak przy Atzem. Najpierw po prostu bywaliśmy razem w „Soundzie”. Dużo ze sobą rozmawialiśmy.

Rozumiałam się z Dejlesem w zupełnie nowy dla mnie sposób. Nikt nad nikim nie górował, przynajmniej w rozmowach. Mogłam z nim gadać o wszystkim bez obawy, że wykorzysta moje słabości. Żadne z nas nie upierało się przy swoim. Każdy mógł drugiego przekonać. Zresztą już od pierwszej chwili bardzo przecież polubiłam Detlefa. Ale nie był dla mnie taki całkiem super jak Atze. Na to był taki jakiś za delikatny i za dziecinny. Stopniowo jednak zauważyłam, że przyjaźń z Detlesem daje mi o wiele więcej niż poprzednia z Atzem.

Z soboty na sobotę coraz bardziej go lubiłam, chociaż broniłam się przed tym, żeby znowu przywiązać się do jakiegoś chłopaka, tak jak do Atzego. Ale w którymś tam momencie musiałam się przed sobą przyznać, że naprawdę się w Detlefie zakochałam.

Bardzo się uspokoiłam. Wynikało to też stąd, że brałam coraz więcej środków uspokajających, a bardzo rzadko pobudzające. Cała moja żądza wyskakania się gdzieś zniknęła. Tylko wyjątkowo szłam potańczyć. Skakałam teraz właściwie tylko wtedy, kiedy nie mogłam skombinować valium.

W domu musiałam wydawać się mamie i Klausowi naprawdę miłą. Nie sprzeciwiałam się, przestałam z nimi walczyć. Przed niczym się już nie opierałam, bo przestało mi zależeć na tym, żeby coś się dla mnie w tym domu zmieniło. i zauważyłam, że bardzo uprościło to całą sytuację.

Na Boże Narodzenie 1975 - miałam wtedy trzynaście i pół roku - doszłam do wniosku, że moje stosunki z mamą na tyle się dzięki mojej rezygnacji poprawiły, że mogę jej wyjawić część prawdy. Powiedziałam jej więc, że wcale nie zawsze nocowałam u Kessi, ale czasami zostawałam w „Soundzie” całą noc, kiedy odeszła ostatnia kolejka. Oczywiście mama trochę się rozzłościła i zaczęła prawić morały. Powiedziałam jej, że to chyba lepiej, jak sobie czasem zostaną na noc na dyskotece i wrócę potem do domu, zamiast dawać dyla jak inne dzieci z Gropiusstadt i zostać na gigancie. Powiedziałam też, że to chyba lepiej, jak dowie się prawdy i będzie wiedziała, gdzie jestem, zamiast, żebym ją musiała okłamywać. Jakoś to w końcu przelknęła.

Tak właściwie nie odczuwałam już jakiejś silnej potrzeby opowiadania mamie o sobie. Ale to ciągle oszukiwanie trochę mnie wkurzało. W dodatku coraz trudniej było wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę. Przyczyną mojego przyznania się było to, że dwa dni świąt i sylwestra chciałam spędzić w „Soundzie”, a trudno było mi coś wymyślić. No i faktycznie, mama pozwoliła mi w święta co wieczór zostać poza domem. Sama byłam zdziwiona. Z tym, że oczywiście naopowiadałam mamie, jaka to porządna, niewinna dyskoteka dla nastolatków ten „Sound”, i, że wszystkie moje koleżanki też tam będą. Poza tym zwróciłam jej uwagę, że sama przecież widzi, o ile jestem spokojniejsza, jak się tak raz w tygodniu porządnie

wyszaleję.

A w „Soundzie” robiło się coraz ostrzej. Jakby nagle wybuchła bomba: heroina. Także i w naszej paczce bez przerwy gadało się teraz o heroinie. Właściwie wszyscy byli przeciwko. Mieliśmy przecież aż za dużo przykładów ludzi, których wykończyła hera. Ale potem jeden po drugim próbował ten pierwszy raz i większość nie przestawała. Heroina rozbiła naszą paczkę. Kto raz spróbował, natychmiast wchodził w zupełnie inną grupę.

Ja czułam niesamowity lęk przed heroiną. Kiedy szło o heroinę, to natychmiast znów sobie uświadamiałam, że mam dopiero trzynaście lat. Z drugiej strony niesamowicie imponowały mi te grupki, gdzie się ćpało. Znów było to dla mnie coś o stopień wyższego. Ćpuny patrzyły na nas, palących hasz i łykających prochy, z niesamowitą pogardą. Hasz nazywali narkotykiem dla smarkaczy. W jakiś sposób deprymowało mnie to przekonanie, że nigdy nie dostanę się między ćpunów, czyli prawdziwych narkomanów. A więc, że nie skoczę już wyżej w hierarchii. Bo czułam właśnie ten lęk przed narkotykiem, o którym wiedziałam, że to już naprawdę końcówka wszystkiego.

Nie za bardzo mnie nawet ruszyło, że przez heroinę rozleciała się nasza paczka, bo miałam Detlefa. Cała reszta nie była już aż tak ważna. Z Detlefem układało się coraz lepiej. W którąś niedzielę, na początku 1976 roku, przyprowadziłam go do siebie do domu. Wiedziałam wtedy, że mamy i Klause nie będzie. Ugotowałam Detlefowi regularny obiad. Siedzieliśmy potem przy stole i jedliśmy ten nasz niedzielny obiad jak mąż i żona. Wydało mi się to niesamowicie fajne.

Przez cały następny tydzień myślałam tylko o Detlefie i niesamowicie się cieszyłam, że już niedługo piątek i pójdę do „Soundu”. W tamten piątek poszłam do „Soundu” zupełnie trzeźwa, ale naprawdę szczęśliwa. Detlef siedział z jakąś kompletnie zrujnowaną dziwą. Przysiadłam się, ale Detlef ledwie zwrócił na mnie uwagę. Zauważyłam, że myśli zupełnie o czym innym. Przez moment myślałam, że jest to samo, co z Atzem Ale to była kompletna bzdura, jeśli popatrzeć na tę wrakowaną dziewczynę.

Tych dwoje początkowo w ogóle ze sobą nie rozmawiało, potem zaczęli rzucać jakieś strzępki zdań, które nie miały dla mnie sensu. W każdym razie chodziło o heroinę. Nagle wszystko załapałam. Detlef chciał od tej dziwy heroinę albo ona chciała mu coś wcisnąć. Wpadłam w panikę. Normalnie się wydarłam: - Stary, co ci odbiło. Masz dopiero szesnaście lat, nie możesz brać heroiny.

Detlef zachowywał się tak, jakby w ogóle nie słyszał. Powiedziałam: - Weź dziś wieczór trzy porcje kwasu naraz. Skombinuję ci. Ale proszę, nie wpierdalaj się w to bagno. - Normalnie błagałam.

Kiedy w ogóle nie reagował, popełniłam ogromny błąd, nad którym często się potem zastanawiałam. Wpadłam w kompletną panikę i wrzasnęłam: - Jak weźmiesz heroinę, to nie chcę cię więcej znać. Możesz się wtedy odpieprzyć. Nie chcę cię więcej widzieć. - Potem od razu poszłam tańczyć.

Wszystko zrobiłam źle. Nie trzeba było robić cyrku. Powinnam porozmawiać z nim spokojnie, kiedy tylko będziemy sami. Przecież liczył się ze mną. Przede wszystkim nie wolno go było ani na moment zostawić samego, bo był nieźle nabuzowany już w czasie rozmowy z tą dziewczyną.

Już po dwóch, trzech godzinach ktoś mi powiedział, że Detlef razem ze swoim najlepszym kumplem Berndem właśnie sobie władowali. Nawet nie wachali na pierwszy raz. Od razu w kanał.

Tej nocy zobaczyłam jeszcze Detlefa. Uśmiechał się do mnie z daleka.

Wyglądał na bardzo szczęśliwego. Nawet nie czuł potrzeby pogadania ze mną. Nie chciałam do niego podejść. To była jeszcze fatalniejsza noc niż wtedy, w sobotę, kiedy straciłam Atzego. Detlef odszedł. Do świata, do którego nie należałam. W jednej chwili przestaliśmy mieć ze sobą cokolwiek wspólnego.

Dalej chodziłam do „Soundu”. Wkrótce Detlef miał już inną dziewczynę. Nazywała się Anni, była brzydka i mało wrażliwa. Zauważyłam, że między nimi w ogóle nic nie ma. Właściwie nigdy nie widziałam, żeby Detlef z nią rozmawiał. Tyle, że też ćpała. Czasem Detlef do mnie przychodził. Był zupełnie obcy. Najczęściej przychodził, żeby pożyczyć markę albo 50 fenigów. Potem łaził, żeby dokończyć resztę forsy na porcję. Jak miałam pieniądze, to mu trochę dawałam.

Niedzielne poranki były bardzo przygnębiające. Wlokłam się wypluta na dworzec metra i myślałam: To wszystko razem gównieście. Kompletnie nie wiedziałam, co jest grane. Nie wiedziałam, po co chodzę do „Soundu”, nie wiedziałam, czemu biorę prochy, nie wiedziałam, co mogę robić innego, w ogóle kompletnie nic nie wiedziałam. Haszysz niewiele mi już dawał. Jak byłam dobra po haszu, to byłam całkowicie odizolowana i nie mogłam z nikim rozmawiać. Ale przecież trzeba było czasem z kimś pogadać, od kiedy nie było już Detlefa. Brałam coraz więcej tabletek.

Raz, kiedy pewnej soboty miałam akurat pieniądze, a w „Soundzie” były dowolne pigułki, przesadziłam. Ponieważ jakoś tak byłam w fatalnym nastroju, wzięłam dwa captagony, trzy efki i parę tabletek kofeiny i popiłam wszystko piwem. Kiedy zaczęło mnie roznosić, nie spodobało mi się. Doprawiłam mandraksem i mnóstwem valium.

Już nie pamiętam dokładnie, jak dotarłam do domu. W każdym razie w drodze z

dworca kolejki do mieszkania padłam. Doczołgałam się do schodów jakiegoś sklepu i zwinęłam się tam w kłębek. Po jakimś czasie podniosłam się po ścianie i zaczęłam leżeć od jednego punktu oparcia do drugiego. Od latarni do najbliższego drzewa i znowu do latarni. To była nie kończąca się droga. Pomyślałam sobie, że jak nie dojdę, to umrę. Najgorszy był ból w piersiach. Czułam się tak, jakby ktoś mieczem wiercił mi w sercu.

Następnego dnia rano, w poniedziałek, mama nie mogła się mnie dobudzić. Kiedy wieczorem wróciła z pracy, ja wciąż jeszcze leżałam bez ruchu. Na siłę zaczęła wlewać we mnie miód. Dopiero we wtorek po południu udało mi się podnieść z łóżka. Naopowiadałam mamie, że mam grypę i zaburzenia krążenia. Bo faktycznie często miałam kłopoty z krążeniem. Powiedziałam mamie, że inni z mojej klasy też to mają. Że to z dojrzewania i przez szybkie rośnięcie. Za wszelką cenę chciałam uniknąć wizyty lekarza, bo bałam się, że on zauważy, co się ze mną dzieje. No i mama faktycznie nie sprowadziła lekarza. Miałam wrażenie, że zawsze jest zadowolona, kiedy potrafię jakoś wytłumaczyć swój stan.

Jak na razie pigułek miałam dosyć. Do następnej soboty prawie w ogóle nic nie wzięłam. Czułam się fatalnie.

W sobotę w „Soundzie” wzięłam kwas. Przeżyłam autentyczny koszmar. Po raz pierwszy miałam prawdziwy koszmar na tripie. Ta twarz Frankensteina z plamki na moim plakacie znów się pojawiła. Potem mi się zdawało, że się wykrwawiam. Ciągnęło się to godzinami. Nie mogłam mówić ani chodzić. Jakoś dostałam się do kina w „Soundzie”, siedziałam tam pięć godzin i wydawało mi się, że się wykrwawiam.

Najwyraźniej nic już nie mogłam brać. Żadnych tabletek, żadnego LSD. Na hasz od dawna już nie miałam ochoty. Tak więc chodziłam „czysta”, jeśli nie liczyć tych paru tabletek valium od przypadku do przypadku. Chyba przez jakieś trzy tygodnie. To był kompletnie popieprzony okres. Przeprowadziliśmy się do Kreuzberg, blisko muru. Beznadziejna okolica, ale czynsz był niższy. Musiałam teraz jechać pół godziny metrem do mojej szkoły w Gropiusstadt. Ale za to „Sound” był bliżej.

W „Soundzie” było beznadziejnie bez prochów. Kompletnie nic się nie działo. Aż do tego ranka, kiedy szłam na dworzec metra i akurat wszędzie naklejali plakaty. Było na nich napisane: David Bowie w Berlinie! Nie mieściło mi się to w głowie. David Bowie to był nasz absolutny idol, nie do pobicia. Jego muzyka była najlepsza. Wszyscy chłopcy chcieli wyglądać jak David Bowie. i nagle właśnie on przyjeżdża do Berlina.

Mama załatwiła mi z pracy dwie wejściówki na koncert. Dziwnym trafem od pierwszej chwili wiedziałam, komu dać drugą: Frank. Nie zastanawiałam się, dlaczego akurat on. Frank był jednym z naszej starej paczki z „Soundu”. Jakoś tak z natury wyglądał jak

David Bowie. Nawet przyfarbował sobie henną włosy na czerwono. Może to był powód, że o nim pomyślałam.

Ale poza tym Frank pierwszy z naszej paczki zaczął tak naprawdę ćpać. i jako pierwszy fizycznie ciężko uzależnił się od hery. Dawniej mówiło się na niego Kurczak. Teraz każdy mówił o nim Truposz, bo z czasem zaczął wyglądać jak prawdziwy chodzący trup. Jak wszyscy chłopcy z paczki miał około szesnastu lat. Ale jak na swój wiek, miał niesamowity dystans. Był ponad wszystko. Był tak wyluzowany, że nawet w stosunku do mnie, smarkatej nowicjuszki, nigdy nie był wyniosły.

Tak więc wybrałam sobie akurat regularnego ćpuna, żeby poszedł ze mną na ten koncert, który wydawał mi się wtedy jednym z najważniejszych wydarzeń w całym moim życiu. Kiedy proponowałam Kurczakowi wejściówkę, nie zdawałam sobie nawet sprawy, jaką to ma wagę. Przecież żyłam tylko podświadomością. Ale najwidoczniej przez te tygodnie, kiedy tabletki, shit i LSD przestały mi cokolwiek dawać, musiał zmienić się mój stosunek do heroiny. W każdym razie

bariery nie do przezwyciężenia, które oddzielały mnie od ćpunów, najwidoczniej zniknęły.

W dniu koncertu spotkałam się z Kurczakiem na Hermannplatz. Kurczak był niesamowicie długi i potwornie chudy. Nigdy dotąd nie rzucało mi się to tak w oczy. Powiedziałam mu to. Odpowiedział, że waży teraz sześćdziesiąt trzy kilogramy. Właśnie się ważył przy oddawaniu krwi. Kurczak część forsy na narkotyki zarabiał oddając krew. Chociaż wyglądał jak trup, a jego ręce były kompletnie skłute i przecież narkomani często chorują na żółtaczkę, za każdym razem zgadzali się pobrać mu krew.

W metrze zauważyłam, że zapomniałam zabrać valium. Powiedziałam do Kurczaka: - Cholera, koniecznie chciałam to mieć, w razie gdybym dostawała świra na koncercie. - Z tym, że już w domu zażyłam oczywiście parę sztuk. Nie po to, żeby się oszołomić, ale, żeby w czasie koncertu mieć ten dystans.

Kurczak od razu przypiął się do tego valium, które miałam w domu. Koniecznie chciał się wracać. Zapytałam. - Co się tak napaliłeś na to valium? - Znowu powiedział, że chce się wrócić. Kiedy mu się dokładniej przyjrzałam, skapowałam, w czym rzecz. Ręce mu się trzęsły. Był na głodzie. U nas mówiło się „turkey”. To po angielsku znaczy indyk. Kiedy indyk jest podniecony, cały się trzęsie. Turkey to są objawy abstynencyjne u starych narkomanów, kiedy ustępuje działanie narkotyku.

Wylczyłam Kurczakowi, że nie możemy się wrócić, bo spóźnilibyśmy się na koncert. Powiedział, że nie ma hery ani szmalu. Przez ten koncert nie udało mu się nic skombinować.

i, że to kurewski pech być na głodzie akurat przed koncertem Davida Bowie i nie mieć nawet valium. Kurczak nie był już wcale wyluzowany i z dystansem. Często widywałam ludzi na głodzie, ale nigdy nie dotarło to do mnie tak ostro.

W Deutschlandhalle, gdzie miał się odbyć koncert, była wspaniała atmosfera. Naokoło prawie wyłącznie obłądni ludzie, właśnie fani Davida Bowie. Obok nas siedzieli amerykańscy żołnierze i palili hasz. Wystarczyło, że na nich popatrzyliśmy, i od razu fajka zawędrowała i do nas. Wszyscy byli w obłądnym nastroju. Kurczak ciągnął z fajki jak wariat. Mimo to było z nim coraz gorzej.

Kiedy Bowie zaczął śpiewać, zrobiło się prawie tak genialnie, jak sobie wyobrażałam. Było obłądnie. Ale jak doszedł do utworu „It is too late”, „Już za późno”, momentalnie mnie wzięło. Zupełnie idiotycznie w jednej chwili byłam gotowa. Już przez parę ostatnich tygodni, kiedy kompletnie nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, to „It is too late” niesamowicie mnie brało. Wydawało mi się, że ten utwór opisuje dokładnie moją sytuację. No i teraz to „It is too late” kompletnie mnie załatwiło. Przydałoby mi się moje valium.

Po koncercie Kurczak autentycznie ledwie chodził. Był na kompletnym głodzie. Spotkaliśmy Bernda, kumpla Detlefa. Bernd władował sobie już przed koncertem. Powiedział, że trzeba coś wykombinować dla Kurczaka. On sam też by chętnie wtrysnął sobie jeszcze jedną działkę.

Bernd miał jeszcze dwie porcje kwasu. Bardzo szybko sprzedaliśmy je pod Deutschlandhalle i mieliśmy już 12 marek. Resztę miałam skołować od ludzi. Byłam mistrzem w kołowaniu. W „Soundzie” większą część forsy, jaką potrzebowałam na prochy, udawało mi się skołować od ludzi. Potrzebowaliśmy co najmniej 20 marek. Poniżej tej sumy nie było nic do kupienia. Pod Deutschlandhalle szło mi wspaniale. Na koncert przyszło mnóstwo ludzi z forszą, których nikt jeszcze nie zanudzał bez przerwy, żeby trochę odpalili. Łaziłam od człowieka do człowieka mówiąc „Nie mam forsy na bilet powrotny” albo coś w tym sensie i forsa tylko brzęczała lecąc do plastikowej torebki. Bernd kupił za to heroiny. Spokojnie wystarczyło na dwie działki. Wtedy wszystko było jeszcze stosunkowo tanie.

Ta myśl pojawiła się nagle: Jak już skołowałaś na to forszę, to czemu nie miałabyś chociaż spróbować. Zobaczymy, czy to rzeczywiście takie bombowe, jak widać czasem po wniebowziętych minach tych, co zaćpali. Autentycznie o nic więcej mi nie chodziło. Nie zdawałam sobie przecież sprawy, że przez ostatnie miesiące systematycznie przygotowywałam się do heroiny. Nie miałam nawet pojęcia, że jestem w takiej niesamowitej depresji, że to „It is too late” tak mnie walnęło, że teraz żaden inny narkotyk nie pomoże mi się z tego wyciągnąć, że heroina jest naturalną konsekwencją drogi, którą wybrałam.

Myślałam tylko o jednym, za nic nie chciałam, żeby ci dwaj się wynieśli i zostawili mnie samą w takim kurewskim nastroju. Natychmiast im powiedziałam, że też chcę raz spróbować. Kurczak ledwie mógł mówić. Ale normalnie się wściekł. Powiedział: - Nie zrobisz tego. Nie masz pojęcia, co to jest. Jak to zrobisz, to całkiem niedługo dojdiesz do tego, co ja. Będiesz zwykły trup. - Kurczak doskonale wiedział, że mówimy na niego Truposz.

Jak widać, wcale nie było tak, że oto ja, biedna dziewczynka, dostałam się w szpony brzydkiego narkomana czy handlarza narkotyków i zostałam świadomie wciągnięta w nałóg, jak to się zawsze czyta w gazetach. Nie znam nikogo, kto wpadłby w nałóg wbrew swojej woli. Większość młodzieży zupełnie sama przechodzi na heroinę, kiedy po prostu do tego dojrzeje, tak jak to było ze mną.

Bełkotliwa gadka Kurczaka tylko zwiększała mój upór. Teraz, jak był na głodzie, w niczym nie przypominał wyluzowanego, fantastycznego Kurczaka, był tylko zwykłym, zależnym ode mnie nieborakiem. Nie miałam ochoty słuchać jego uwag. Powiedziałam: - Po pierwsze towar jest prawie w całości mój, bo ja skołowałam pieniądze. Poza tym nie masz co tyle pieprzyć. Przecież nie mam zamiaru się uzależniać, tak jak ty. Całkowicie się kontroluję. Spróbuję tylko ten raz, a potem koniec.

Nie miałam jeszcze pojęcia, jaki człowiek jest na głodzie słaby. Na Kurczaku w każdym razie zrobiło wrażenie to, co powiedziałam. W ogóle nie otworzył już dzioba Bernd też coś tam próbował mendzić, ale wcale go nie słuchałam, tylko powiedziałam, że jak mi nie chcą dać spróbować, to biorę całą swoją część. Niesamowicie się na to napaliłam. Nie miałam żadnych oporów, żadnych wyrzutów sumienia. Po prostu chciałam jak najszybciej spróbować, żeby w końcu znów czuć się jak zawsze. Strzykawki się bałam. Powiedziałam do chłopaków: - Nie chcę ładować. Niuchnę sobie. - Bernd powiedział mi, co mam robić, chociaż od dawna już wszystko wiedziałam z tych ciągłych rozmów o heroinie.

Od razu wciągnęłam ten proszek nosem. Jedyne co poczułam, to gryzący, gorzki smak. O mało nie zwymiotowałam i strasznie dużo tego w końcu wyplułam. Ale potem weszło już niesamowicie szybko. Nogi i ręce zrobiły mi się strasznie ciężkie i jednocześnie zupełnie lekkie. Ogarnęło mnie niesamowite znużenie i było to fantastyczne uczucie. Cały dotychczasowy syf przepadł bez śladu. Żadnego „It is too late”. Czułam się tak fantastycznie, jak nigdy dotąd. To było 18 kwietnia 1976, na miesiąc przed moimi czternastymi urodzinami. Tej daty nigdy nie zapomnę.

Kurczak i Bernd poszli z jednym narkomanem do jego wozu, żeby sobie władować. Poszłam do „Soundu” nie czekając na nich. Wcale mi już nie przeszkadzało, że jestem sama. Wydawało mi się to nawet niesamowicie super. Czułam się niesamowicie silna. W

„Soundzie” siadłam na jakiejś ławce. Podeszła Astrid, przyjrzała mi się i zapytała: - Dziewczyno, co ty, zaćpałaś? - Astrid była w tym czasie moją najlepszą przyjaciółką.

Mimo to wkurzyło mnie jej głupie pytanie. Wrzasnęłam: - Odpieprz się ode mnie. Spierdalaj stąd. - Nie miałam pojęcia, czemu się wściekam.

Przyszli Kurczak i Bernd i też byli dobrzy. Kurczak znowu był niesamowity i świetny, jak dawniej. Detlefa w „Soundzie” nie było. Chciało mi się pić i przyniosłam sobie sok wiśniowy. Całą noc piłam sok wiśniowy. Przed alkoholem miałam potworny lęk.

O piątej rano Bernd zapytał, czy nie wpadlibyśmy jeszcze do niego na herbatę. Poszliśmy. Absolutnie szczęśliwa wzięłam Kurczaka pod rękę. Sok wiśniowy przelewał mi się w brzuchu jak oszalały i musiałam zwymiotować. Rzygałam idąc. Kompletnie mi to nie przeszkadzało. Bernd i Kurczak jakby tego w ogóle nie zauważyli.

Czułam się jak we wspaniałej, nowej rodzinie. Nie mówiłam dużo, ale miałam wrażenie, że z tymi dwoma mogłabym rozmawiać o wszystkim. Heroina zrobiła z nas rodzeństwo. Wszyscy byliśmy równi. Potrafiłabym zdradzić im najskrytsze myśli. Po tych beznadziejnych ostatnich tygodniach czułam się szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Spałam z Berndem w jednym łóżku. Nawet mnie nie dotknął. Byliśmy przecież rodzeństwem, heroinowym rodzeństwem. Kurczak położył się na podłodze z głową opartą o fotel. Przeleżał tak do drugiej po południu. Potem wstał, bo znów zaczynał się głód i musiał sobie zorganizować towar.

Na całym ciele czułam niesamowite swędzenie. Rozebrałam się do naga i drapałam się szczotką do włosów. Podrapałam się do krwi, zwłaszcza na łydkach. Zupełnie się tym nie przejęłam. Wiedziałam, że narkomani się drapią. Po tym drapaniu już w „Soundzie” od razu poznawałam, kto ćpa. Łydki Kurczaka były tak rozdrapane, że nie było na nich kawałka całej skóry, a w niektórych miejscach widać było mięso. Kurczak drapał się po łydkach nie szczotką, tylko scyzorykiem.

Przed wyjściem Kurczak powiedział: - Jutro mogę ci oddać porcję, którą mi dałaś - Dla niego było więc już jasne, że zostałam regularną narkomanką, która najpóźniej na drugi dzień znów musi zaćpać. Udałam kompletną obojętność i powiedziałam: - Co się szczypiesz. Nie ma pośpiechu. Wystarczy, jak mi oddasz za miesiąc.

Ponownie usnęłam, absolutnie szczęśliwa i spokojna. Wieczorem pojechałam do domu. Były takie chwile, że mówiłam sobie mniej więcej tak: - Dziewczyno, masz trzynaście lat i brałaś już heroinę. Coś tu jest do dupy. - Ale to tylko chwilami. Za dobrze mi było, żebym się miała zastanawiać. Jak się zaczyna, to nie ma przecież objawów abstynencyjnych. Ten mój wspaniały nastrój utrzymywał się przez cały tydzień. Wszystko szło jak trzeba. W

domu ani jednego spięcia. W szkole byłam kompletnie zrelaksowana, od czasu do czasu się włączałam i wpadło parę dobrych ocen. Przez następne tygodnie z wielu przedmiotów wyciągnęłam się na czwórki. Nagle zaczęło mi się zdawać, że potrafię z każdym i ze wszystkim jakoś dojść do ładu. Zupełnie luzniutko płynęłam sobie przez życie. W ciągu tygodnia znów łąziłam do „Haus der Mitte”. Okazało się, że już czwórka ludzi z naszej starej paczki przeszła na heroinę. Właśnie z nimi siedziałam gdzieś z boku. W ciągu niewielu tygodni w „Haus der Mitte” gwałtownie wzrosła liczba narkomanów. Heroina wkraczała też ostro do Gropiusstadt.

JURGEN OUANDT

pastor, kierownik Ewangelickiego Centrum Młodzieżowego „Haus der Mitte”

Klub młodzieżowy w centrum ewangelickim „Haus der Mitte” przez całe lata był głównym miejscem spotkań młodzieży z Gropiusstadt i Neukölln. Co wieczór przychodziło do nas około pięciuset dziewcząt i chłopców, aż do grudnia roku 1976, kiedy to zamknęliśmy placówkę w związku z gwałtownym wzrostem liczby młodocianych zażywających heroinę, aby w ten sposób zwrócić uwagę opinii publicznej na katastrofalność sytuacji.

Co było zaskakujące dla nas, pedagogów, którzy w okresie ruchów studenckich dyskutowali na temat używania tzw. miękkich narkotyków głównie pod kątem ich wpływu na rozwój świadomości, to szybkość, z jaką w Gropiusstadt wytworzył się rynek „twardych” narkotyków. W ciągu niewielu miesięcy od trzydziestu do pięćdziesięciu młodocianych z naszego terenu przerzuciło się na heroinę. Podejmowane przez nas dotąd, poparte rzeczową argumentacją, a nie środkami dyscyplinarnymi, próby przekonania młodzieży o szkodliwości używania narkotyków musiały podziałać na młodzież wręcz jak zaproszenie do dalszego narkotyzowania się i przyznanie się do naszej bezradności w walce z narkotykami

Praktyka naszego klubu w „Haus der Mitte” wykazała dowodnie to, czemu władze z takim uporem zaprzeczały: mianowicie, że tak zwana fala narkomanii bynajmniej nie opada. Wprost przeciwnie nawet, problem narkomanii przybrał jakościowe i ilościowe rozmiary porównywalne z amerykańskimi. Materiał stanowiła teraz pozbawiona możliwości pracy oraz dalszego kształcenia się młodzież z rodzin robotniczych. Jako pedagogom pozostał nam jedynie publiczny protest przeciwko ignorancji władz. Zamknięcie naszego klubu młodzieżowego miało wydobyć na światło dzienne to, co wielu wolałoby pozostawić w ciemności. Tak się też stało - dziś toczą się w Berlinie Zachodnim intensywne debaty na temat problemu narkomanii oraz stanowiska władz.

Tymczasem klub otwarto ponownie. Niektóre z żądań, będących warunkiem otwarcia placówki, zostały spełnione. W Neukölln powstała finansowana przez państwo poradnia dla narkomanów, w Gropiusstadt utworzono placówkę, w której odbywają się spotkania zagrożonej narkomanią młodzieży (tzw. Cleant'us), rozszerzono też wachlarz metod terapeutycznych. Po upływie dwóch lat problemy związane z narkomanią wcale się nie zmniejszyły, choć mamy teraz do czynienia z następną generacją dorastającej młodzieży. Kilkoro z tych nastolatków, którzy przed dwoma laty zaczęli z heroiną, już nie żyje.

Jednocześnie warunki życiowe młodzieży wcale się nie poprawiły. Obok starych problemów pojawiają się nowe: coraz więcej młodocianych w Gropiusstadt nosi przy sobie broń i w przypadkach krytycznych nie waha się jej użyć. Niejednokrotnie wiąże się to obecnie z odpowiednim sztafagem narodowosocjalistycznym i gotowością do przejścia faszystowskiej spuścizny ideologicznej.

Większość osób, z którymi mamy do czynienia w „Haus der Mitte”, pochodzi z rodzin robotniczych. Ich sytuacja, mimo pozornego wzrostu dobrobytu, charakteryzuje się wzrastającym systematycznie pogarszaniem się warunków egzystencji - pogoń za wynikami i stresy w szkole, przepelnione klasy, brak miejsc do nauki zawodu, bezrobocie i konflikty rodzinne są konkretnym wyrazem tego pogorszenia.

W osiedlu mieszkaniowym, takim jak Gropiusstadt, liczącym około czterdziestu pięciu tysięcy mieszkańców, dochodzi jeszcze dodatkowo i to, że w związku z zagęszczeniem ludności wszelkie problemy zyskują charakter masowy: a więc mamy tu wiele bezrobotnej młodzieży, wiele konfliktów rodzinnych, częste przypadki wagarowania itd. W dodatku środowisko „naturalne” oferuje już tylko bardzo niewiele natury, a co za tym idzie możliwości obcowania z nią. - Najślabsze grupy w społeczeństwie, a więc dzieci, młodzież i ludzie starzy, najbardziej narażone są na niszczycielski wpływ tego rodzaju warunków. Po zakończeniu budowy osiedla - a oznacza to wykorzystanie wszelkich terenów nadających się pod zabudowę - brakuje w Gropiusstadt odpowiednich warunków do zabaw dla dzieci, miejsc rozrywk dla młodzieży i dorosłych, no i przede wszystkim terenów rekreacyjnych. Nie ma tu ani rozległych parków, ani łąk czy lasów; po prostu nie ma terenów, na których dzieci mogłyby się legalnie wyszaleć, a dorośli chodzić na spacer.

Logika takich osiedli, jak Gropiusstadt, opiera się na rentowności kapitału, bez uwzględnienia potrzeb i elementarnych wymagań życiowych człowieka. Coraz wyraźniej dają o sobie znać dotychczas jedynie domniemywane skutki wymuszanego stylu życia.

Troski materialne nadal stanowią przyczynę wielu konfliktów i problemów. Wysoki czynsz oraz wciąż rosnące koszty utrzymania zmuszają do pracy w coraz większym wymiarze

godzin oraz do pracy zarobkowej obojga rodziców. Tak więc życie ludzkie podlega tu pozornie nieuniknionemu przymusowi poświęcania coraz większej ilości czasu i energii codziennej pracy zawodowej, bez możliwości osiągnięcia w zamian prawdziwego szczęścia i dobrobytu.

Narkotyki z dawien dawna był jednym z najstraszniejszych środków pozbawiania ludzi świadomości tego, że należą do ofiar rozwoju społecznego. Alkohol wystarczająco długo spełniał tę właśnie rolę w środowiskach robotniczych. W ostatnich latach doszły do tego inne środki prowadzące do powstania nałogu: psychotropy - całkiem legalny i dochodowy interes - oraz narkotyki, jak heroina i kokaina, wprowadzone nielegalnie, ale nie mniej dochodowe.

Zdumiewające jest właściwie nie to, jak wiele osób robi z tych środków użytek, ale to, jak wiele osób, pomimo poważnych problemów życiowych, po nie sięga. Dotyczy to także, a nawet zwłaszcza, młodzieży. Zważywszy jej sytuację, wzrost narkomanii i przestępczości, przybierająca na sile brutalizacja zachowań i spopularyzowanie wśród młodzieży ze środowisk robotniczych faszystowskiej spuścizny ideologicznej nie powinny nikogo dziwić.

Żaden poważnie myślący człowiek nie może zaprzeczyć, że pomiędzy wzrostem narkomanii wśród młodzieży robotniczej a powszechnym pogorszeniem warunków jej egzystencji zachodzi bezpośredni, wykorzystany zresztą bezbłędnie przez sfery komercyjne, związek.

W tydzień po tym, jak pierwszy raz niuchałam heroinę, spotkałam w „Soundzie” Detlefa. Natychmiast na mnie naskoczył: - Co ci strzeliło do łba! Ty musisz być jednak zdrowo pierdolnięta. - Słyszał już od Astrid, że niuchałam.

Powiedziałam do niego: - Przybastuj, staruszk. To przecież ty zacząłeś i jesteś już normalnym narkomanem. Mnie to nie grozi.

Detlef nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Zresztą był w nie najlepszej formie. Nie był na głodzie, bo jeszcze się fizycznie nie uzależnił. Ale miał niesamowitą chciwość, żeby coś zaćpać. W końcu powiedział, że nie ma forsy, a chciałby kupić trochę towaru.

Ja na to: - No i widzisz, stary? - A potem zaproponowałam, żebyśmy wspólnie skołowali od ludzi forszę. Zgodził się, chociaż przecież musiał sobie zdawać sprawę, jak to się skończy. W ciągu 20 minut zebrałam pod „Soundem” 20 marek. Detlef miał o wiele mniej. Ale starczyło spokojnie dla nas dwojga, bo wystarczała nam jeszcze bardzo niewielka porcja, żeby się naćpać. Tak w ogóle, to nawet nie rozmawialiśmy o tym, czy ja też mam coś z tego dostać. To było po prostu jasne. Detlef władował sobie tego wieczora swoją porcję, ja miałam swojego niucha. A więc nic nie wyszło z mojego cichego postanowienia, że spróbuję znowu

dopiero za miesiąc.

Detlef i ja znów byliśmy razem. Zupełnie jakbyśmy się w ogóle nie rozstawali. Żadne z nas nie mówiło o tych tygodniach, kiedy omijaliśmy się z daleka w „Soundzie”. Znowu było tak pięknie, jak w tamtą niedzielę, kiedy gotowałam dla niego i razem jedliśmy obiad.

Chyba byłam szczęśliwa, że stało się to, co się stało. Gdybym nie spróbowała heroiny, nigdy nie byłabym już z Detlefem. Wmawiałam sobie, że będę ćpać tylko na weekendach. Każdy, kto zaczyna z heroiną, sobie to wmawia, chociaż nie znam nikogo, komu by się udało. Poza tym wmówiłam sobie, że potrafię uratować Detlefa przed całkowitym popadnięciem w nałóg. To były takie kłamstwka, którymi się uspokajałam.

W podświadomości prawdopodobnie wcale w nie nie wierzyłam. Kiedy ktoś mnie pytał o heroinę, zaraz byłam wpieniona. Od razu wrzeszczałam: - Spierdalaj. - Jak po pierwszym niuchu, kiedy przyczepiła się do mnie Astryd, i zaczęłam nienawidzić wszystkich dziewczyn w moim wieku, po których poznawałam, że są na tej samej drodze, co ja. Rozpoznawałam je w metrze i w dyskotecie, te wszystkie smarkate próbujące haszu i LSD, które starały się już ubierać jak stare ćpunkki, te dwunasto - i trzynastoletnie giganciary, pętające się po „Soundzie”. Mówiłam wtedy do siebie: Ta głupia mała pipa skończy na heroinie. - Chociaż normalnie jestem bardzo zrównoważona, te dziewczyny budziły we mnie autentyczną agresję. Zupełnie na serio ich nienawidziłam. Nigdy nie wpadłam na to, że właściwie nienawidzę samej siebie.

Niuchałam regularnie przez parę weekendów, ale potem faktycznie zrobiłam dwutygodniową pauzę. Żadna trudność, wmawiałam sobie. Fizycznie zresztą wcale nie poczułam się gorzej. Ale znowu wylazło to bagno, co zwykle. Nic mi się nie chciało, znowu zaczęłam klócić się z mamą. To było na krótko przed feriami wielkanocnymi 1976.

W pierwszą sobotę ferii siedziałam w „Soundzie” na ławce przy schodach i znów tak naprawdę nie wiedziałam, po co tam siedzę. Po schodach zeszły dwie dziewczynki, takie po około dwunastu lat, ale zrobione na szesnastki, szminka, biustonosz. Ja też opowiadałam każdemu, kto mnie dokładnie nie znał, że mam szesnaście lat, i malowałam się, żeby na tyle wyglądać. Od razu poczułam niesamowitą niechęć do tych dwóch dziewczyn. Ale potem zaczęły mnie interesować. Nie spuszczałam ich z oka.

Po ich zachowaniu od razu poznałam, że szukają kontaktu. Chciały się wkręcić do jakiejś paczki. A najbardziej odpowiadałoby im prawdziwi narkomani, pomyślałam sobie. Znały już zresztą Richiego, szefa kuchni w „Soundzie”. Jako jedyny z pracujących w „Soundzie” był trochę starszy, gdzieś tak pod czterdziestkę. Lubił dziewczynki w tym wieku. Taki dobry wujcio dziewczyn na gigancie. No więc te dwie smarkule gadały sobie z Richiem

przez kontuar. Musiały zauważyć, że je obserwuję. Co chwila zresztą patrzyły w moją stronę. Pewnie dlatego, że byłam w ich wieku. Potem jedna z nich do mnie podeszła. Miała naprawdę niewinną twarz aniołka. Powiedziała, że nazywa się Babsi, i zapytała, czy nie miałabym dla niej porcji kwasu.

Powiedziałam jej: - Daj sobie spokój. Nie warto. Po cholere ci kwas. - Sprawiała mi przyjemność świadomość wielkiej przewagi, jaką nad nią miałam. Niech się nauczy, że kogoś, kto ma za sobą doświadczenia z heroiną, nie napada się tak po prostu z powodu kwasu. Pewnie imponowałam jej tak samo, jak mnie parę miesięcy temu ludzie, którzy zaszli już dalej w hierarchii nałogowców. Babsi powiedziała, że chce mi postawić sok wiśniowy i zaraz wróci.

Kiedy tylko odeszła, natychmiast przyszła ta druga. Nazywała się Stella. Zapytała, czego chciała Babsi. Powiedziałam, że kwasu.

Stella zapytała: - Dała ci już pieniądze? Bo wiesz, wsiąkło mi gdzieś pięć marek. Na pewno mi podwędziła. - To była typowa zagrywka Stelli. Mogłam się o tym przekonać, kiedy później zaczęłyśmy spędzać wspólnie prawie każdy dzień. Bo Babsi i Stella zostały moimi najlepszymi przyjaciółkami. Aż do czasu, kiedy nazwisko Babsi narobiło szumu w gazetach, bo była najmłodszą w Berlinie śmiertelną ofiarą heroiny.

Potem przyszła Babsi z sokiem. Gardziłam nią, ale też jakoś lubiłam za tę jej anielską twarzyczkę i nieskomplikowaną, naiwną naturę. Zaczęłyśmy gadać. Babsi i Stella wyleciały ze szkoły realnej, bo za dużo opuszczały lekcji. A wagarowały dlatego, że dostały się do paczki, w której niesamowicie paliło się hasz.

Teraz dały nogę z domu, a więc były na gigancie i chciały przeżyć coś więcej, niż daje hasz. Babsi miała dwanaście lat, Stella trzynaście.

Zaprosiłam Babsi do siebie na następny dzień przed południem. Ponieważ kompletnie nie miała łachów, dałam jej dwa swoje podkoszulki i jedne gacie. Potem ona spała w moim łóżku, a ja gotowałam obiad. Polubiłam ją teraz tak naprawdę. Następnego dnia zaprzyjaźniłam się także ze Stellą. Były takie, jak jeszcze niedawno ja sama. W ich towarzystwie czułam się nie wiem czemu jakoś lepiej niż z kompletnie zrujnowanymi narkomanami. Paliły hasz, brały kwas i dzięki nim rzeczywiście troszkę oderwałam się od ludzi, którzy mówili i myśleli tylko o heroinie. Tylko w soboty miałam tego swojego niucha. Reszta ludzi z paczki stroiła sobie ze mnie żarty, że zadają się teraz z takimi smarkulami. Ale zupełnie się tym nie przejmowałam.

Po prostu miałyśmy o czym pogadać. Wszystkie trzy miałyśmy w domu podobne problemy. Ojciec Babsi zabił się, kiedy była jeszcze małym dzieckiem. Babsi opowiadała, że

jej mama była w Berlinie Wschodnim tancerką, a potem na Zachodzie fotomodelką. Jej ojczym był znanym pianistą. Światowej sławy artysta, powiedziała Babsi. Była z niego strasznie dumna. Zwłaszcza kiedy szliśmy do sklepu płytowego, gdzie było rzeczywiście mnóstwo płyt z jego nazwiskiem i zdjęciem na kopertach. W każdym razie ten pianista nie za bardzo się chyba o nią troszczył. Babsi mieszkała u dziadków, którzy ją adoptowali. Żyła tam jak księżniczka. Potem byłam parę razy u niej w domu. Miała zupełnie niesamowity pokój z obłądnymi meblami. Miała bombowy gramofon i stosy płyt. i zatrzęsienie ciuchów. Ale nie znosiły się z babcią, która była prawdziwą zgagą. Babsi najchętniej zamieszkałaby z powrotem z mamą. Więc rzuciła w diabły ten swój bombowy pokój i prysnęła przez to z domu.

Stella też miała piękną mamę, i też ją kochała. Ale jej ojciec zginął w czasie pożaru mieszkania. Kiedy to się stało, Stella miała chyba dziesięć lat. i od tego czasu wszystko było na głowie mamy, która nigdy nie miała dla Stelli czasu i zaczęła trochę popijać. Stella miała wtedy kompletnego świra na punkcie Muhammada Ali. Marzyła o jego sile. Wydaje mi się, że był w jej wyobraźni ojcem i kochankiem jednocześnie.

Tak więc wszystkie trzy byłyśmy na tej samej drodze. Zresztą przecież już pierwszego wieczora byłam pewna, że te dwie też skończą na heroinie. Ale kiedy przyszedł ten moment, że Stella zapytała mnie o heroinę, byłam naprawdę oburzona. Znowu się wpieniłam i zaczęłam na nią wrzeszczeć: - Wybij to sobie ze łba. I tak nikt ci nie da. Ja też rzucam to w cholere. To w ogóle nic nie daje.

Rzeczywiście nic jej nie dałam, powiedziałam reszcie, żeby też nic Stelli nie dawali. Ale po paru dniach dostała jednak trochę od Blacky'ego, jednego chłopaka z naszej paczki, z którym się zaprzyjaźniła. A Babsi oczywiście musiała pójść w jej ślady.

No ale nie miały za wiele okazji, żeby wyprosić więcej niuchów. Wpadły w jakiejś łapance i odstawili je do domu. Na parę tygodni straciłam je z oczu.

Tymczasem robiła się wiosna i na dworze było coraz cieplej. Z pierwszymi cieplejszymi dniami w roku wiązało się dla mnie uczucie szczęścia. Prawdopodobnie zostało mi to z dzieciństwa. Bieganie na bosaka, rozbieranie się do naga, taplenie się w wodzie, rozkwitające w ogrodzie kwiaty. Wiosną 1976 daremnie czekałam na to uczucie szczęścia. Ani na chwilę nie mogłam uwolnić się od problemów, nie wiedząc nawet tak naprawdę, co to za problemy. Ale taki niuch dawno już przestał wystarczać na tydzień.

W maju obchodziłam czternaste urodziny. Mama ucałowała mnie i wręczyła pięćdziesiąt marek. Te pięćdziesiąt marek zaoszczędziła z domowych pieniędzy. Miałam sobie kupić coś, z czego będę się najbardziej cieszyć.

Detlef wyjął igłę z żyły i nie odezwał się ani słowem. Wyszedł z łazienki, a ja za nim. W końcu powiedział: - Odprowadzę cię do autobusu. - Odsypałam trochę z drugiej działki i dałam mu. Wsadził towar do kieszeni bez jednego słowa. Poszliśmy na przystanek. Detlef dalej się nie odzywał. Chciałam, żeby się na mnie darł, żeby mnie nawet zbił, żeby przynajmniej odezwał się chociaż słowem. Powiedziałam: - Słuchaj, no, powiedz coś. - A on nic, nic, nic.

Kiedy staliśmy już na przystanku i przyjechał autobus, nie wsiadłam. Jak autobus odjechał, powiedziałam: - Słuchaj, to, co ci powiedziałam, to najszczęsza prawda. Słowo honoru, że mu tylko obciągnęłam, i wcale nie było tak strasznie. Musisz mi uwierzyć. A może przestałeś mieć do mnie zaufanie?

Detlef powiedział: - W porządku, wierzę ci.

Ja mówię: - Posłuchaj, zrobiłam to naprawdę tylko dla ciebie.

Detlef podniósł głos: - Przestań pieprzyć. Zrobiłaś to dla siebie. Byłaś na głodzie i przemogłaś się. Wspaniale. Zrobiłabyś to nawet, gdyby mnie wcale nie było. Dziewczyno, zrozum to wreszcie. Jesteś teraz narkomanką. Jesteś całkiem fizycznie uzależniona. Wszystko, co robisz, robisz dla siebie.

Ja na to: - Masz rację. Ale posłuchaj, co ci powiem. Teraz tak już musi być. Sam już nie dasz rady. Za dużo potrzebujemy towaru. Poza tym nie chcę, żebyś tylko ty zarabiał. Zrobimy teraz odwrotnie. Na początku na pewno będę zarabiać kupę forsy. Bez dawania dupy. Przrzekam ci, że nigdy nie dam się przerznąć klientowi.

Detlef nic nie powiedział. Objął mnie ramieniem. Zaczęło padać i nie wiedziałam, czy te krople na jego twarzy to z deszczu, czy to może łzy. Znowu podjechał autobus. Powiedziałam: - Tak właściwie to nie ma z tego wszystkiego wyjścia. Przypomnij sobie, jak braliśmy tylko tabletki i hasz. Czuliśmy się wtedy absolutnie wolni. Byliśmy absolutnie niezależni. Nikogo i niczego nie potrzebowaliśmy. Tak się czuliśmy. A teraz kompletne uzależnienie.

Przejechały jeszcze trzy czy cztery autobusy. Gadaliśmy o smutnych rzeczach. Ja płakałam, a Detlef mnie przytulał. W końcu powiedział: - Jakoś to jeszcze będzie. Niedługo po prostu zrobimy odwyk. Oboje razem jakoś to pchniemy. Wykombinuję trochę valeronu. Zaraz jutro nagram kogoś z valeronom. Jak skończymy odwyk, to zostaniemy ze sobą.

Znowu podjechał autobus i Detlef wsadził mnie na stopnie.

W domu wszystko robiłam całkiem mechanicznie, jak co wieczór. Poszłam do kuchni wziąć sobie jogurt z lodówki. Jogurt brałam ze sobą do łóżka właściwie tylko po to, żeby nikogo nie dziwiło, że biorę też łyżkę. A łyżkę musiałam mieć rano do podgotowania. Potem

problemy. Kochaliśmy się tak jak przedtem, ale coraz częściej dochodziło do kłótni. Detlef był często wnerwiony. Dużo czasu spędzałam teraz ze Stellą i z Babsi, i jakoś nie za bardzo mu się to podobało. Ale chyba najbardziej go wpieñało, że nie miał już kontroli nad tym, z jakimi chodzę klientami. Wyszukiwałam ich teraz sama albo ze Stellą czy z Babsi. Detlef zaczął mi zarzucać, że na pewno daję się dymać. Był normalnie zazdrosny.

Nie przejmowałam się już tak strasznie moimi układami z Detlefem. Kochałam go, jasne, i nadal chciałam kochać. Ale z drugiej strony byłam od niego niezależna. Nie potrzebowałam już ani jego towaru, ani ciągłej opieki. Właściwie zrobiło się między nami jak w nowoczesnym małżeństwie, o jakim marzy tylu młodych ludzi. Byliśmy kompletnie niezależni jedno od drugiego. Jakoś tak też samo wyszło, że jak któraś z nas miała więcej towaru, to dzieliła się tylko z dziewczynami, a chłopaki martwili się o siebie sami.

Ale te nasze przyjaźnie były przecież w końcu oparte na herze. Wszyscy z tygodnia na tydzień robiliśmy się coraz bardziej agresywni. Proszek i cała ta nerwowa, dzień w dzień walka o forszę i towar, wieczny stres w domu, ukrywanie i kłamstwa, którymi oszukiwaliśmy rodziców, wszystko to szarpało nerwy. Nawet we własnym gronie nie umieliśmy już pohamować agresji, która się w nas gromadziła.

Najlepiej rozumiałam się jeszcze z Babsi, która była zresztą najspokojniejsza z nas. Często chodziłyśmy razem na zarobek. Kupiłyśmy sobie jednakowe wąskie czarne spódnice z rozparkiem po sam tyłek. Pod spodem miałyśmy czarne podwiązki z klamerkami. Klienci strasznie się na to napalali. Czarne podwiązki, a do tego nasze dosyć dziecinne figury i dziecinne buźki.

Krótko przed Bożym Narodzeniem 1976 mój ojciec wyjechał gdzieś na urlop i pozwolił mnie i Babsi pomieszkać przez ten czas u siebie w mieszkaniu razem z moją siostrą. Ścięłyśmy się z Babsi potwornie zaraz pierwszego wieczora. Nawrzucałyśmy sobie w tak ordynarny sposób, że moja o rok młodsza siostra aż się popłakała. Jak chciałyśmy sobie nawzajem dołożyć, to używałyśmy już normalnie dziwkarskiego języka. A moja siostra nie miała oczywiście pojęcia o naszym podwójnym życiu.

Następnego dnia rano znowu byłyśmy najlepszymi kumpelkami. Zawsze tak było: Jak się człowiek wyspał i powolutku zaczynał trzeźwieć, to był przeważnie w dosyć pokojowym nastroju. Umówiłyśmy się z Babsi, że nie władujemy sobie od razu z samego rana, tylko spróbujemy jak najdłużej wytrzymać. Często już tego próbowaliśmy. Takie czekanie do ostatniej chwili to był prawdziwy sport. Ale bez przerwy rozmawiałyśmy o nieziemskiej działce czyściutkiej hery, którą w końcu sobie władujemy. Byłyśmy zupełnie jak dwoje dzieci w Wigilię na krótko przed rozdaniem prezentów.

Przy okazji oczywiście moja siostra coś niecoś tam usłyszała. Dosyć szybko się pokapowała, że mamy jakiś narkotyk. Ale nawet nie miała pojęcia, że bierzemy nałogowo. Przysięgła zresztą na wszystkie świętości, że nic nie powie ojcu ani mamie i, że nas nie sypnie, w razie gdyby przypałał się ktoś z rodziny Babsi. Trzymali ją przecież w domu dosyć ostro i ani jej dziadkom, ani rodzicom nawet się nie śniło, że jest heroinistką i prostytutką.

Babsi wyjęła z plastikowej torby swój ulubiony smak do twarożków, truskawkowy. Normalnie była pieprznięta na tym punkcie. To jest takie coś, co się rozrabia z twarożkiem. Właściwie jadła tylko twarożek z dodatkiem tego smaku. Moje jedzenie wcale nie było bardziej urozmaicone: poza twarożkiem jeszcze jogurt, pudding i precelki, które można było kupić na dworcu kolejki przy Kurfürstendamm. Nic innego mój żołądek nie był już w stanie utrzymać. No więc Babsi zajęła się w kuchni tym smakiem do twarożków. To było coś jak święty rytuał. Siostra i ja siedziałyśmy w skupieniu i wszystkie trzy niesamowicie cieszyłyśmy się na myśl, że zaraz wtrząchniemy wielkie twarożkowe śniadanie. Nie ma co dodawać, że śniadanie miało się zacząć dopiero wtedy, jak władujemy sobie z Babsi po działce.

Kiedy Babsi zmiksowała już twarożek na prawdziwą piankę, nie wytrzymałyśmy. Powiedziałyśmy mojej siostrze, żeby ładnie nakryła do stołu i zamknęłyśmy się w łazience. Jak tylko weszłyśmy do środka, znowu zaczął się między nami dramat, bo powoli brał nas głód.

Miałyśmy tylko jedną sprawną pompkę i powiedziałam, że szybciotko właduję sobie pierwsza.

Babsi od razu się wściekła: - Dlaczego ciągle ty. Dzisiaj ja muszę być pierwsza. W końcu to ja zarobiłam na tę działkę.

Teraz ja się z kolei wpieniłam. Nie mogłam ścierpieć, kiedy Babsi próbowała wyciągać korzyści z tego, że często ma więcej towaru od nas i coś nam odpala. Powiedziałam: - Słuchaj, stara, przecież u ciebie to trwa wieczność. Nie świruj. - To była prawda. Często potrzebowała pół godziny, żeby się dobrze wkleić. Prawie nie miała żył. A jak za pierwszym razem nie pokazała się krew w strzykawce, to ona zaczynała wariować. Kłula się bez pojęcia gdzie popadnie i coraz bardziej się śpieszyła. A wtedy jedyny ratunek w przypadkowym trafieniu.

Ja wtedy nie miałam jeszcze kłopotów. Jeśli nie władował mi Detlef - tylko jemu wolno było to robić - to kłulałam się w tym czasie zawsze w jeden punkt na zgięciu lewej ręki. Wszystko było dobrze tak długo, aż mi się tam porobiły zrosty i zbliznowacenia. Potem to już

normalnie nie miałam pojęcia, gdzie by tu się jeszcze wkłuć.

Tego dnia postawiłam w końcu na swoim. Babsi się na mnie wpieniła, dostałam strzykawkę, trafiłam od razu i po niecałych dwóch minutach byłam gotowa. To był bombowy kop. Krew to mi tylko szumięła. Zrobiło mi się niesamowicie gorąco. Podeszłam do umywalki, podstawiłam twarz pod kran i kompletnie szczęśliwa zaczęłam coś tam przy sobie robić.

Babsi siadła na brzegu wanny, wbiła sobie igłę w rękę i już zaczyna się wściekać. Wrzasnęła: - Kurważesz mać, udusić się można w tym kiblu. Otwórz, cholera, okno.

Powiedziałam: - Musisz się z tym jakoś pogodzić, że tu nie ma czym oddychać, i odwal się ode mnie. - Kompletnie mi wtedy zwisało, co się z nią dzieje. Wtrynęłam sobie działkę i wszystko było okay.

Babsi chlapała krwią na wszystkie strony, ale żyły nie mogła trafić. Zaczynała coraz bardziej wariować. Rozdarła się: - Cholera z takim światłem. Przynies coś, kurwa. Przynies mi lampę z pokoju.

Za nic mi się nie chciało leżeć do pokoju po lampę dla Babsi. Dopiero jak zaczęła się coraz bardziej wydzierać i przstraszyłam się, że siostra coś skapuje, przyniosłam lampę. W końcu jakoś sobie poradziła. Od razu zrobiła się spokojna. Oplukała starannie strzykawkę i starła krew z wanny i z podłogi. Nie mówiła już ani słowa.

Poszłyśmy do kuchni i poczułam straszną ochotę na twarożek. Wtedy Babsi wzięła miskę, przycisnęła ręką do siebie i zaczęła wchrzaniać. Autentycznie sama opchnęła całą miche twarożku. Powiedziała tylko: - Ty wiesz, za co.

Obie okropnie się cieszyłyśmy, że pomieszkamy trochę razem w mieszkaniu mojego ojca, a tu już pierwszego dnia z samego rana piekielna awantura. O nic. Ale byliśmy przecież narkomankami. A wszyscy narkomani z czasem tacy się robią. Narkotyki niszczy związki z innymi ludźmi. Z nami było to samo. Mimo, że w naszej paczce, gdzie wszyscy był i jeszcze bardzo młodzi, każdy był do każdego przywiązany i wciąż mi się jeszcze wydawało, że drugiej takiej paczki to nie ma nigdzie na świecie.

Moje kłótnie z Detlefem też robiły się coraz bardziej fatalne. Oboje byliśmy już fizycznie dosyć wykończeni. Ja przy moim metr sześćdziesiąt dziewięć wzrostu spadłam do czterdziestu trzech kilogramów, Detlef, który ma metr siedemdziesiąt sześć do pięćdziesięciu czterech kilogramów. Często bardzo źle się fizycznie czuliśmy, wtedy wszystko nas wnerwiało i potrafiliśmy być dla siebie naprawdę obrzydliwi. Autentycznie staraliśmy się w brutalny sposób wykończyć się nawzajem. Każde z nas dobiegało się przy tym do najślabszego punktu drugiego. A tym punktem było oczywiście zarabianie, chociaż normalnie

traktowaliśmy to tak, jakby chodziło o całkiem uboczną rutynową sprawę.

Detlef mówił wtedy: - Nie wyobrażaj sobie, że będę spał z taką pipą, co daje się walić najgorszym bucom.

A ja odpowiadałam: - i tak mnie już wkurwia, że się dajesz jebać w dupę. - I tak dalej.

W końcu zaczynałam przeważnie płakać, a Detlef był kompletnie wykończony, albo płakaliśmy oboje. Jak któreś z nas było na głodzie, to drugie mogło go wykończyć z palcem w nosie. To, że w końcu znówu tuliliśmy się do siebie jak dwa dzieciaki, niczego właściwie nie ułatwiało. Już nie tylko między nami, dziewczynami, ale też między mną a Detlefem zrobiło się tak, że każde z nas widziało w tym drugim swoje własne zeszmacenie. Człowiek nienawidził tej własnej beznadziejności i wyżywał się na drugim za taką samą beznadziejność, bo chciał sobie chyba udowodnić, że wcale jeszcze taki beznadziejny nie jest.

Oczywiście tę agresję wyładowywało się też na obcych. Wpieniałam się od razu, jak tylko zobaczyłam gdzieś na dworcu te babsztyle z siatami zakupów. Zaraz wsiadałam z zapalonym papierosem do wagonu dla niepalących. Kiedy zaczynały coś marudzić, to mówiłam, że jak im się nie podoba, to mogą sobie iść do innego przedziału. Największą miałam radochę, jak mi się udało sprzątnąć takiej babie sprzed nosa wolne miejsce. Czasem od tych moich numerów robił się szum na cały przedział, a bywało i tak, że siłą wysadzali mnie na peron. Mnie samą wkurzało, że się tak zachowuję. Wkurzało mnie też, jak Babsi i Stella robiły to samo. Przecież nie chciałam mieć z tymi kołtunami nic wspólnego. Ale widać nie mogłam inaczej i musiałam ciągle wykręcać te numery.

Kompletnie mi wisało, co sobie ktoś o mnie pomyśli. Jak się zaczynało to potworne swędzenie, swędziało wtedy wszędzie, gdzie ubranie było obcisłe, a nawet pod makijażem, to drapałam się bez względu na to, gdzie akurat byłam. Nie miałam żadnych oporów, żeby w kolejce podziemnej zdjąć buty i podkasać sukienkę aż do pępka, żeby się tylko podrapać. Interesowało mnie tylko to, co myślą o mnie ludzie z paczki.

W którymś tam momencie narkomanowi w ogóle wszystko zaczyna wisieć. Wtedy przestaje należeć do jakiejś paczki. Znałam paru starych narkomanów, którzy ładowali już od pięciu i więcej lat i jeszcze żyli. Nasz stosunek do starych ćpunów był bardzo różny. Ci kompletni samotnicy wydawali się nam w pewnym sensie wspaniali. Zresztą dobrze było, jak człowiek mógł powiedzieć swoim, że zna tego a tego ze starych. Z drugiej strony gardziłam nimi, bo przecież każdy z nich był już kompletnie skończony. Ale my, młodzi, mieliśmy przed nimi przede wszystkim cholernego cykora. Bo w nich autentycznie nie było już ani odrobiny jakiejś moralności, sumienia czy współczucia. Jak byli na głodzie i chcieli dorwać się do towaru, to potrafili wyrolować nawet kumpla-narkomana. Najgorszy był Manne-

Szajbus. Wszyscy go tak nazywali, bo ten to był już najgorszy ze wszystkich. Wystarczyło, żeby dostawcy zobaczyli go z daleka, a pryskali szybciej niż w czasie oblawy. Bo jak dorwał jakiegoś drobnego handlarza, to po prostu zabierał mu cały towar. Nikt nie miał odwagi się bronić. A już jakiś drobny ćpun to w ogóle.

Raz miałam okazję zobaczyć Szajbusa w akcji. Właśnie zamknęłam się w damskim kiblu, żeby sobie włądować, a tu nagle ktoś normalnie przeskakuje górą przez ściankę prosto mi na głowę. Manne-Szajbus. Wiedziałam już z opowiadań, że to jego stały numer: czekać sobie w damskim kiblu, aż przyjdzie jakaś z herą. Wiedziałam, jaki potrafi być bezwzględny. No więc dałam mu swoją działkę i cały sprzęt. Od razu wyszedł z kabiny i stanął przed lustrem. Ten to już niczego się nie bał. Włądował sobie prosto w szyję. Na całym ciele nie miał już miejsca, gdzie by się mógł wkluć. Zaczął krwawić normalnie jak wieprz. Musiał sobie chyba włądować w tętnicę. Ale to mu nie robiło kompletnie żadnej różnicy. Powiedział „dziękuję bardzo” i zmył się.

Jedno, czego byłam pewna, to to, że do tego nigdy nie dojdę. Bo, żeby przeżyć tyle czasu, co Manne-Szajbus, to trzeba być rzeczywiście nie byle kim. A ja? Przecież nawet nie mogłam się zdobyć, żeby podwędzić torebki z damskiego kibla w domu towarowym.

W naszej paczce wszystko coraz bardziej zaczynało się kręcić wokół zarabiania i klientów. Chłopaki mieli te same problemy, co i my. Dlatego było jeszcze jakieś wzajemne zainteresowanie i można było sobie nawzajem konkretnie pomóc. My, dziewczyny, wymieniałyśmy między sobą doświadczenia z klientami. Krąg naszych klientów z czasem się ustalił. Kiedy jakiś klient był dla mnie nowy, to najczęściej miała go już Babsi albo Stella. No więc dobrze było znać ich doświadczenia.

Byli klienci godni polecenia, mniej godni polecenia i absolutnie nie do przyjęcia. Przy tej ocenie wcale nie chodziło o osobiste sympatie. Nie interesowało nas także, kim taki klient jest z zawodu, czy ma żonę i tak dalej. O tych wszystkich prywatnych duperelach, które opowiadają klienci, w ogóle się nie rozmawiało. Oceniając tych facetów brałyśmy pod uwagę tylko własne korzyści.

Korzystne było, jak taki facet panicznie bał się chorób wenerycznych i do wszystkiego musiał mieć prezerwatywę. Niestety tacy trafiali się dosyć rzadko, chociaż większość amateerek prędzej czy później łapała jakiegoś syfa, a jak któraś była uzależniona, to bała się iść do lekarza.

Korzystne było, jak facet od razu nie chciał nic więcej, jak co najwyżej po francusku. To znaczy, jak nie trzeba było najpierw godzinami targować się o warunki. Ale plus przyznawało się też facetowi, który był stosunkowo młody i nie taki obrzydliwie spasiony,

który nie traktował dziewczyny jak przedmiotu, tylko był chociaż trochę miły i, powiedzmy, umiał zaprosić nawet na jakieś jedzenie.

Ale najważniejszym kryterium jakości klienta było oczywiście to, ile dawał forsy i za co. Nie do przyjęcia byli faceci, którzy nie trzymali się warunków i w pokoju próbowali prośbą i groźbą wymusić na nas dodatkowe świadczenia.

No a najdokładniej opisywałyśmy sobie tych parszywych palantów, którzy potem chcieli z powrotem forszę i potrafili ją nawet czasem siłą odebrać, bo niby nie są zadowoleni z usługi. Z tym, że chłopaki częściej mieli z takimi chamami do czynienia.

Kiedyś tam zaczął się rok 1977. Przestałam prawie w ogóle zauważać pory roku. Czy to była zima, czy lato, czy były akurat święta, czy sylwester, dla mnie te dni w ogóle się od siebie nie różniły. Czymś szczególnym na święta było co najwyżej to, że znowu dostawałam w prezencie trochę forsy i w związku z tym mogłam zrezygnować z jednego czy dwóch klientów, i tak zresztą w dni świąteczne trudno było cokolwiek podłapać. Byłam na etapie kompletnego otepienia. Nie zastanawiałam się nad niczym. Kompletnie. Nic do mnie nie docierało. Zajmowałam się tylko i wyłącznie sobą. Ale nie miałam pojęcia, kim jestem. Czasami to nawet nie wiedziałam, czy w ogóle jeszcze żyję.

Prawie już nie pamiętam szczegółów z tamtego czasu. Chyba zresztą nie było nic takiego, co by warto było magazynować w szarych komórkach. Aż do którejś niedzieli pod koniec stycznia 1977 roku. Wróciłam do domu jakoś tak nad ranem. Właściwie nawet miałam całkiem dobry nastrój. Leżałam w łóżku i wyobrażałam sobie, że jestem młodą dziewczyną, która wróciła właśnie z zabawy, gdzie poznała niesamowicie miłego chłopaka i jest w nim diabelnie zakochana. Dobry nastrój pojawiał się u mnie właściwie już tylko wtedy, jak sobie marzyłam i w marzeniach byłam kimś zupełnie innym. Najczęściej marzyłam sobie właśnie, że jestem pogodną nastolatką, taką jak na reklamie coca-coli.

W południe obudziła mnie mama i podała mi obiad do łóżka. Kiedy w niedzielę byłam w domu, a nie u Detlefa, mama zawsze podawała mi jedzenie do łóżka. Wmusiłam w siebie parę kęsów. Właściwie nic już nie mogłam przełknąć oprócz jogurtu, twarożku i puddingu. Potem sięgnęłam po swoją białą plastikową torbę. Była już dosyć zniszczona, urwane uszy, ponadrywana, bo oprócz strzykawki i papierosów wpychałam do niej czasem kurtkę. Było mi tak wszystko jedno, że nawet nie przyszło mi do głowy, by ją zmienić. Byłam za bardzo zubożona, żeby się zastanowić, co robię, kiedy przedefilowałam przed mamą z tą plastikową torbą w ręce do łazienki. Zamknęłam za sobą drzwi. W naszej rodzinie nikt nigdy nie zamykał drzwi do łazienki na zamek. Jak zwykle popatrzyłam w lustro. Zobaczyłam kompletnie zapadniętą, obcą twarz. Już od dawna przestałam się rozpoznawać w lustrze. Ta

twarz nie była moja. Tak samo jak kompletnie wychudzone ciało. Przestałam je w ogóle czuć. Nawet jak byłam chora, nie dawało o sobie znać. Heroina znieczuliła je na wszelki ból, głód, a nawet na wysoką gorączkę. Zauważało tylko głód narkotyczny.

Stałam przed lustrem i przygotowywałam działkę. Byłam szczególnie napalona, bo akurat miałam coś ekstra. Normalna heroina, która chodzi na rynku, to biały albo lekko brązowy proszek. A ta była szarozielonkawa. To taki najbardziej zanieczyszczony towar, ale daje niesamowitego kopa. Strasznie rozwała serce i trzeba uważać przy dawkowaniu. Jak się właduje za dużo, to można wykitować. Ale ja byłam niesamowicie napalona na tego specjalnego kopa.

Wkłułam się w żyłę, pociągnęłam tłok i od razu w strzykawce pokazała się krew. Niby parę razy przefiltrowałam ten proszek, ale on jest kompletnie zanieczyszczony. No i stało się. Zatkana się igła. To jest chyba najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić ćpunowi. Zatkana igła w takiej chwili. Bo jak zakrzepnie krew, którą się wciąga do strzykawki, to wtedy koniec. Cała działka do wyrzucenia.

No więc nie mogłam nic wydusić. Naciskałam z całej siły, żeby tylko to świństwo przelazło przez igłę. No i rzeczywiście miałam fart. Udało mi się w końcu władować. Jeszcze raz wciągnęłam krew do strzykawki, żeby wypłukać wszystko do końca. Wtedy igła znowu się zatkała. Wściekłam się. Miałam jeszcze tylko osiem albo dziesięć sekund, potem przyjdzie kop. Cisnęłam z całej siły. Pompka wyleciała mi z ręki i zachlapałam krwią całą łazienkę.

Ten kop był wspaniały. Musiałam sobie przytrzymać głowę. W okolicy serca czułam niesamowity kurcz. W głowie mi i huczało, jakby mi kto walił w nią młotem, skóra na głowie mrowiła, jakby mi wbijali milion igiełek. A potem normalnie sparaliżowało mi lewą rękę.

Kiedy mogłam się znowu poruszać, wzięłam papierową chusteczkę, żeby zetrzeć krew. Była wszędzie. W umywalce, na lustrze, na ścianach. Na szczęście wszystko było pomalowane na olejno, tak, że łatwo było zmyć. Jeszcze kiedy wycierałam krew, mama zaczęła się dobijać do drzwi, i dawać przytruwać: - Otwieraj. Masz mnie zaraz wpuścić. A w ogóle co to za zamykanie drzwi. Jakieś nowe zwyczaje.

Powiedziałam - Przymknij się. Zaraz wychodzę. - Byłam niesamowicie wpięprzona, że akurat teraz musiała się do mnie przyczepić, i w wariackim pośpiechu ścierałam te plamy. Z tego wszystkiego parę przegapiłam i na dodatek zostawiłam zakrwawioną chusteczkę w umywalce. Otworzyłam drzwi i mama wpadła do łazienki. Niczego nie podejrzewałam i myślałam, że po prostu musi szybko siusiu. Wróciłam z moją plastikową torbą do pokoju, położyłam się do łóżka i zapaliłam papierosa.

Nie zdążyłam się jeszcze dobrze zaciągnąć, a tu mama wpada do pokoju Krzyczy: -

Bierzesz narkotyki!

Ja na to: - Bzdura. Co ci strzeliło do głowy?

Wtedy ona normalnie się na mnie rzuciła i siłą wyprostowała mi ręce. Nawet się specjalnie nie broniłam. Od razu zobaczyła świeży ślad po igle. Wzięła moją plastikową torbę i wysypała na łóżko wszystko, co tam w niej było. Wypadła strzykawka, okruchy tytoniu z papierosów i cała masa prostokąćków staniolu. W staniolu była przedtem heroina. Jak nie miałam czasem towaru, a dostałam febry, to zdrapywałam paznokciem ostatnie resztki pyłku z tych papierków i z tego robiłam sobie działkę.

To, co wysypało się z torby, było oczywiście dla mamy wystarczającym dowodem mojej narkomanii. Zresztą, już w łazience nie miała wątpliwości. Odkryła tam nie tylko zakrwawioną chusteczkę i plamy krwi, ale także sadzę na łyżeczce, w której podgrzewałam herę. Zdażyła się już nacytać o heroinie w gazetach i szybko sobie dośpiewała całą resztę.

Od razu przestałam się zapierać. Chociaż przed chwilą władowałam sobie ten nieziemski towar, normalnie się wtedy załamalam. Zaczęłam ryczeć i nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Mama też nic nie mówiła. Cała się trzęsła. Była kompletnie zaszokowana. Wyszła z mojego pokoju i słyszałam, że rozmawia z Klausem. Wróciła do mnie. Wyglądała na trochę spokojniejszą i zapytała: - Da się coś na to poradzić? Nie masz zamiaru z tym skończyć?

Powiedziałam: - Mamusiu, niczego bardziej nie chcę. Słowo ci daję. Wierz mi. Naprawdę chcę się wyrwać z tego bagna.

A ona: - Dobrze, w takim razie spróbujemy wspólnie. Wezmę urlop, żeby cały czas być przy tobie, kiedy przestaniesz brać narkotyki. Od razu dzisiaj zaczniemy odwyk.

Powiedziałam: - Świetnie, zgoda. Tylko jeszcze jedno. Bez Detlefa nie ma mowy. Ja go potrzebuję i on mnie też. On też chce przestać. Często o tym rozmawialiśmy, i tak mieliśmy to niedługo zrobić. Razem.

Mama kompletnie straciła głowę i zapytała: - Co? Detlef też bierze? - Uważała zawsze, że Detlef jest taki miły, i cieszyła się, że mam takiego miłego chłopaka. Odpowiedziałam: - Oczywiście, że tak. Myślisz, że sama bym to robiła? Detlef nigdy by na to nie pozwolił. Ale też nie pozwoli, żebym robiła odwyk bez niego.

Nagle poczułam się zupełnie dobrze. Zaczęłam się normalnie cieszyć, że razem z Detlefem będę mogła przejść odwyk. No bo autentycznie już od tak dawna chcieliśmy to zrobić. Za to mama była kompletnie załatwiona. Pozieleniała na twarzy i myślałam, że zaraz dostanie szoku. Ta sprawa z Detlefem to był dla niej drugi cios. Zaszokowała ją chyba jej własna nieświadomość przez całe ostatnie dwa lata. A teraz miała coraz więcej wątpliwości.

Koniecznle chciała wiedzieć, skąd bratam pieniądze na heroinę. Oczywiście od razu załapała, że może jakieś puszczanie się itepe.

Nigdy bym się nie zdobyła, żeby powiedzieć jej prawdę. Skłamałam: - Eee, zawsze jakoś można skołować trochę forsy. Prosiło się ludzi, żeby dali parę marek. Najczęściej wychodziło. Trochę sprzątałam to tu, to tam.

O więcej już mama nie pytała. Widać znowu uspokoiła sobie sumienie tą odpowiedzią, bo to przynajmniej nie potwierdzało jej najgorszych przypuszczeń. To, czego się dowiedziała tej niedzieli, i tak już wystarczyło, żeby ją kompletnie załamać. Strasznie mi jej było żal i miałam z jej powodu wyrzuty sumienia.

Zaraz pojechaliśmy poszukać Detlefa. Na dworcu Zoo go nie było. Nie było go też u Axela i Bernda.

Wieczorem pojechaliśmy do jego ojca. Rodzice Detlefa też byli rozwiedzeni. Jego ojciec był urzędnikiem. Od dawna wiedział, co się dzieje z Detlefem. Moja mama zaczęła mu robić wyrzuty, że nic jej o tym nie powiedział. O mało się wtedy nie rozplakał. Było mu niesamowicie głupio, że jego syn ćpa i zarabia u pedałów. Teraz się cieszył, że mama chce się tym wszystkim zająć. Co chwila powtarzał: - Tak, coś trzeba zrobić.

Ojciec Detlefa miał w szufladzie biurka całą kolekcję tabletek nasennych i uspokajających. Dał mi wszystkie, bo powiedziałam, że nie mamy valeronu, a odwyk bez valeronu to właściwie tortura. Dostałam cztery czy pięć mandraksów, całą fiolkę gemetryny i pięćdziesiąt sztuk 10 mg valium. Jeszcze w drodze do domu, jak jechaliśmy kolejką, połknęłam całą garść pigułek, bo powoli zaczynał mnie brać głód. Na tych pigułkach nieźle nawet ciągnęłam i udało mi się przespać noc.

Rano rzeczywiście zjawił się Detlef. Ojciec zaraz go znalazł. Detlef był już całkiem na febrze. Uważałam, że to bezbłędnie z jego strony, że sobie nie władował, chociaż przecież mógł, tylko przyszedł do mnie już na głodzie. A przecież na pewno zdawał sobie sprawę, że nie mam już towaru. Powiedział, że chce być równo ze mną, jak zaczniemy odwyk. To było naprawdę bezbłędne.

Detlef chciał więc tak jak i ja naprawdę przestać. Też był zadowolony, że tak się stało. Obydwoje nie mieliśmy przecież wtedy pojęcia - nasi rodzice zresztą też -, że to czyste szaleństwo, żeby dwoje bliskich sobie narkomanów wspólnie próbowało odwyku. Bo nie ma siły, żeby kiedyś tam jedno nie zaczęło naciskać drugiego i w końcu oboje łapią taki mus, że znowu sobie ładują. To znaczy, wiedzieć to możemy i wiedzieli, choćby z opowiadań. Ale mieliśmy złudzenia. Zawsze przecież twierdziliśmy, że z nami jest inaczej niż z resztą ćpunów. Poza tym nie wyobrażaliśmy sobie, że możemy coś tak ważnego zrobić osobno.

Przez całe przedpołudnie trzymaliśmy się jakoś dzięki pigułkom od ojca Detlefa. Nawet ze sobą rozmawialiśmy. Życie po odwyku widzieliśmy w różowych barwach i przyrzekliśmy sobie, że będziemy okropnie dzielni przez te następne dni. Mimo, że już zaczynały się bóle, byliśmy jeszcze całkiem szczęśliwi.

Po południu zaczęło się na dobre. Łykaliśmy pigułki jedna za drugą i zapijaliśmy to wszystko winem. Ale nic nie pomagało. Nagle straciłam władzę w nogach. W zgięciu pod kolanem poczułam niesamowity ucisk. Położyłam się na podłodze i wyprostowałam nogi. Próbowałam napinać i rozluźniać mięśnie. Ale nie miałam już nad nimi kontroli. Przycisnęłam stopy do szafy, i tak już zostały. Nie mogłam ich stamtąd ruszyć. Ja przewalałam się po podłodze, a stopy jakby mi się przykleiły do tej szafy.

Byłam kompletnie mokra od lodowatego potu. Marzłam i dygotałam, a ten zimny pot ściekał mi po twarzy i zalewał oczy. Był potwornie śmierdzący. Pomyślałam sobie, że to, co ze mnie wyłazi, to ta cuchnąca trucizna. Czułam się zupełnie, jakbym wypędzała z siebie diabła.

Z Detlefem było jeszcze gorzej. Dostawał prawie świra. Trząśił się z zimna, a nagle ściągnął pulower. Usiadł na krześle w kącie pod oknem. Jego nogi były bez przerwy w ruchu. Biegł na stojąco. Jego cienkie jak ołówki nogi podnosiły się i opuszczały w niesamowitych drgawkach. Co chwilę wycierał pot z twarzy i cały dygotał. To już nie było zwykłe trzęsienie się. Co chwila zwijał się w kłębek i krzyczał. Kurcze żołądka.

Detlef śmierdział jeszcze gorzej niż ja. Cały ten mały pokój wypełnił się naszym smrodem. Przypomniałam sobie, że słyszałam kiedyś, że po udanym odwyku narkomańskie pary zawsze się rozpadają. Pomyślałam od razu, że dalej kocham Detlefa, chociaż tak potwornie śmierdzi.

Detlef podniósł się z krzesła, dowlóknął się jakoś do lustra i powiedział: - Nie dam rady. Nie wydołę. Jak Boga kocham, już nie wydołę. - Nie mogłam mu nic odpowiedzieć. Nie miałam siły dodawać mu otuchy. Starłam się nie myśleć tak jak on. Próbowałam się skupić na jakimś beznadziejnym dreszczowcu, przerzucałam nerwowo jakieś pismo, przy okazji całe podarłam.

Usta i gardło miałam kompletnie wyschnięte. Ale w ustach było jednocześnie pełno śliny. Nie umiałam jej przełknąć i zaczęłam kaszleć. Im bardziej starałam się przełknąć ślinę, tym silniej zaczynałam kaszleć. Rozkaszałam się na dobre, nie mogłam już przestać. Potem zaczęłam rzygać. Wyrzygałam się prosto na dywan. Taką białą pianą. Zupełnie jak mój pies, kiedy się najadł trawy. Myślałam, że ten kaszel i rzyganie nigdy się nie skończą.

Mama prawie cały czas była w drugim pokoju. Jak przychodziła do nas, to była

bezradna. Raz po raz wybiegała z domu, żeby kupić nam coś do jedzenia, czego i tak nie mogliśmy potem przełknąć. Tym razem kupiła dla mnie ślazowe cukierki i to mi faktycznie pomogło. Przestałam kaszleć. Mama wytarła moje rzygowiny. Była niesamowicie dobra. A ja nie mogłam nawet powiedzieć dziękuję.

W którymś tam momencie pigułki i wino zaczęły jednak robić swoje. Zżarłam pięć sztuk 10 mg valium, dwa mandraksy i wypiłam do tego prawie całą butelkę wina. Normalny człowiek toby po czymś takim kimał przez dobre parę dni. Mój organizm był tak zatruty, że prawie wcale nie zareagował na tę dodatkową truciznę. Tyle, że się trochę uspokoila i położyłam na łóżku. Obok łóżka stała teraz leżanka i na niej położył się Detlef. Nawet nie próbowaliśmy się dotknąć. Każde było całkiem zajęte sobą. Zapadłam w coś jakby półsen. Spałam, a jednocześnie wiedziałam, że śpię, i dokładnie czułam wszystkie te cholerne bóle. Raz śniłam, raz trzeźwo rozmyślałam. Wszystko się mieszało. Wydawało mi się, że każdy, a już przede wszystkim mama, może bez trudu we mnie zajrzeć. Że każdy może czytać w moich szmatławych myślach. Że każdy widzi, jaka ze mnie szmata. Nienawidziłam swojego ciała. Byłabym szczęśliwa, gdyby mi zwyczajnie obumarło.

Wieczorem znowu wszamałam jakieś tabletki, jedna po drugiej. Normalny człowiek toby już od tego zaczął powoli korkować. A ja po prostu wyspałam się chociaż przez parę godzin. Obudziłam się, kiedy mi się przyśniło, że jestem psem, którego ludzie dotąd dobrze traktowali, a potem nagle zamknęli w klatce i zaczęli zadręczać na śmierć. Detlef młócił przez sen rękami i to on mnie bił. Paliło się światło. Przy łóżku stała miska z wodą i ściereczka. Mama postawiła. Starłam sobie pot z twarzy.

Całe ciało Detlefa było w ciągłym ruchu, chociaż wyglądało na to, że twardo śpi. Tułów podnosił się i opadał, nogi wierzgały no i właśnie od czasu do czasu walił rękami na oślep.

Ze mną było trochę lepiej. Miałam już tyle siły, żeby zetrzeć mu pot z czoła. Nawet nie poczuł. Uświadomiłam sobie, że dalej niesamowicie go kocham. Kiedy potem znowu się zdrzemnęłam, poczułam tak przez sen, że Detlef mnie dotknął i pogłaskał po włosach.

Następnego dnia rano wyraźnie nam się polepszyło. Czyli, że stara narkomańska reguła, że drugi dzień odtrucia jest najgorszy, u nas się nie sprawdziła. Tylko, że było to nasze pierwsze odtrucie, a wtedy zawsze jest lepiej niż przy następnych. W południe zaczęliśmy nawet znowu ze sobą rozmawiać. Najpierw o jakichś nieistotnych sprawach, a potem znowu o naszej przyszłości. Nasze plany nie były już takie całkiem grzeczne, jak na początku. Przysięgliśmy sobie, że nigdy już nie będziemy brali ani hery, ani LSD, ani żadnych prochów. Ale chcieliśmy prowadzić spokojne życie wśród spokojnych ludzi. Zgodziliśmy się co do

tego, że znowu zaczniemy palić-haszysz, tak jak w najpiękniejszym okresie naszego życia. Chcieliśmy mieć przyjaciół wśród tych, co palą hasz, bo oni przeważnie zawsze są spokojni. Planowaliśmy sobie, że nie będziemy mieli żadnych kontaktów z tymi, co chłają wodę i, że nie chcemy też mieć nic wspólnego z kołtunami. Czyli ze środowiska ćpunów z powrotem do środowiska palących hasz.

Detlef zamierzał poszukać znowu pracy. Powiedział: - Pójdę po prostu do mojego starego szefa i powiem mu, że narozrabiałem, zgadza się, ale teraz mam już w głowie poukładane jak trzeba. Szef właściwie zawsze był dla mnie wyrozumiały. Zacznę u niego po prostu od początku.

Ja mówiłam, że mam zamiar całkowicie skoncentrować się na nauce, i jak się uda, skończyć tę szkołę i może nawet jeszcze zrobić potem maturę.

Potem przyszła mama z wielką niespodzianką, która nas całkiem uszczęśliwiła. Była u swojego lekarza i przepisał jej buteleczkę valeronu. Wzięliśmy z Detlefem po 20 kropli, tak jak kazał lekarz. Trzeba było oszczędzać, bo przecież miało tego starczyć na cały tydzień. Po valeronie było już z nami o wiele lepiej. Odrucie dawało się już całkiem nieźle znieść. Mama cały czas gotowała nam pudding, na który autentycznie mieliśmy apetyt. Przynosiła nam lody, spełniała każde nasze życzenie. Znosiła nam całe sterty czegoś do czytania. Kilogramy komiksów. Przedtem komiksy wydawały mi się strasznie nudne. Teraz oglądałam je razem z Detlefem. Nie czytaliśmy ich tak po łebkach, jak zwykle. Dokładnie oglądaliśmy każdy rysunek i nieraz śmialiśmy się do łez, takie były zabawne.

Trzeciego dnia było już całkiem dobrze. Tyle, że właściwie cały czas byliśmy jeszcze nabuzowani. Nie tylko valeronem. Dalej bez przerwy łykaliśmy valium i zapijaliśmy winem. Czuliśmy się zupełnie wspaniale, chociaż nasze zatrute organizmy od czasu do czasu broniły się przed brakiem hery. Wieczorem trzeciego dnia po raz pierwszy od dłuższego czasu znowu się kochaliśmy. Bo jak się jest na herze, to człowiek coraz rzadziej ma ochotę na te rzeczy. To był pierwszy raz, od kiedy Detlef mnie rozprawczył, że kochaliśmy się nie będąc naćpani. Było niesamowicie fajnie. Oboje czuliśmy, że już dawno tak bardzo się nie pragnęliśmy. Godzinami leżeliśmy w łóżku i delikatnie pieściliśmy się nawzajem. Wciąż jeszcze się pociliśmy. Czwartego dnia mogliśmy już właściwie zupełnie spokojnie wstać. Ale przeleżeliśmy w łóżku jeszcze trzy dni, kochaliśmy się, łykaliśmy valium, popijaliśmy winem i pozwalaliśmy mojej mamie się nami opiekować. Doszliśmy do wniosku, że ten odwyk wcale nie był znowu taki straszny, i cieszyliśmy się, że udało nam się skończyć z ćpaniem.

Siódmego dnia w końcu wstaliśmy. Mama była cała szczęśliwa, że już po wszystkim. Ucałowała nas serdecznie. Przez ten tydzień mój stosunek do mamy zupełnie się zmienił.

Czułam się jakby jej prawdziwą przyjaciółką i byłam jej wdzięczna. Znowu niesamowicie się cieszyłam, że mam Detlefa. Mówiłam sobie, że drugiego takiego bezbłędnego chłopaka nie ma na całym świecie. No bo to bezbłędne, że tak od razu i bez zastanowienia zgodził się na odwyk razem ze mną. A już zupełnie genialne było, że nasza miłość wcale się po tym nie skończyła, jak u innych narkomanów, tylko się jeszcze umocniła.

Powiedzieliśmy mojej mamie, że przydałoby nam się łyknąć trochę świeżego powietrza, po tym tygodniu spędzonym w moim mikroskopijnym pokoiku.

Przyznała nam rację. Detlef zapytał: - To gdzie idziemy? - Popatrzyłam na niego bezradnie. Autentycznie nie miałam pojęcia. Dopiero teraz zdaliśmy sobie sprawę, że tak na dobrą sprawę to już nie mamy gdzie pójść. Wszyscy nasi przyjaciele to narkomani. A wszystkie miejsca, które znaleźliśmy, w których byliśmy zadomowieni, to miejsca spotkań narkomanów. Kompletnie straciliśmy kontakt z tymi, co palą hasz.

Po tym, jak Detlef zapytał, gdzie pójdziemy, nie było mi już tak dobrze. Nie mieliśmy więcej valeronu i chyba też trochę z tego powodu zrobiliśmy się tacy niespokojni i chcieliśmy wyjść z domu. Przez to, że nie wiedzieliśmy, dokąd pójść, zrobiłam się jeszcze bardziej niespokojna. Nagle poczułam się kompletnie wypompowana, pusta w środku. Rzuciliśmy heroinę i okazało się, że nie ma już dla nas nigdzie miejsca.

Poszliśmy do kolejki podziemnej, nie zastanawiając się nawet, po co. Wszystko działo się automatycznie. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ciągnie nas tam jakaś niewidzialna nić. I nagle byliśmy już na dworcu Zoo. Detlef odezwał się w końcu: - Trzeba się chociaż pokazać Axelowi i Berndowi. Jeszcze sobie pomyślą, że nas przymknęli albo, że już jesteśmy na cmentarzu.

Odpowiedziałam z ulgą: - Jasne. Trzeba im opowiedzieć, jak było na odtruciu. Może uda się namówić, żeby zrobili to samo. - No i faktycznie od razu spotkaliśmy Bernda i Axela. Mieli ze sobą kupę towaru. To był ich dobry dzień na dworcu. Detlef opowiedział o nas. Obydwaj uznali, że to wspaniale. Potem powiedzieli, że idą teraz do mieszkania, żeby sobie włądować.

Detlef popatrzył na mnie, ja na niego. Równocześnie spojrzeliśmy sobie w oczy i zaczęliśmy się głupio uśmiechać. Pomyślałam sobie jeszcze: To przecież nie ma sensu. Tak od razu, pierwszego dnia. Potem Detlef powiedział: -Wiesz co, tak od czasu do czasu to można sobie spokojnie włądować. W końcu dopóki się nie jest fizycznie uzależnionym, to na herze jest przecież bombowo. Trzeba będzie tylko niesamowicie uważać, żebyśmy znowu nie wsiąkli. Bo drugi raz przechodzić coś takiego, takie odtrucie, to nie dla mnie.

Ja na to: - No pewnie, od czasu do czasu jakiś kop to bombowe. Przecież już

dokładnie wiemy, że nie wolno się nam drugi raz uzależnić. - Rozsądek, przemyślenia, wszystko poszło w ką. Jedyne, czego chciałam, to sobie władować.

Detlef powiedział do Axela: - Słuchaj, mógłbyś nam trochę odpalić. Przy najbliższej okazji na pewno dostaniesz z powrotem. - Axel i Bernd powiedzieli, że powinniśmy się jeszcze dobrze zastanowić. Potem dodali, że w przyszłym tygodniu też mają zamiar zrobić odwyk. Tylko muszą najpierw wykombinować skądś valeron. I, że uważają, że toby było niesamowicie fajnie, jakby mogli chodzić znowu normalnie do pracy i tylko od czasu do czasu ładować.

W dwie godziny po wyjściu z domu oboje z Detlefem znowu byliśmy kompletnie naćpani i szczęśliwi. Spacerowaliśmy pod rękę po Kurfürstendamm. To było zupełnie niesamowite uczucie, być naćpanym i nigdzie się nie śpieszyć, po prostu spacerować. Nie musieliśmy się martwić o działkę na następny dzień. Detlef powiedział uszczęśliwiony:- Tak, a jutro rano parę przysiadów i dzień zacznie się pięknie bez hery.

Zupełnie poważnie w to wierzyliśmy. Nasze złudzenia zaczęły się już przecież od tego, że ten tydzień u mojej mamy z tymi bólami i rzyganiem to prawdziwy odwyk. Oczywiście w organizmie już nie było trucizny, w każdym razie heroiny. Ale za to napchaliśmy się do pełna valeronem, valium i tą całą resztą. I ani przez chwilę nie pomyśleliśmy o tym, co trzeba zrobić po takim odtruciu organizmu. Mama była tak samo naiwna. Ona poważnie miała nadzieję, że już po wszystkim. Bo i skąd miała wiedzieć, jak jest naprawdę?

My to właściwie powinniśmy się orientować, bo słyszeliśmy już przecież

O próbach podobnego odwyku. Tyle, że myśmy właśnie nie chcieli wiedzieć, co jest naprawdę grane. Zresztą, byliśmy przecież nadal niesamowicie naiwnymi dzieciakami. Wszystkie te osobiste doświadczenia nic tu nie zmieniały.

Prawie cztery tygodnie udało się nam zresztą faktycznie wytrwać w postanowieniach. Żadne z nas nie chodziło na zarobek. Ładowaliśmy tylko wtedy, jak nam ktoś odpalił działkę albo w jakiś sposób wpadło nam trochę forsy. Tyle, że coraz więcej ganialiśmy, żeby znaleźć kogoś, kto nam odpali działkę, czy, żeby wpadało nam trochę forsy. Oczywiście nie przyznawaliśmy się do tego przed sobą.

Te tygodnie to był wspaniały okres. Nie musiałam jeszcze chodzić do szkoły, bo mama chciała, żeby te pierwsze tygodnie bez heroiny były dla mnie szczególnie przyjemne. Pozwoliła, żeby Detlef ze mną mieszkał. Poznałam go teraz od całkiem nowej strony i kochałam jeszcze bardziej niż dotąd, jeśli w ogóle można było jeszcze kochać bardziej. Detlef był beztroski, pogodny, pełen pomysłów. Byliśmy parą wiecznie roześmianych nastolatków, a

może zresztą tylko tak wyglądaliśmy.

Jeździliśmy do Grunewaldu i robiliśmy sobie długie spacery. Czasami zabieraliśmy oba moje kotki i puszczaliśmy je, żeby położyły po drzewach. Kochaliśmy się prawie co noc. Wszystko było niesamowicie wspaniałe. Czasem przez parę dni nie braliśmy nic, czasem trzy dni z rzędu byliśmy naćpani. Jak już dostaliśmy towar, staraliśmy się możliwie szybko przysnąć z tych parszywych miejsc, gdzie kręcą się ćpuny. Najchętniej łaziliśmy sobie po Kurfürstendamm

Zmieszaliśmy się z tłumem mieszczuchów. Bo tak naprawdę chcieliśmy być tacy jak te kołtuny, tylko troszkę inni. W każdym razie chcieliśmy pokazać sobie i innym, że nie jesteśmy starymi ćpunami, mimo, że ładujemy.

Jak byliśmy na herze, to łaziliśmy też czasem do dyskotek dla szczyli, takich jak „Flashpoint” czy „Big Eden”. Siedzieliśmy tam kompletnie naćpani i wydawało się nam, że prawie nie różnimy się od całej reszty, a w każdym razie na pewno nie jesteśmy stare ćpuny. Zdarzało się, że cały dzień przesiedzieliśmy w domu. Potrafiliśmy godzinami wyglądać przez okno i opowiadać sobie przy tym jakieś historie. Próbowaliśmy zrywać liście z tych rachitycznych drzewek, które rosły przed moim blokiem. Wychylałam się z okna jak tylko mogłam najbardziej, Detlef trzymał mnie za nogi i faktycznie udało mi się zerwać parę liści. Obściskiwaliśmy się, rozrabialiśmy, czytaliśmy trochę i cały czas robiliśmy jakieś wygłupy. Ani razu nie rozmawialiśmy poważnie o naszej przyszłości. Bardzo rzadko robiło mi się nagle źle. Działo się tak, kiedy pojawiał się jakiś problem. Kiedy na przykład poprzytykałam się z Detlefem o jakąś bzdurę. Zupełnie nie umiałam sobie wtedy poradzić. Wlokło się to za mną bez przerwy i czasem bałam się, że przez takie drobne głupstwo dostanę zaraz cholery. W takich chwilach miałam straszną chcięć na herę, bo jak sobie władowałam, to problem od razu zniknął.

Potem pojawił się prawdziwy problem. Klaus, facet mojej mamy, zaczął wydziwiać z powodu Detlefa. Powiedział, że mieszkanie jest za małe, żeby jeszcze przyjmować kogoś obcego. Mama nie umiała mu się jakoś szczerze sprzeciwić, i znowu byłam bezsilna. Poczulałam się mniej więcej tak samo, jak wtedy, kiedy Klaus kazał mi pozbyć się psa. W jednej chwili diabli wzięli całe to bezbłędne życie. Po trzech tygodniach laby musiałam znowu iść do szkoły, a Detlef nie mógł już ze mną mieszkać.

W szkole nawet nie odczulałam, że mnie nie było przez trzy tygodnie. Przecież i tak dawno przestałam kontaktować na lekcjach. Pojawił się tylko nowy problem, palenie. Teraz, jak nie byłam naćpana, paliłam cztery do pięciu paczek dziennie. Odpalałam jednego papierosa od drugiego, i już na pierwszej lekcji nie mogłam wydolić bez papierosa. Musiałam

wyjść do klopa, żeby wypalić parę sztuk. Tego pierwszego dnia w szkole wypaliłam tyle, że się porzygałam. Rzygałam do kosza na papiery. W klasie prawie nie byłam.

Po raz pierwszy od trzech tygodni nie zobaczyłam się z Detlefem. Następnego dnia po szkole bezwiednie pojechałam na dworzec Zoo. Stał tam mój Detlef i czekał na klientów.

Powiedziałam mu, że stanie na tym ohydny dworcu i czekanie na ohydnych klientów to beznadziejne dno. Ale on mi na to, że nie ma już ani marki, i tak zresztą nie wie, co miałby robić innego. Znowu sypiał przeważnie u Axela i Bernda, codziennie przyłąził na dworzec i codziennie ładował sobie działkę. Jak chciałam zobaczyć się z Detlefem, to znowu musiałam jeździć na dworzec. Detlef był jedynym bliskim mi człowiekiem. Wydawało mi się, że nie mogę bez niego żyć. No więc znowu prawie codziennie byłam na dworcu Zoo.

MATKA CHRISTIANE

Tej niedzieli, kiedy zobaczyłam plamy krwi w łazience i sprawdziłam ręce Christiane, nagle otworzyły mi się oczy. To był straszny cios. Christiane wystawiła mi, że tak powiem, rachunek za moje wychowanie, z którego byłam taka dumna. Teraz widziałam, że wszystko robiłam nie tak. Wszystko tylko dlatego, że nie chciałam powtórzyć błędów wychowawczych własnego ojca.

Na przykład kiedy Christiane zaczęła chodzić do tej dyskoteki „Sound”, to nie byłam tym wprawdzie zbudowana, ale jej przyjaciółka Kessi i reszta młodzieży z „Haus der Mitte” też przecież tam chodziła. Powiedziałam sobie, no trudno, w takim razie czemu Christiane nie ma tam od czasu do czasu pójść. Cała ta młodzież marzyła tylko o „Soundzie”. Przypomniałam sobie wszystkie te niewinne przyjemności, których zabraniał mi ojciec, jak byłam młodą dziewczyną.

Równie wspaniałomyślnie postąpiłam, kiedy Christiane przedstawiła mi Detlefa, swojego chłopaka, którego poznała w „Soundzie”. Detlef zrobił na mnie bardzo korzystne wrażenie. Umiał się zachować, miał dobre maniery i szczerzy charakter.

Jednym słowem - miły chłopiec. Było dla mnie rzeczą najzupełniej normalną, że Christiane właśnie po raz pierwszy się zakochała. W końcu, taki wiek. Myślałam sobie, grunt, że chłopak jest porządny. Widziałam, że on też naprawdę bardzo Christiane lubi.

Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że obydwójce biorą już heroinę, to bym powiedziała, że zwariował. Bo pomijając zauroczenie Detlefem, niczego szczególnego w Christiane nie zauważyłam.

Wprost przeciwnie, wydawała mi się spokojniejsza i bardziej zrównoważona, a

przecież przez pewien czas była wręcz nie do zniesienia. Nawet w szkole szło jej jakby lepiej.

Po szkole zawsze dzwoniła do mnie do pracy i opowiadała, co tam u niej słysząc. Że idzie do jakiejś koleżanki albo po Detlefa, który właśnie wychodzi z pracy. Nie miałam nic przeciwko temu. W tygodniu z reguły na kolację była już w domu. A jak się miała spóźnić, to dzwoniła do domu i za godzinę już była. Czasem wychodziła jeszcze potem do „Haus der Mitte” albo do przyjaciół. Tak przynajmniej mówiła.

Znowu zaczęła mi trochę pomagać w domu, za co starałam się ją wynagrodzić jakimś drobiazgiem, płyta albo parę marek więcej do kieszonkowego. Mój przyjaciel, Klaus, uważał, że to niedobrze. Twierdził, że powinnam pomyśleć trochę o sobie, bo Christiane mnie wykorzystuje. W pewnym sensie miał prawdopodobnie rację. Bo ja wciąż miałam to uczucie, że muszę zrobić dla Christiane coś szczególnego, wynagrodzić jej jakieś wymaginowane krzywdy. Ale wtedy nie dostrzegałam tego jeszcze tak wyraźnie.

Mój przyjaciel był też przeciwny, żebym pozwalała Christiane nocować u koleżanek. Nie wierzył, że naprawdę śpi u koleżanki. Ale nie miałam zamiaru jej szpiegować. Robił to w stosunku do mnie ojciec, nawet jak nic nie przeszkrobałam.

Któregoś dnia Christiane powiedziała mi, że spała z Detlefem. - Mamuśka - powiedziała - był dla mnie taki kochany, że nie masz pojęcia. - Teraz już wiedziałam, dlaczego w weekendy zawsze chce nocować u koleżanki.

Ale cóż, trudno, stało s/ę. Przecież nie ma co robić tragedii. Od tej pory pozwalałam jej od czasu do czasu nocować u Detlefa.

Zresztą, jak mogłam im zabronić spać ze sobą? W telewizji i w gazetach psychologowie wystarczająco często podkreślali, że dzisiejsza młodzież dojrzewa znacznie wcześniej i, że nie należy tłumić seksualizmu. Sama tak zresztą uważam.

Bądź co bądź Christiane miała stałego chłopaka. Inne dziewczyny dziś chodzą z tym, jutro z tamtym. Także stałość uczuć Christiane trochę mnie uspokoiła.

Ale z drugiej strony, jeśli mam być szczerą, to czasem robiło mi się dziwnie. Przede wszystkim z powodu nowych kolegów i koleżanek Christiane, których poznała w „Soundzie”. Opowiadała, że niektórzy z nich biorą narkotyki. O heroinie nie wspomniała. Mówiła tylko, że palą „hasz” i biorą „kwas”. Opowiadała zupełnie straszne rzeczy, powiedziała też, że jej przyjaciółka Babsi jest narkomanką. Ale mówiła o tym z takim obrzydzeniem, uważała to za takie wstrętne - nigdy by mi do głowy nie przyszło, że robi to samo.

Kiedy ją zapytałam: - Po co w ogóle zadajesz się z tymi ludźmi? - powiedziała: - Ach, mamuśka, tak mi ich żal. Nikt nie chce ich znać. A oni tak się cieszą, jak ktoś z nimi porozmawia. Im trzeba pomóc. - A Christiane zawsze była skora do pomocy. Dzisiaj wiem,

że mówiła wtedy o sobie.

A któregoś wieczora, w środku tygodnia, kiedy wróciła do domu dopiero o jedenastej, powiedziała: - Mamuś, nie krzycz na mnie. Byłam z tymi ludźmi w Release-Center. - Zapytałam: - A to co takiego? - No wiesz, prowadzimy tam rozmowy i staramy się odciągnąć ich od narkotyków. - A potem dodała: - Żebym tylko sama nie wpadła przy tym w nałóg... - i zaczęła chichotać. Popatrzyłam na nią przerażona. Wtedy powiedziała: - Tak tylko mówię. Ze mną wszystko w porządku. - Aż Detlefem? - zapytałam. Na to Christiane aż się oburzyła: - Detlef? Coś ty! Musiałby na głowę upaść!

To było zimą siedemdziesiątego szóstego. Od tej pory gnębiły mnie złe przecucia, ale tłumiałam je w sobie. Mojego przyjaciela też nie słuchałam. A on gotów był pójść o zakład, że Christiane się narkotyzuje. Ja natomiast nie dałam o niej powiedzieć złego słowa. No bo w końcu trudno ot tak przyznać się, że wszystko poszło na marne, że się nie sprawdziłam jako matka. Moja córka tego nie robi - tego się trzymałam.

Spróbowałam trochę przykrócić Christiane. Ale jak powiedziałam: - Na kolację masz być w domu - to jej nie było. Wtedy nic już nie mogłam zrobić. Gdzie miałam jej szukać po mieście. Dworzec Zoo nigdy by mi na myśl nie przyszedł, nawet gdybym nie bawiła się w tłumienie podejrzeń. Cieszyłam się, jak zadzwoniła wpół do dziewiątej i mówiła: - Mamuśka, zaraz będę, nie martw się. - Po prostu nie potrafiłam już dać sobie z Christiane rady.

Z tym, że czasem przestrzegała moich zakazów. Mówiła z dumą przez telefon: - Słuchaj, nie, dzisiaj nie mogę. Zostaję w domu. - i wcale nie wyglądała na zmartwioną. To były te sprzeczności. Z jednej strony łamała wszelkie zakazy, była bezczelna do ostatnich granic i nie dała sobie nic powiedzieć. Z drugiej strony okazywała respekt, kiedy jasno stawiało się sprawę. Ale było już za późno.

Pod koniec stycznia 1977, w którąś niedzielę, wybiła dla mnie godzina prawdy. To było straszne. Chciałam wejść do łazienki. Drzwi były zamknięte. U nas nie było takich zwyczajów. W łazience siedziała Christiane i nie chciała otworzyć. W tym momencie miałam już pewność. Równocześnie stało się dla mnie jasne, że cały czas po prostu nie dopuszczałam do siebie tej myśli. Bo inaczej skąd bym tak nagle wiedziała, co ona tam robi w tej łazience.

Zaczęłam dobijać się do drzwi. Ale ona nie otwierała. Dostałam prawie szalu. Wrzeszczałam, błagałam, żeby wreszcie otworzyła. W końcu wybiegła z łazienki do pokoju. Zobaczyłam szerniałą łyżkę i plamy krwi na ścianie. Miałam teraz potwierdzenie. Znałam to z gazet. Mój przyjaciel powiedział tylko: - Teraz już wierzysz?

Poszłam do jej pokoju. Powiedziałam: - Christiane, coś ty zrobiła. - Byłam całkowicie wyczerpana. Drżałam na całym ciele. Nie wiedziałam, czy płakać, czy się wydzierać. Ale

musiałam z nią najpierw porozmawiać. Płakała rozdzierająco i nie chciała spojrzeć mi w oczy. Zapytałam: - Wstrzyknęłaś sobie heroinę?

Nie odpowiedziała. Zanosila się płaczem, także nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Siłą rozprostowałam jej ręce i wszystko stało się jasne. Miała ślady ukłuc już na obu rękach. Nie wyglądało to bardzo groźnie. Nie było wylewu, widziałam właściwie tylko dwa, trzy ślady, razem z tym świeżym. Ten był jeszcze dosyć czerwony.

Wtedy się przyznała. Z płaczem. W tym momencie myślałam sobie: Chyba umrę. i chyba naprawdę najchętniej bym umarła. Byłam tak zrozpaczona, że w ogóle nie mogłam myśleć. Nie miałam pojęcia, co robić. Zapytałam Christiane: - Co teraz zrobimy? - Poważnie, takie zadałam jej pytanie. Sama byłam zupełnie bezradna.

To był właśnie ten cios, którego tak chciałam uniknąć. To właśnie to przez cały czas od siebie odsuwałam. Z tym, że przecież nie wiedziałam, jak to się może objawiać. Jak dotąd nie stwierdziłam u Christiane ospałości ani nic takiego. Przeważnie była wesoła i ruchliwa. Jedyne, na co zwróciłam przez te ostatnie tygodnie uwagę, to to, że czasami, jak wróciła troszkę później, bardzo szybko znikala w swoim pokoju. Tłumaczyłam sobie, że pewnie ma wyrzuty sumienia. Z powodu późnego powrotu.

Kiedy trochę się już uspokoiłam, zaczęłyśmy się zastanawiać, co tu zrobić. Wtedy Christiane powiedziała, że Detlef też jest narkomanem i, że jeśli to wszystko ma mieć jakiś sens, to muszą przejść odwyk wspólnie. Inaczej jedno zawsze będzie mogło namówić drugie. Trafiło mi to do przekonania. Postanowiłyśmy, że oboje muszą od zaraz wspólnie zacząć odwyk tutaj.

Christiane robiła wrażenie szczerej i otwartej. Od razu mi wyznała, że Detlef zarabia pieniądze na dworcu u homoseksualistów. Byłam zaszokowana. O tym, że ona sama zadaje się w tym samym celu z mężczyznami, w ogóle nie było mowy. Zresztą, nie podejrzewałam jej o to, w końcu kochała Detlefa. A on, jak mówiła, zarabiał tyle, że starczało na heroinę dla nich dwojga.

Christiane bez przerwy mnie zapewniała: - Mamuśka, ja naprawdę chcę z tym skończyć. Słowo daję. - Wieczorem pojechaliśmy szukać Detlefa. Wtedy po raz pierwszy zwróciłam świadomie uwagę na te wychudzone, budzące litość kreatury, kręcące się po dworcu między jednym a drugim przyjazdem kolejki. Christiane powiedziała: Nie chcę tak skończyć. Przypatrz się tym wrakom! Sama wyglądała jeszcze całkiem znośnie. To mnie prawie zupełnie uspokoiło.

Nie znaleźliśmy Detlefa na dworcu i pojechaliśmy do jego ojca. Wiedział o narkomanii syna, ale nie wiedział, że z Christiane jest to samo. Robiłam mu wyrzuty. -

Dlaczego - pytałam - nic mi pan o tym nie powiedział? - On na to, że było mu wstyd.

Widziałam, że mu ulżyło. Chciał pokryć część ewentualnych kosztów odwyku. Dotychczas na próżno starał się o jakąś pomoc dla syna. Musiałam mu się wydawać aniołem zesłanym przez niebo. Mnie też się wydawało, że jestem bardzo silna. Nie miałam przecież bladego pojęcia, co mnie czeka.

Następnego dnia pojechałam sama po jakąś poradę. Najpierw poszłam do urzędu opieki nad nieletnimi i powiedziałam: - Moja czternastoletnia córka bierze heroinę. Co mam robić? - Nie umieli mi nic poradzić. - Do zakładu - powiedzieli. Odpowiedziałam, że to wygółę nie wchodzi w rachubę. Christiane poczułaby się tylko odtrącona. Zresztą oni nawet nie wiedzieli, do jakiego zakładu. Mieli dopiero coś poszukać, ale to musi potrwać. Twierdzili też, że miejsca dla trudnych dzieci są zresztą i tak rzadkością. Powiedziałam: - To przecież nie o to chodzi, ona nie jest trudnym dzieckiem! Jest narkomanką. - Patrzyli tylko na mnie i wrzuszali ramionami. Na koniec powiedzieli mi, żebym może poszła z córką do poradni wychowawczej.

Kiedy to zaproponowałam Christiane, powiedziała tylko: - Co za bzdury, oni tam w ogóle nie mają pojęcia. Ja przecież potrzebuję terapii. - Ale w tym zakresie urząd nie miał nic do zaproponowania. Obiecałam więc poradnie dla narkomanów na politechnice, w Caritasie i gdzie tylko jeszcze. Nie miałam przecież pojęcia, co z tym fantem zrobić.

W poradniach niewiele sobie obiecywali po takim domowym odwyku. Bez terapii taki odwyk nie ma podobno wielkiego sensu. Ale powiedzieli, że ponieważ Christiane jest jeszcze taka młoda, to mogę właściwie spróbować szczęścia w domu. i tak zresztą nie mają wolnych miejsc na terapii, może w przyszłym kwartale. Dali mi jeszcze wskazówki co do odżywiania, żeby przeciwdziałać objawom niedoboru.

Odwyk odbył się zaraz w pierwszym tygodniu. Ani jedno, ani drugie nie robiło żadnych siupów i nie próbowało dać nogi. Znowu nabrałam otuchy. Po ośmiu dniach miałam pewność: Bogu niech będą dzięki - wytrzymali. Wkrótce Christiane zaczęła chodzić systematycznie do szkoły i rzekomo nawet udzielała się na lekcjach.

Ale potem znowu zaczęła znikać z domu. Tyle, że za każdym razem mówiła, gdzie jest. Dzwoniąc wieczorem o ósmej mówiła: - Mamuśka, jestem w tej i w tej kawiarni. Spotkałam tego i tego. Zaraz będę w domu.

Byłam już ostrożniejsza. Kontrolowałam jej ręce, ale nie widziałam świeżych śladów. Nie pozwalałam jej już nocować w weekendy u Detlefa. Z drugiej strony chciałam jej okazać, że mam do niej zaufanie. Dlatego w soboty wolno jej było wracać później. Byłam podejrzliwa, ale zwyczajnie nie wiedziałam, jak mam się zachować. Łamałam sobie nad tym

głowę.

Strasznie się bałam, żeby znowu nie uzależnić się fizycznie od hery. Ale jak Detlef był naćpany, a ja trzeźwa, to nie było między nami kontaktu. Byliśmy dla siebie jak obcy ludzie. Dlatego zaczęłam sobie łądować to, co Detlef mi dawał. Nawet wbijając igłę mówiliśmy sobie jeszcze, że nie chcemy się już uzależnić. Wmawialiśmy sobie, że w każdej chwili możemy przestać nawet wtedy, kiedy już znowu w panicznym strachu staraliśmy się, żeby zostawić sobie trochę towaru na następny dzień.

Cały ten syf zaczął się od początku. Tyle tylko, że nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę, jak głęboko wpadliśmy od razu w to samo bagno, bo uroiliśmy sobie, że nad wszystkim mamy pełną kontrolę.

Początkowo Detlef znowu zarabiał na sobie i na mnie. Oczywiście długo się tak nie dało i musiałam zacząć sama. Ale na początku miałam niesamowity fart ze stałymi klientami, tak, że cała sprawa nie była aż taka straszna.

Zaraz pierwszego dnia, jak zdecydowałam się znowu zacząć, Detlef zabrał mnie ze sobą do Jürgena. Ten Jürgen, to dość znany facet z kręgu biznesu. Ma niesamowity szmal i jada obiady z senatorami. Wprawdzie ma już ponad trzydziestkę, ale mimo to wydaje się całkiem młody. Mówi tym samym żargonem, co młodzież, i rozumie jej problemy. Wcale nie wyglądał jak jakiś spasiony manager, chociaż miał tyle szmalu, co oni.

No więc przyszedłam po raz pierwszy do mieszkania Jürgena. Przy takim ogromnym drewnianym stole siedziało już kilkanaście osób. Sami młodzi. Na stole stały srebrne lichtarze z zapalonymi świecami i butelki z drogim winem. Wszyscy rozmawiali ze sobą na pełnym luzie. Zauważyłam, że wszyscy, i chłopaki, i dziewczyny, mają kiepeły nie od parady. Najwięcej mówił Jürgen. Pomyślałam sobie, że ten to musi mieć łeb. W ogóle od razu mi zaimponowało, że ma taką bombową chatę, w której wszystko musiało kosztować niezły szmal i, że mimo to ma taki luz, naprawdę człowiek.

Wszyscy, łącznie z nim, przyjęli nas od razu jak starych przyjaciół, chociaż oprócz nas nie było innych narkomanów. Pogadało się trochę, a potem jakiś chłopak z dziewczyną zapytali, czy mogliby wziąć prysznic. Jürgen odpowiedział: - Jasne. W końcu od czego są prysznice.

Prysznic był zaraz obok dużego pokoju. Oboje tam weszli, potem przyłączyło się parę innych osób. Po chwili przyszli nago do pokoju zapytać, czy mogą dostać jakieś ręczniki. Pomyślałam sobie, że to bombowe towarzyszo i, że wszyscy muszą się tu chyba lubić. Wpadłam w zupełnie fajny nastrój, bo sobie wyobraziłam, że kiedyś w przyszłości też będziemy mieli z Detlefem taką obłądną chatę i będziemy sobie mogli zapraszać wszystkich

naszych przyjaciół.

Parę osób łąziło teraz nago albo z ręcznikiem okręconym wokół bioder po mieszkaniu i zaczęło się nawzajem podpieszczać. Jakaś para poszła do sypialni z takim ogromnym łóżem, które można było obniżać i podwyższać. Z sypialni do salonu prowadził szeroki korytarz. Dokładnie było widać, co tam się dzieje. Oboje zaczęli się pieścić nago, a potem inni też powłazili na to wielkie łóżo. Chłopaki pieścili się z dziewczynami albo między sobą. Parę osób robiło to normalnie na stole.

Już dawno skapowałam, że zanosi się na jakąś drobną orgię. Chcieli, żebyśmy się przyłączyli. Ale mnie się nie chciało. Nie miałam ochoty, żeby ktoś obcy się do mnie dobierał. Nie, żebym się brzydziła tym, co tam się działo. Byłam nawet trochę podniecona patrząc, jak swobodnie się ze sobą zabawiają. Ale właśnie dlatego chciałam być tylko z Detlefem.

Poszliśmy do pokoju obok. Zaczęliśmy się pieścić i rozebraliśmy się. Nagle usiadł koło nas Jürgen i zaczął się przyglądać. Nawet mi to za bardzo nie przeszkadzało, bo przecież w tym domu był taki luz, a poza tym pomyślałam sobie, że mamy dostać od Jürgenego forszę. Miałam tylko nadzieję, że nie będzie próbował się do nas dobierać.

Ale on się tylko przyglądał. Kiedy myśmy się kochali, on obciągał sobie małego. Potem, jak już wychodziliśmy, bo musiałam wracać do domu, zupełnie mimochodem wcisnął Detlefowi do ręki stówę.

Jürgen został naszym stałym klientem. Był biseksem. Najczęściej chodziliśmy do niego razem. Wtedy ja obrabiałam go od góry, a Detlef od dołu. Zawsze dostawaliśmy za to stówę. Czasem chodziliśmy do niego osobno. Za sześćdziesiąt marek. Oczywiście Jürgen był klientem i jako klient był prawie tak samo nieprzyjemny, jak inni. Ale był jednocześnie jedynym klientem, z którym łączyło mnie coś jakby przyjaźń. W każdym razie miałam dla niego szacunek. Chętnie z nim rozmawiałam, bo zawsze miał wspaniałe pomysły i pełny dystans. Umiał sobie poradzić z tym społeczeństwem.

Podziwiałam zwłaszcza, jak potrafi obracać pieniędzmi. To mnie w nim interesowało chyba najbardziej. Kiedy opowiadał, w jaki sposób zainwestował gotówkę i jak potem prawie automatycznie robiło się jej więcej. A przy tym miał niesamowity gest. Reszta tych ludzi, co uczestniczyli w orgiach, nie dostawała chyba bezpośrednio forszę. Ale byłam raz przy tym, jak jakiś chłopak zahaczył Jürgenego o parę tysięcy na mini-coopera. Bez wielkiego gadania Jürgen wypisał czek i powiedział: - Masz tego swojego mini-coopera.-Jürgen był też jedynym klientem, do którego czasem łąziłam, nawet jak nic od niego nie chciałam ani on ode mnie. Zdarzało się, że oglądałam u niego wieczorami telewizję i wtedy świat wydawał mi się znowu

całkiem okay.

Znowu kompletnie wsiąkliśmy z Detlefem w środowisko. Przestały nas interesować te normalne dyskoteki dla szczyli. Jeżeli nie byłam na dworcu Zoo, to pałętałam się po dworcu Kurfürstendamm. Na niewielkim peronie kręciła się nieraz i ze setka narkomanów. Bo tam odchodził handel. Ale przyłazili też klienci, którzy specjalizowali się wyłącznie w narkomanach. Z tym, że na dworzec Kurfürstendamm łąziło się przede wszystkim, żeby się spotkać.

Włóczyłam się od grupki do grupki i gadałam z innymi narkomanami. Jak sobie tak łąziłam między tymi ludźmi, to czasem sama sobie wydawałam się Wspaniała. Na tym peronie pod Kurfürstendamm czułam się jak gwiazda między takimi jak ja gwiazdami. Przyglądałam się babsztylom, które lały objuczone torbami zakupów od Wertheima czy Bilki i gapiły się na nas z niesmakiem i normalnym przerażeniem, i myślałam sobie: Przecież one nie mają do nas startu. Oczywiście życie narkomana jest twarde i bezwzględne, każdego dnia możemy umrzeć i pewnie niedługo umrzemy. Ale właśnie o to nam chodzi. Mnie tam przynajmniej to odpowiada. Pomyślałam o forsie, jaką zarabiam. Stówę muszę mieć codziennie na sam tylko towar. Razem z kosztami dodatkowymi wpadało mi cztery tysiące marek wydatków miesięcznie, które musiałam skądś wziąć Cztery patyki miesięcznie netto dostaje akurat dyrektor fabryki. A ja zarabiam tyle mając czternaście lat.

Pewnie, że chodzenie na zarobek to syfiasta robota. Ale jak byłam na herze, to mi to całkiem wisiało. No i w gruncie rzeczy tylko obierałam takiego klienta z forsy. W każdym razie to, co robiłam, było nieporównywalne z tym, co oni musieli mi dać. Ciągłe jeszcze sama ustalałam warunki. O dymaniu nie było mowy.

Ale były nawet większe aparaty ode mnie. Niektórzy opowiadali, że potrzebują cztery gramy hery na dzień. Wtedy to ich kosztowało dziennie pięćset do ośmiuset marek, i prawie zawsze udawało im się tyle zarobić. Czyli, że mieli więcej forsy od każdego dyrektora koncernu i w dodatku gliniarze nie mogli ich jakoś dupnąć. i do takich właśnie gwiazd mogłam w każdej chwili podejść na dworcu Kurfürstendamm, żeby sobie pogadać.

Tak mniej więcej czułam i myślałam w tym czasie, gdzieś tak luty, marzec 1977, kiedy znowu byłam w ciągu. Nie było ze mną najlepiej, ale nie byłam jeszcze taka kompletnie do kitu. Spokojnie mogłam się jeszcze oszukiwać. Znowu całkiem weszłam w rolę narkomanki. Uważałam, że jestem bombowa. Niczego się nie bałam.

Zanim zaczęłam ćpać, wszystkiego się bałam. Najpierw ojca, potem faceta mamy, szkoły i nauczycieli, dozorców, gliniarzy z drogówki, kanarów w kolejce podziemnej. Teraz czułam się nietykalna. Nie miałam cykora nawet przed tajniakami, którzy czasem weszli po

dworcu. Z każdej obławy umiałam dać dyla i to na kompletnym luzie.

W tym czasie miałam też kontakty z narkomanami, którzy moim zdaniem genialnie podchodzili do ćpania. Na przykład taki Atze czy Lufo. Atze to był mój pierwszy chłopak. Jedyny chłopak przed Detlefem, z którym byłam jakoś bliżej, w którym się autentycznie zabijałam. Lufo, tak jak Atze i Detlef, należał w 1976 do naszej paczki z „Soundu”, gdzie wspólnie paliło się hasz. Atze i Lufo zaczęli z heroiną na krótko przede mną. Mieszkali aktualnie w bezbłędnym mieszkaniu z francuskim łóżkiem, kompletem wyściełanych mebli i dywanową wykładziną na podłodze. Lufo normalnie jeszcze pracował jako robotnik niewykwalifikowany u Schwarzkopfa. Obaj twierdzili, że jeszcze nigdy nie byli fizycznie uzależnieni i normalnie potrafili nie ćpać przez miesiąc albo dwa. Wierzyłam im, chociaż ile razy ich spotkałam, zawsze byli naćpani.

Atze i Lufo byli dla mnie prawdziwym wzorem. Nie chciałam już nigdy tak się wkopać, jak przed pierwszym odwykiem. Byłam przekonana, że ja z Detlefem też mogę kiedyś mieć taką chatę z francuskim łóżkiem, wyściełanymi meblami i dywanową wykładziną, jak tylko nauczymy się tak podchodzić do prochów, jak Atze i Lufo.

Oni obaj nie byli też tacy agresywni, jak inni narkomani. Poza tym Atze miał bezbłędną dziewczynę, Simone, która w ogóle nie ćpała. Uważałam, że to genialne, że mimo to rozumieją się nawzajem. Lubiłam do nich wpadać i czasami, jak się ścięłam z Detlefem, to spałam na wersalce Lufo.

Kiedy któregoś wieczora wróciłam do domu i poszłam do mamy do dużego pokoju, bo miałam dobry nastrój, ona bez słowa pokazała mi gazetę. Od razu wiedziałam, co jest grane. Zawsze bez słowa podawała mi gazetę, kiedy była jakaś informacja o kolejnej ofierze heroiny. Wkurzyło mnie to. Nie chciałam przeczytać.

Ale przeczytałam, chociaż mnie tak wkurzyło. Przeczytałam: Andreas W. (lat 17), uczeń szklarza, pragnął uwolnić się od nałogu. Jego szesnastoletnia przyjaciółka, uczennica szkoły pielęgniarstwa, chciała mu w tym pomóc: na próżno. W mieszkaniu w Tiergarten, które ojciec Andreasa urządził obojgu kosztem kilku tysięcy marek, młody chłopak zaaplikował sobie śmiertelny strzał...

Nie zaskoczyłam tak od razu, bo po prostu nie mogłam uwierzyć. Ale przecież wszystko się zgadzało: mieszkanie, uczeń szklarza, dziewczyna, Andreas W. Czyli Andreas Wiczorek, którego nazywaliśmy Atze.

Najpierw pomyślałam sobie tylko: Kurwamać. W gardle mi kompletnie zaschło i zrobiło mi się niedobrze. Pomyślałam sobie, że to nie może być prawda, że Atze władował sobie „złoty strzał”. Akurat Atze, który tak genialnie podchodził do ćpania. Nie chciałam dać

mamie poznać, jak mnie ta notatka załatwiła. Przecież ona nie miała pojęcia, że znowu jestem w ciągu. Wzięłam gazetę i poszłam do swojego pokoju.

Nie widziałam się z Atzem od jakiegoś czasu. A teraz czytam w gazecie, co się z nim działo przez ostatnie dni. Już tydzień temu przedawkował i zapakowali go do szpitala. Jego dziewczyna podcięła sobie wtedy żyły. Obydwoje zostali odratowani. Nadzień przed śmiercią Atze poszedł na policję i wsypał wszystkich znajomych handlarzy, nawet takie dwie dziewczynki, które wszyscy nazywali Bliźniaczki i które zawsze miały bezbłędny towar. Potem napisał list pożegnalny, który wydrukowali teraz w gazecie: Zamierzam skończyć ze sobą, bo narkoman przynosi same kłopoty, gorycz i rozpacz rodzinie i przyjacielom. Wykańcza nie tylko siebie, ale i innych. Dziękuję za wszystko moim rodzicom i kochanej babuni. Fizycznie jestem już zero. Być narkomanem to ostatnie dno. Ale kto wpycha ludzi, którzy przychodzą na świat młodzi i pełni życia, w to nieszczęście? Niech ten list będzie ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy stoją przed decyzją: A może ja też spróbuję? Idioci, popatrzcie na mnie. Simone, twoje kłopoty się skończyły. Zegnaj.

Leżałam w łóżku i myślałam sobie: To był twój pierwszy chłopak. W ziemi. Nawet nie potrafiłam się rozplakać. Nie byłam już zdolna nawet do najzwyczajniejszych uczuć.

Kiedy po południu następnego dnia poszłam do swoich, żaden z narkomanów nie płakał po Atzem. Narkomani nie płaczą z takich powodów. Ale niektórzy byli niesamowicie źli na Atzego. Bo wsypał porządnych ludzi, którzy sprzedawali bezbłędny towar, a teraz siedzieli przez niego w kicju, i dlatego, że całej kupie ludzi nie pooddawał długów.

Najbardziej niesamowita rzecz w całej tej historii z Atzem to to, że jego dziewczyna, ta Simone, która jeszcze nigdy w życiu nie miała nic z heroiną i cały czas starała się wyciągnąć Atzego z nałogu, w tydzień po jego śmierci sama zaczęła ćpać. W parę tygodni potem rzuciła szkołę pielęgniarstwa i poszła na zarobek.

Lufo umarł niecały rok później, w styczniu 1978, po przedawkowaniu hery.

Razem ze śmiercią Atzego diabli wzięli cały dobry nastrój, że niby można być dobrym w zabawie z herą. W naszej paczce, z którą Atze był przecież w kontakcie, pojawił się strach i nieufność. Dawniej, kiedy łądownaliśmy sobie wspólnie i nie było wystarczająco dużo strzykawek, każdy chciał być pierwszy. A teraz nagle każdy chciał być dopiero następny. Nikt nie mówił, że się boi. Ale to był właśnie paniczny strach, że może towar jest za czysty, za silny albo doprawiony strychniną czy inną trucizną. Bo wykorkować można było nie tylko z przedawkowania, ale też jak towar był za czysty albo za bardzo zanieczyszczony.

Czyli znowu zrobił się kompletny syf. W gruncie rzeczy było dokładnie tak, jak Atze pisał w tym swoim pożegnalnym liście. Mama też zaczęła się przeze mnie wykańczać. Znowu

przyjechałam do domu nie wiadomo kiedy. A mama nigdy nie położyła się spać, zanim nie przyszłam. A jak już przyszłam, to musiała najpierw łyknąć parę sztuk valium, żeby w ogóle trochę pospać. Tak sobie myślę, że w ogóle ciągnęła jakoś tylko dzięki valium.

Coraz bardziej byłam pewna, że skończę tak jak Atze. Czasami miałam jeszcze jakiś cień nadziei, którego się czepiałam. Nawet w szkole. Był tam jeden taki nauczyciel, którego nawet trochę lubiłam, nazywał się Mücke. Odgrywał z nami sytuacje, w jakich możemy się kiedyś znaleźć. Na przykład rozmowa kwalifikacyjna przy staraniu się o pracę. Jeden grał szefa, drugi kandydata na jakieś stanowisko. Ja tam nigdy nie dałam sobie takiemu szefowi nic powiedzieć. Od razu wykręcałam kota ogonem, tak, że ten chłopak, co grał szefa, nie miał co podskakiwać. Wtedy sobie myślałam, że może w życiu też dam sobie jakoś w ten sposób radę. Poszliśmy też z panem Mücke do poradni zawodowej. To znaczy najpierw obejrzeliliśmy sobie paradę wojskową NATO. Chłopaki byli poważnie zainteresowani, marzyli o czołgach i tym całym wyposażeniu. A mnie to wszystko tylko wkurzało, bo czołgi robiły pieroński hałas, a poza tym były przeznaczone tylko do tego, żeby zabijać innych ludzi.

W poradni poczułam się całkiem okay. Przeczytałam wszyściutko, co było na temat zawodu opiekuna zwierząt. Zaraz następnego dnia poszłam tam po południu drugi raz, z Detlefem, i kazałam sobie zrobić fotokopie wszystkiego, co tam mieli na ten temat. Niektóre zawody z tych, co tam mieli, normalnie spodobały się też Detlefowi. On też szukał czegoś, co byłoby związane ze zwierzętami i rolnictwem. Tak się zapaliliśmy, że o mało co byśmy zapomnieli, że trzeba jeszcze skombinować forszę na następną działkę. Kiedy tak potem staliśmy na dworcu i czekaliśmy na klientów z tymi fotokopiami z poradni w mojej plastikowej torbie, wszystko znowu zrobiło się takie nierzeczywiste. Przecież jak tak dalej będzie, to nawet nie skończę podstawówki.

Następnego dnia po drodze do szkoły kupiłam sobie na dworcu Moritzplatz nowy numer „Playboya”. Kupowałam dla Detlefa, bo lubił to pismo, ale najpierw zawsze sama czytałam. Nie pamiętam dokładnie, dlaczego interesował nas akurat „Playboy”. Dzisiaj kompletnie tego nie rozumiem. Ale wtedy „Playboy”, to był dla nas czysty świat. Czysty seks. Piękne dziewczyny bez żadnych problemów. Żadnych pedałów, żadnych klientów. Faceci palili fajki, jeździli sportowymi wozami i mieli kupę szmalu. A dziewczyny kochały się z nimi, bo miały na to ochotę. Detlef mówił nieraz, że to wszystko pić na wodę, ale i tak chciał, żeby mu kupować.

Jadąc tego dnia do szkoły czytałam w metrze jakąś historyjkę z „Playboya”. Treść nie całkiem do mnie docierała, bo jak co rano byłam świeżo naćpana. Ale spodobał mi się nastrój całej historyjki. Wszystko działo się gdzieś daleko, pod błękitnym niebem, w promieniach

słońca, i takie tam. Kiedy doszłam do miejsca, gdzie piękna dziewczyna niecierpliwie czeka na swojego wspaniałego chłopaka, który ma zaraz wrócić z pracy, normalnie się rozryczałam. Nie mogłam się w ogóle pozbierać aż do samego dworca Wutzkyallee, gdzie wysiadałam.

W szkole cały czas marzyłam, że jestem z Detlefem gdzieś daleko. Kiedy po południu spotkałam się z nim na dworcu, opowiedziałam mu o tym. Powiedział, że ma w Kanadzie wujka i ciotkę. Że mieszkają nad wielkim jeziorem, a naokoło same pola i lasy, i, że na pewno by się zgodzili nas przyjąć. Powiedział, że muszę tylko jeszcze skończyć szkołę, bo to zawsze lepiej. On pojedzie pierwszy, poszuka sobie pracy, tam nie ma z tym kłopotów, i zanim do niego dojadę, to zdąży do tego czasu kupić albo wynająć drewniany dom dla nas obojga.

Powiedziałam, że jedno, co muszę, to rzeczywiście skończyć szkołę, i, że mi teraz jakby trochę lepiej idzie. Zrezygnuję na przyszłość z głupich odżywek, będę się skupiać na lekcjach, żeby dostać dobre świadectwo ukończenia.

Detlef poszedł z jakimś klientem, ja jeszcze czekałam. Nagle stanęło za mną jakichś dwóch facetów i zapytali: - Co ty tu robisz? - Od razu wiedziałam, że to tajniaki. Nigdy mnie jeszcze dotąd nie przytknęli i nie bałam się gliniarzy, bo jak na razie, zostawiali mnie w spokoju. W końcu to już, z przerwami, będzie parę miesięcy, jak zaczęłam łązić na zarobek na dworzec Zoo, podobnie jak inne dziewczyny w moim wieku. A patrole kręciły się tam codziennie. Tyle, że oni filowali na kasztanów, co przewozili z Berlina Wschodniego butelkę wódki czy karton papierosów. Urządzali na nich regularne polowania.

Spokojnie odpowiedziałam tajniakom: - Czekam na chłopaka.

Jeden z nich zapytał: - Co, puszczasz się?

Ja na to: - Co pan, skąd panu to przyszło do głowy. Czy ja wyglądam na taką?

Zapytali o wiek i odpowiedziałam, czternaście. Chcieli zobaczyć mój dowód, chociaż dowód dostaje się dopiero, jak człowiek ma szesnaście lat. Nie omieszkałam ich o tym pouczyć.

Ten, który ciągle pytał, powiedział wtedy: - Pokaż tę plastikową torbę. Najpierw wyciągnął z niej łyżkę. Spytał, po co mi ona potrzebna.

- Do jedzenia jogurtu - odpowiedziałam.

Ale potem wyciągnął papier toaletowy z zawiniętą w niego strzykawką i kazali mi pójść ze sobą. Zabrali mnie na komisariat dworcowy. Nie bałam się. Wiedziałam, że czternastolatki nie mogą zapakować do kicia. Byłam tylko wściekła na tych tajniaków.

Zamknęli mnie do celi, zaraz obok biurka tego głównego gliniarza. Byłam tak jakoś pewna siebie, że nawet nie próbowałam pozbyć się hery, którą miałam w kieszonce džinsów. Po prostu nie mogłam ot tak wyrzucić działki. Przyszła jakaś policjantka. Musiałam się

rozebrać, nawet z bluzki i majtek, i zanim znalazła herę w moich dżinsach, zdążyła mi zajrzeć w każdą dziurę. Jeden z gliniarzy wystukał to wszystko strasznie obszernie na całej stronie papieru maszynowego. Kopia protokołu poszła do grubego segregatora. Czyli byłam już teraz zarejestrowaną narkomanką. Przestałam być „ciemną liczbą”. Gliniarze byli właściwie całkiem mili. Tyle, że każdy z nich gadał co chwila to samo: - Dziewczyno, co ty wyprawiasz? Masz dopiero czternaście lat, taka ładna, taka młoda i prawie trup.

Musiałam im podać telefon do mamy do pracy i jeden poszedł zaraz zadzwonić.

Mama przyszła gdzieś o wpół do szóstej, zaraz po pracy, kompletnie spięta, i normalnie zaczęła poważnie rozmawiać z tymi gliniarzami, którzy i tak gadali tylko, żeby gadać. W końcu powiedziała: - Tak, tak, te dzieci. Nie mam już pojęcia, co z nią robić. Przecież nawet przeprowadziłam z nią odwyk. Ale ona wcale nie chce przestać.

To już było dla mnie dno. ja nie chcę przestać. Przecież ona nie ma bladego pojęcia o mnie i mojej sprawie z heroiną. Oczywiście, że chcę przestać. Ale niech mi może powie, jak. Po wyjściu zaczęła mnie wypytywać. Gdzie znowu byłam. Powiedziałam: - Przecież normalnie, na dworcu.

Ona: - Nie powinnaś tam chodzić.

Ja - Czekałam na Detlefa. Tyle to mi chyba jeszcze wolno.

Mama stwierdziła, że nie powinnam się spotykać z tym „bezrobotnym, nieprzystosowanym łązęgą”. A potem jeszcze zapytała: - Czy ty się aby nie puszczasz?

Rozdarłam się na nią: - Coś ty, zgłupiała? Spróbuj jeszcze raz coś takiego powiedzieć. Czemu bym się miała puszczać, możesz mi to powiedzieć? Uważasz, że jestem dziwką, tak?

Na to już nic nie powiedziała. Zaczęłam się już naprawdę obawiać o swoją wolność. Złękłam się też jakoś tego chłodu mamy. Pomyślałam, że ona też już spisała mnie na straty, poddała się, już mi nie pomoże. Ale potem powiedziałam sobie: co ona ci może pomóc tymi gadkami w rodzaju „nie chodź więcej na dworzec”, „nie spotykaj się z tym łązęgą Detlefem”.

Musiałam iść z mamą do domu, a nie miałam działki na jutro. Rano mama wyciągnęła mnie z łóżka. Popatrzyła mi w twarz: - Dziecko, jakie ty masz oczy. Zupełnie bez wyrazu. Widzę w nich tylko strach i rozpacz.

Kiedy mama poszła do pracy, popatrzyłam w lustro. Po raz pierwszy przyjrzałam się swoim oczom na głodzie. Zostały prawie same źrenice. Całkiem czarne i całkiem otępiałe. Rzeczywiście kompletnie bez wyrazu. Zrobiło mi się gorąco. Umyłam twarz. Zaczęłam marznąć, więc wlałam do wanny z gorącą wodą. Potem nie miałam odwagi wyjść, bo w łazience było dla mnie o wiele za zimno. Cały czas dolewałam gorącej wody. Musiałam jakoś przeczekać do południa. Bo przed południem nie było szans, żebym podłapała na dworcu

jakiegoś klienta albo znalazła kogoś, kto by mi odpalił trochę hery. Przed południem nikt nie miał. Teraz w ogóle trudno było znaleźć kogoś, kto by chciał się podzielić. Axel i Bernd niesamowicie się szczypali z każdą odrobinką. Sami potrzebowali każdej ćwiartki, bo z trudem udawało im się zarobić na tyle, ile musieli mieć. Nawet Detlef zrobił się żyła, jeśli idzie o herę. A reszta ludzi, każdy by wolał wyrzucić, niż się z kimś podzielić.

Kiedy febra zaczęła się robić coraz gorsza, zmusiłam się do wyjścia z wanny, żeby poszukać w domu jakiejś forsy. Duży pokój zawsze był teraz zamknięty na klucz. Wymyślił to Klaus, facet mojej mamy, bo twierdził, że mu niszczy płyty. Ale ja już dawno się nauczyłam otwierać te drzwi kawałkiem drutu. W dużym pokoju nie było ani grosza. Przypomniałam sobie wtedy o puszcze po piwie na lodówce. Mama wrzucała do niej nowe pięciomarkówki.

Trzymałam ciężką puszkę w ręce, drżałam, bo byłam na febrze, ale też i trochę dlatego, że miałam zamiar okraść własną matkę. To była rzecz, której autentycznie jeszcze dotąd nie zrobiłam. Uważałam to zawsze za absolutne dno. Tym się jeszcze różniłam od innych narkomanów. Na przykład Bernd, przyjaciel Detlefa, bez przerwy coś wynosił z mieszkania rodziców. Telewizor, ekspres do kawy, elektryczny nóż do chleba, autentycznie wszystko, co dało się spuścić za parę marek na herę. Jak dotąd, opyliłam tylko wszystko, co miałam z biżuterii, i prawie wszystkie płyty.

Wysypałam te pięciomarkówki z puszek. Akurat niedawno cena ćwiartki na rynku spadła o piątkę, z czterdziestu na trzydzieści pięć marek. Czyli, że musiałam mieć siedem piątek. Obliczyłam: ponieważ od klienta biorę najczęściej czterdzieści, to mi zawsze ta piątka zostanie. Czyli spokojnie mogę codziennie dorzucać do puszek jedną pięciomarkówkę. i już za tydzień długu nie będzie, a mama pewnie w ogóle nic nie zauważy. Pojechałam więc z siedmioma piątkami na rynek, który przed południem był pod stołówką politechniki, kupiłam działkę i już kompletnie na głodzie władowałam sobie na miejscu, w ubikacji.

Mama co wieczór kontrolowała mi teraz ręce, żeby zobaczyć, czy nie ma świeżych śladów. Zaczęłam wtedy ładować w dłoń. Zawsze w to samo miejsce. Zrobił mi się strup. Mamie mówiłam, że się skaleczyłam i źle mi się goi. Kiedyś tam mama znalazła jednak świeży ślad. Powiedziałam: - No, zgadza się. Tylko dzisiaj, wyjątkowo. Robię to tylko wyjątkowo, wtedy nie jest szkodliwe.

Mama porządnie mnie wtedy sprąła. Nie broniłam się. Nawet nie za bardzo się wtedy przejęłam, i tak traktowała mnie już jak ostatnią szmatę i przy byle okazji mieszała mnie z błotem. Instynktownie robiła to, co trzeba. Bo narkoman musi dokładnie wiedzieć, że jest absolutnym zerem i szmatą, dopiero wtedy może poważnie spróbować coś zmienić. Wtedy

albo ze sobą kończy albo wykorzystuje tę drobną szansę wyjścia z nałogu. Ale wtedy nie miałam jeszcze o tym wszystkim pojęcia.

Mama liczyła jeszcze na jedną sprawę. Na ferie wiosenne miałam pojechać do babci na wieś, do Hesji. Miałam tam zostać pełne cztery tygodnie albo ewentualnie dłużej. Nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy bać się rozłąki z Detlefem i nieuniknionego odwyku. Właściwie robiłam już tylko to, co mi kazali. Jedyne, co wymusiłam, to to, żeby na ostatnią noc Detlef mógł być u mnie.

Tej ostatniej nocy przed wyjazdem znowu zaczęłam sobie robić jakieś nadzieje. Jak skończyliśmy się kochać, powiedziałam do Detlefa: - Słuchaj, właściwie jak dotąd wszystko robiliśmy razem. Przez te cztery tygodnie chciałabym autentycznie zrobić odwyk. Nigdy już nie będę miała takiej szansy. Chciałabym, żebyś ty też przestał brać. Jak wrócę, oboje będziemy po odwyku i zaczniemy nowe życie.

Detlef powiedział, że oczywiście, jasne, że skończy z ćpaniem. Znalazł nawet dojście do valeronu. Zaraz zacznie szukać pracy i już jutro albo pojutrze skończy z chodzeniem na zarobek.

Następnego dnia rano, przed startem w nowe życie u babci, władowałam sobie jeszcze szczególnie potężną działkę. Kiedy znalazłam się na wsi, nie byłam jeszcze tak całkiem na głodzie. Ale czułam się w tej idylli chłopskiej kuchni jak obce ciało. Wszystko mnie wkurzało. Wkurzało mnie, że mój mały kuzynek chciał koniecznie do mnie na kolana, chociaż strasznie lubiłam się z nim bawić, jak był jeszcze niemowlakiem. Wkurzał mnie stary sracz bez spuszczonej wody, który jeszcze ostatnim razem wydawał mi się taki romantyczny.

Następnego dnia zaczęły się klasyczne objawy odstawieniowe. Wymknęłam się z domu i poszłam do lasu. Wkurzał mnie świergot ptaków, przestraszyłam się jakiegoś królika. Wdrapałam się na ambonę. Nie potrafiłam nawet zapalić papierosa. Chciałam tam umrzeć. W końcu wróciłam jakoś do domu i poszłam do łóżka. Babci powiedziałam, że mam grypę, czy coś w tym rodzaju. Była zatroskana, ale nie za bardzo zaniepokoił ją mój żalosny stan.

Nad moim łóżkiem wisiał plakat. Była na nim ręka kościotrupa ze strzykawką. Pod spodem było napisane: Taki jest koniec. Zaczęto się od ciekawości. Moja kuzynka twierdziła, że dostała ten plakat w szkole. Nie miałam pojęcia, że mama powiedziała babci, że jestem narkomanką. Gapiłam się na strzykawkę. Na samą strzykawkę. Napisu i tej ręki kościotrupa nie widziałam. Wyobrażałam sobie, że w tej strzykawce jest ćwiartka bezbłędnej, czyściutkiej hery. Strzykawka normalnie wyłaziła do mnie z plakatu. Godzinami gapiłam się na ten kurewski plakat i myślałam, że dostanę zajoba.

Kuzynka prawie cały czas była w pokoju i zachowywała się tak, jakby w ogóle nie

widziała, co się ze mną dzieje. Bez przerwy puszczała kasety z jakąś gównianą muzyką i pewnie jej się wydawało, że mnie tym jakoś zajmie. Jak się tak teraz na to patrzy, to nawet wzruszające, jak mi się wtedy starali dogodzić.

Pierwszy dzień odtrucia ciągnął się w nieskończoność. W którymś momencie się zdrzemnęłam i przyśnił mi się jeden taki, którego autentycznie spotykałam w Berlinie. Był już taki poharatany od ciągłego ładowania, że wszędzie miał otwarte rany. Normalnie gnił na żywca. Stopy miał czarne, martwica. Ledwie chodził. Śmierdział na dwa metry tak, że nie dało się wytrzymać. Jak mu ktoś mówił, żeby może poszedł do szpitala, szczyrzył zęby jak trupia czaszka. Ten to już autentycznie czekał tylko na śmierć. O nim właśnie myślałam, kiedy patrzyłam na tę strzykawkę albo prawie traciłam przytomność z bólu. Wszystko było jak za pierwszym razem: z potem, smrodem i rzyganiem.

Następnego dnia rano nie wydoliłam, zwlokłam się do budki telefonicznej i zadzwoniłam do mamy. Wylałam i smarkałam w słuchawkę i błagałam, żeby mama pozwoliła mi już wrócić do Berlina.

Mama była kompletnie niewzruszona. Powiedziała: - O, czyżbyś znowu nie za dobrze się czuła? Przecież podobno brałaś narkotyki tylko wyjątkowo, od czasu do czasu. W takim razie nie powinno być tak najgorzej.

W końcu zaczęłam już tylko błagać, żeby mi przysłała ekspresem proszki nasenne. Wiedziałam, że w najbliższym miasteczku jest rynek narkotyków. Wyniuchałam w czasie ostatniego pobytu. Ale nie miałam sił, żeby tam pojechać. Zresztą, przecież nikogo z tamtych nie znałam. Jak narkoman urywa się ze swojego środowiska, to jest kompletnie bezbronny i samotny.

Na szczęście febra znowu trwała tylko cztery dni. Kiedy wszystko minęło, czułam się tylko pusta i wypompowana. Już nawet nie było tego miłego poczucia, że wylała ze mnie cała trucizna. Znowu miałam wstręt do Berlina, ale na tej wsi też już nie czułam się jak u siebie. Pomyślałam, że po prostu nigdzie nie ma już dla mnie miejsca, i starałam się już dalej nie zastanawiać.

Żeby się otępić, miałam tylko proszki nasenne, które mama przysłała mi o wiele za późno, i wino jabłkowe, którego było pełno u babci w piwnicy. Nagle zrobiłam się strasznie żarta. Zaczynałam rano od czterech albo pięciu bułek, a do popołudnia zdążyłam zawsze wtranzolić dwanaście do piętnastu listków chrupkiego pieczywa z marmoladą. W nocy szłam do ogromnego regału ze słojami śliwek, brzoskwiń i truskawek. Na to wszystko nakładałam sobie jeszcze kupę bitej śmietany, i tak nie mogłam zasnąć do drugiej - trzeciej nad ranem.

W całkiem krótkim czasie przytyłam dziesięć kilo. Wszyscy tam się cieszyli, że mi się

brzuch wylewa ze spodni, a tyłek robi coraz grubszy. Tylko ręce i nogi zostały takie cienkie, jak przedtem. Było mi kompletnie wszystko jedno. Po prostu miałam teraz głód żarcia. Już niedługo przestałam włożyć w swoje obcisłe dzinsy. Wtedy dostałam od kuzynki porozciągane spodnie w kratkę. Po raz ostatni miałam takie na sobie jako jedenastolatka. Nie robiło mi to żadnej różnicy. Stopniowo znowu zaczęłam się dopasowywać do tych dzieciaków ze wsi. Ale nie traktowałam tego serio. To był dla mnie trip, piękny film, który niedługo znowu musi się skończyć.

Nie rozmawiałam z nikim o narkotykach i wkrótce przestałam nawet o nich myśleć. Nie chciałam sobie psuć tego pięknego filmu. Tylko raz, kiedyś, zaraz jak się skończyła febra, napisałam do Detlefa list i wsadziłam do koperty dwadzieścia marek, za które miał mi przysłać hery. Napisałam tak do Detlefa, któremu powiedziałam, że ma przestać ćpać. Listu jednak potem nie wysłałam, bo sobie wykombinowałam, że Detlef i tak mi nic nie przyśle, tylko sam przećpa te dwie dychy.

Razem z kuzynką zwiedzałyśmy, co było do zwiedzenia w okolicy, prawie codziennie jeździłam konno. Razem z innymi dzieciakami chodziliśmy do kamieniołomów, które kiedyś tam należały do mojego dziadka. Dziadek zdążył przejechać te kamieniołomy, zanim sam zapił się na śmierć. Mama musiała mieć nie najłatwiejsze dzieciństwo.

Babcia opowiadała, że gdzieś tam w kamieniołomach muszą być takie, żelazne drzwi, za którymi leżą stare dokumenty naszej rodziny. Prawie co wieczór szukaliśmy tych drzwi. Czasem robotnicy zapominali wyjąć kluczyki z koparki. Wtedy jeździliśmy sobie koparką po kamieniołomach. Znowu zaczęłam się całkiem nieźle rozumieć z tą moją kuzynką, która była prawie w moim wieku. Opowiadałam jej o swojej miłości do Detlefa, jakby to była zwykła romantyczna historia o nastolatkach. Powiedziałam jej, że już spiamy ze sobą, i ona uznała, że to absolutnie w porządku.

Opowiedziała mi potem, że na lato zawsze przyjeżdża do nich z namiotem taki chłopak z Dusseldorfu, który jej się nawet całkiem podoba. Kiedyś tam próbował się nawet do niej przystawiać, ale się nie zgodziła. Czy to nie było głupio z jej strony?

Powiedziałam, że nie, że to absolutnie w porządku, że mu się nie podłożyła. Powinna moim zdaniem poczekać na tego, z którym będzie chciała chodzić na serio. Moja kuzynka i wszyscy jej koledzy i koleżanki ze wszystkimi problemami przyłązili do mnie. Czułam się normalnie jak taka ciocia od radzenia. No i mówiłam, co i jak mają robić, żeby się przede wszystkim tak bardzo nie przejmowali. Wszystkie te ich problemy były dla mnie dziecinne. Ale potrafiłam słuchać i na wszystko miałam jakąś radę. Byłam niesamowicie dobra, jeśli szło o problemy innych. Tylko z własnymi nie umiałam sobie poradzić.

Któregoś wieczora zadzwonił Detlef. Ucieszyłam się jak nie wiem. Powiedział, że właśnie jest u klienta i dlatego mógł zadzwonić. Rozmawialiśmy niesamowicie długo, bo ten klient miał gest. Opowiedziałam mu, jaką miałam potworną febrę. Że tym razem o mało nie dostałam świra. On odpowiedział, że jeszcze nie przestał ćpać. i, że to rzeczywiście kurewstwo z jego strony. Ja na to, że strasznie się cieszę, że go niedługo zobaczę. Zapytałam, czy by do mnie nie skrobął jakiegoś listu, tak jak obiecał. Detlef powiedział, że na razie to nie ma za bardzo nastroju. Ale zadzwoni do mnie, jak znowu będzie u tego klienta.

Po tej rozmowie telefonicznej znowu miałam pewność, że tak właściwie to jesteśmy już z Detlefem jak małżeństwo. Nie możemy bez siebie, obojętne co się z nim wyprawia. Wieczorami w łóżku normalnie zawsze przeznaczałam parę minut tylko i wyłącznie na myślenie o Detlefie. To było coś jak pacierz, i liczyłam dni, kiedy wreszcie znowu z nim będę.

Babcia regularnie dawała mi trochę pieniędzy. Oszczędzałam z, żelazną wytrwałością. Właściwie nawet nie wiedziałam dlaczego. Oszczędzanie nigdy nie było moją mocną stroną. Ale jak zbierałam czterdzieści marek, to już wiedziałam dlaczego. Byłam naprawdę dumna z tych czterech dych i schowałam je. Czterdzieści marek-magiczna liczba. Czterdzieści marek kosztowała zazwyczaj działka. Dlatego brałam przeważnie tyle od klienta.

Kiedy to sobie w końcu wyraźnie uświadomiłam, powiedziałam do siebie: No nie, to kompletny zajob, żeby już tutaj zbierać na pierwszego kopa. Wzięłam i kupiłam sobie za dwadzieścia marek trykotowy podkoszulek, żeby raz na zawsze uwolnić się od tej pierońskiej liczby czterdzieści. Bo przecież przyjechałam tu właściwie po to, żeby już nigdy więcej nie ładować.

Kiedy te cztery tygodnie dobiegły końca, zadzwoniła mama i zapytała, czy nie chcę zostać dłużej. Bez zastanowienia powiedziałam, że nie. Może jakby zapytała, chcesz tam zostać na stałe, to bym się zastanawiała. Ale tak to przecież od początku był dla mnie tylko trip, z koszmarem na początku, potem niesamowicie łagodny i piękny. Byłam nastawiona, że po czterech tygodniach się skończy. Chciałam wrócić do Detlefa, który był już dla mnie prawie jak mąż.

W dniu wyjazdu na początek przebrałam się. Babcia i kuzynka daremnie usiłowały mnie namówić, żebym została w tych spodniach, które były już na mnie w sam raz. Wcisnęłam się w swoje wąskie dzinsy. Szwy trzeszczały, rozporek mimo najszczerzych chęci nie dał się zapiąć. Założyłam swoją długą czarną męską marynarkę i buty na najwyższych obcasach. Zanim wyjechałam od babci, znowu byłam ubrana jak normalna ćpunka. Z rozpiętym rozporkiem wróciłam do Berlina.

Zaraz następnego dnia poszłam po południu na dworzec Zoo. Detlef z Berndem byli na miejscu. Brakowało Axela, trzeciego z naszej paczki. Pomyślałam, że pewnie akurat poszedł gdzieś z klientem.

Powitanie z chłopakami było wspaniałe. Widziałam, że naprawdę diabelnie się cieszą z mojego powrotu. Oczywiście najbardziej Detlef. Powiedziałam do niego: - No jak, stary, robisz właśnie grzeczniutko odwyk, masz wspaniałą pracę? - Roześmieliśmy się wszyscy troje. Zapytałam: - Co tam u Axela?

Chłopaki popatrzyli tak jakoś dziwnie, a po chwili Detlef powiedział: - To ty jeszcze nie wiesz, że Axel nie żyje?

Normalnie jakby mnie trzepnęło. Nie mogłam złapać oddechu. Powiedziałam jeszcze: - Nie róbcie sobie jaj. - Ale już wiedziałam, że to prawda.

Czyli teraz Axel. Axel, u którego w mieszkaniu spędziłam przez ostatnie miesiące większość moich nocy z Detlefem. Który w tej cuchnącej narkomańskiej norze za każdym razem dawał mi świeżutką pościel. Któremu zawsze przynosiłam tuńczyka i który zawsze przygotowywał dla mnie jogurt. Jedyne, do którego mogłam przyjść ze wszystkimi problemami, jak się czasem poprzytykałam z Detlefem. Jedyne, przy którym zawsze mogłam się wypłakać. Bo przynajmniej w obrębie naszej paczki nigdy nie był agresywny ani przykry. Zapytałam: - Jak to się stało?

Detlef powiedział: - Znaleźli go w jakimś szalecie z igłą w żyłę. - Dla nich obu śmierć Axela była zupełnie jak zeszłoroczny śnieg. Miałam wrażenie, że nawet jest im jakoś nieprzyjemnie o tym mówić.

Cały czas myślałam o tym idiotycznym tuńczyku, którego dla niego kupowałam, i, że już nigdy nie będę tego robić. Nagle skojarzyłam, że może Detlef nie ma już przez to gdzie spać. Zapytałam: - Mieszkacie jeszcze w jego mieszkaniu?

Detlef odpowiedział: - Jego matka już zlikwidowała to mieszkanie. Mieszkam teraz u jednego klienta.

Powiedziałam: - Kurwa, niech to szlag. - Myślałam w tym momencie, że Detlef już na dobre puścił mnie dla swoich klientów. To, że mieszkał u jakiegoś klienta, trzepnęło mnie prawie tak samo, jak śmierć Axela.

Detlef powiedział: - Ten facet jest całkiem w porządku. Jest jeszcze młody, dwadzieścia parę lat i ani śladu brzucha. Już mu o tobie mówiłem. Możesz też tam spać.

Pojechaliśmy na „rynek”, bo Detlef chciał kupić hery. Spotkaliśmy po drodze paru znajomków i za każdym razem mówiłam: - Kurewska sprawa z tym Axelem. - Ale żaden z nich nie podjął gadki. No to powiedziałam jeszcze parę razy sama do siebie: - Kurewska

sprawa z tym Axelem.

Potem poszliśmy do szaletu przy Bulowbogen. Detlef chciał od razu włądować. Poszłam z nim dla towarzystwa. Czekałam, żeby mi zaproponował część swojej działki. Może dlatego, że chciałam wtedy powiedzieć nie, żeby mu pokazać, jaka jestem silna i, że potrafię. Ale Detlef nic mi nie zaproponował. Ta sprawa z Axelem tak we mnie ciągle siedziała, że myślałam, że tego nie wytrzymam. Jak Detlef podgotowywał działkę, złapała mnie straszna chcica na kopa. Pomyślałam sobie, że taka maciupenka działeczka wcale mnie nie uzależni, a przynajmniej wywietrzeje mi ze łba ta sprawa z Axelem i z tym facetem, u którego śpi Detlef. Zapytałam Detlefa, czyby mi nie dał trochę.

Detlef powiedział: - Dziewczyno, co ty, znowu chcesz ćpać? Wydawało mi się, że z tym skończyłaś.

Ja na to: - Jasne, stary, przecież skończyłam. Kto jak kto, ale ty sam wiesz najlepiej, jak to diabelnie łatwo z tym skończyć. Przecież sam skończyłeś jak cholera, kiedy ja wyjechałam i nie ćpałam ani tyle. Więc wiesz, poważnie, po tym całym syfie, jaki się tu na mnie zwałił, muszę dostać trochę hery.

Detlef: - Pewnie, że przestać to nic trudnego. W każdej chwili sam to mogę zrobić. Tyle, że mi się jeszcze nie chce. Ale wiesz, żebyś znowu w to nie wsiąkla.

Jeszcze w czasie tej gadki włądował sobie w kanał i zostawił w strzykawce trochę dla mnie. Ponieważ tak długo kompletnie nic nie brałam, ta odrobinka starczyła, żeby mnie trochę nabuzować i, żebym prawie zapomniała o Axelu.

Tym razem o wiele szybciej się uzależniłam niż poprzednio. Mama nie miała o niczym pojęcia. Cieszyła się, że jestem taka tłuściutka, bo faktycznie długo nie zrzucałam wagi.

Żeby być z Detlefem, musiałam teraz często chodzić do Rolfa, tego jego klienta. Bo nigdzie nie mieliśmy już wspólnego łóżka. Od początku nie lubiłam tego Rolfa. Był w Detlefie kompletnie zakochany. No i oczywiście zazdrosny o mnie. Kiedy kłóciłam się z Detlefem, był cały szczęśliwy i stawał po jego stronie. Wtedy normalnie dostawałam kurwicy. Detlef traktował Rolfa jak jakąś kompletnie uległą żonę czy dziewczynę. Wysyłał go do sklepu, kazał mu gotować i zmywać. To też mnie wpieniało, bo sama bym dla niego chętnie robiła zakupy i gotowała.

Powiedziałam Detlefowi: - Słuchaj, nasza trójka po prostu do siebie nie pasuje. - Ale Detlef stwierdził, że nie miałby gdzie spać. i, że Rolf tak właściwie jest całkiem w porządku. W każdym razie nie zna drugiego klienta, który by się tak mało czepiał, jak Rolf.

Detlef mógł robić z Rolfem, co mu się podobało. Wrzeszczał na niego i mówił: - Ciesz

się, że w ogóle u ciebie mieszkam. - Detlef szedł z nim do łóżka tylko wtedy, jak gwałtownie potrzebował forsę. Nasze stało w tym samym pokoju co Rolf. Kiedy kochaliśmy się ze sobą, Rolf oglądał telewizję albo po prostu się odwracał. Był kompletnym pedałem i nie chciał patrzeć, jak kocham się z Detlefem. W tym czasie wszyscy troje byliśmy już zdrowo porypani.

Bez przerwy się bałam, że przez to wszystko Detlef sam zostanie pedałem. Jednej nocy to nawet myślałam, że już koniec. Detlef musiał iść z Rolfem do łóżka, bo nie miał forsę. Ja leżałam w naszym. Detlef zgasił światło. Zawsze tak robił, kiedy musiał zaspokoić Rolfa. Cała sprawa trwała mi podejrzanie długo. i wydawało mi się, że słyszę pojękiwanie Detlefa. Wstałam i zapaliłam świecę. Obaj byli schowani pod kocem. Wydawało mi się, że obrabiają się nawzajem. A to było złamanie mojej umowy z Detlefem, jeśli pozwalał się dotykać. Niesamowicie mnie to zabulgotało. Byłam taka zła, że nie potrafiłam powiedzieć, żeby może Detlef wreszcie już do mnie przyszedł. Zamiast tego powiedziałam - Ale radocha, co? - Detlef w ogóle się nie odezwał, ale Rolf się wpienił. Zgasił świecę. Detlef został na całą noc z Rolfem. A ja płakałam w poduszkę. Szlochałam po cichu, bo nie chciałam, żeby oni słyszeli, jak mnie to wzięło. Następnego dnia byłam taka zła i smutna, że poważnie się zastanawiałam, czy nie zostawić Detlefa. Nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy, jak bardzo heroina zdążyła już opanować same podstawy naszej miłości.

W każdym razie uświadomiłam sobie bardzo wyraźnie, że dopóki ćpamy, Detlef nie jest tylko mój. Że muszę go dzielić z jego klientami, zwłaszcza z Rolfem. Nie inaczej było ze mną. Znowu musiałam codziennie łązić na dworzec Zoo, a, że najczęściej czas mnie naglił, to już nie mogłam tak przebierać w klientach i nie zawsze udało mi się przepchnąć swoje warunki.

Żeby nie bywać tak często u tego Rolfa, znowu zaczęłam więcej czasu spędzać z resztą ludzi z paczki, przede wszystkim ze Stellą i Babsi. Ale z nimi też coraz trudniej było się dogadać. Każdy chciał godzinami mówić tylko o sobie, a, żeby chociaż dwie minutki posłuchać, to nie. Stellą i ja chciałyśmy na przykład opowiedzieć, jak to wyrolował nas jakiś handlarz i zamiast hery wcisnął nam mąkę, a Babsi dziamgała o znaczeniu myślnika na jakimś szyldzie. Wtedy obie darłyśmy się na nią: - Stul mordę!- Potem ja i Stellą zaczynałyśmy mówić jedna przez drugą i darłyśmy się na siebie, bo każda z nas chciała sama opowiedzieć tę historię. Prawie każda próba rozmowy kończyła się prędzej czy później tym „stul mordę”. Każda z nas gwałtownie potrzebowała kogoś, kto by słuchał. Ale takiego kogoś w naszej paczce już nie dało się znaleźć. Po prostu nie było prawdziwego zrozumienia. Na słuchaczy można było jeszcze liczyć tylko wtedy, jak się opowiadało o przeżyciach z

gliniarzami. Wtedy wszyscy byliśmy zgodnie przeciwko glinom. W tych sprawach zresztą byłam najlepsza. Na początku lata 1977 capnęli mnie już bądź co bądź trzeci raz.

To było na dworcu metra Kurfürstendamm. Właśnie wróciliśmy od klienta. Musieliśmy tylko odstawić przy nim numerkę - za 150 marek. Dlatego byliśmy cali szczęśliwi, każde z nas miało w kieszeni ćwiartkę hery i w dodatku kupę forsy ekstra. Pierwsza zobaczyłam, że na peron wysypuje się kupa tajniaków. Obława. Właśnie wjeżdżała kolejka i kompletnie spanikowana zaczęłam zasuwać wzdłuż peronu. Detlef, dokumentnie w tym momencie skołowany, poleciał za mną. Kiedy wpadłam do wagonu przy końcu pociągu, potraściłam jakiegoś zgreda. A on do mnie - Co robisz, trupie. - Autentycznie tak powiedział. Przez te wszystkie artykuły w gazetach wszyscy już od dawna wiedzieli, co się wyprawia na dworcu Kurfürstendamm. Kołtuny z kolejki od razu pokapowały, że to obława na narkomanów.

Detlef przyleciał za mną, a za nim oczywiście dwóch cywilnych gliniarzy. W końcu zachowywaliśmy się wystarczająco podejrzanie. Gliny właściwie wcale nie musiały za nami ganiać. Bo jeszcze zanim do nas dolecieli, rzuciły się na nas babsztyłe i zgredy z wagonu, złapały nas za łachy i zaczęły się histerycznie wydzierać: - Tu są, tu są! Policja! - Poczulałam się jak taka wyjęta spod prawa z westernu, która zaraz zadynda na najbliższym drzewie.

Wczepiłam się w Detlefa. Kiedy znaleźli się przy nas gliniarze, jeden powiedział. - Nie ma co się zgrywać na Romea i Julię. Idziemy, idziemy.

Zapakowali nas do volkswagena-busa i zabrali na komisariat.

Gliniarze byli dla mnie bardzo nieprzyjemni, ale nic ode mnie nie chcieli. Powiedzieli mi tylko, że przyskrzyniają mnie już po raz trzeci i, że mam u nich osobny segregator akt. Jeden wystukał na maszynie protokół i musiałam podpisać. Nawet już nie zawiadamiali mojej mamy. Byłam dla nich jednym z wielu beznadziejnych przypadków, o których trzeba będzie jeszcze napisać parę protokołów, zanim postawią przy moim nazwisku krzyżyk

Detlefa wypuścili razem ze mną po niecałej godzinie. Ponieważ odebrali nam towar, trzeba było iść na rynek i kupić nowe dwie ćwiartki. Na szczęście mieliśmy przecież forszę.

Tajniacy z dworca Zoo znali mnie po pewnym czasie właściwie wszyscy i zostawiali mnie w spokoju. Jeden z nich był nawet całkiem fajny. Taki młody, z południowoniemieckim akcentem. Kiedyś zaszedł mnie z tyłu i nagle podetknął znaczek pod nos. Myślałam, że się zesram ze strachu. Ale on się roześmiał i zapytał, czy czekam na klientów. Jak zwykle udawałam naiwną: - Skąd, a wyglądam na taką?

Ale on wiedział lepiej. Nawet nie chciał zajrzeć do mojej plastikowej torby. Powiedział tylko: - Na parę dni przestań się tu kręcić. Inaczej będę cię musiał przymknąć. -

Chwycił mnie i z całej siły pchnął na jakiś samochód. Nawet nie czułam siniaków. Ogarnął mnie tylko nagle paniczny strach o Detlefa. Wiedzieli przecież, że zawsze jesteśmy razem. A nie widziałam go od czasu, jak kompletnie naćpany poszedł na parkiet.

Poleciałam do budki i zadzwoniłam na policję. Powiedziałam glinom, że właśnie katują w „Soundzie” mojego chłopaka. Gliniarze wyglądali na zachwyconych tą wiadomością. Już po paru minutach przyjechała ich pełna buda. Chcieli mieć wreszcie dowody przeciwko „Soundowi”, żeby móc zamknąć tę spelunę. Co najmniej dwunastu gliniarzy przekopało „Sound” w poszukiwaniu Detlefa. Ale kamień w wodę. Wpadłam wtedy na pomysł, żeby zadzwonić do Rolf'a. Detlef już leżał w łóżku.

Gliniarze powiedzieli: - Pewnie jesteś naćpana. Nie próbuj z nami więcej takich numerów. - Jechałam do domu i poważnie zaczęłam się zastanawiać, czy naprawdę nie dostaję powoli świra od tych prochów.

Jedyną konsekwencją moich licznych zatrzymań było wezwanie na policję kryminalną. Miałam się stawić następnego dnia po południu w komendzie przy Gothaer Strasse, pokój 314. Numeru tego pokoju nigdy nie zapomnę, bo potem często tam chodziłam.

Ze szkoły poszłam najpierw do domu, żeby sobie jeszcze włądować porządną działkę. Pomyślałam sobie, że jak będę naćpana, to mi gliny będą mogły naskoczyć. Ale nie miałam już cytryny, a towar wyglądał na dosyć zanieczyszczony. W tym czasie był już zresztą coraz bardziej zanieczyszczony. Proszek przechodził z rąk do rąk, od rekinów przez średnich handlarzy do drobnych dostawców i każdy coś tam dosypywał, żeby więcej z tego interesu wyciągnąć.

Jakoś musiałam rozpuścić ten kompletnie zanieczyszczony towar. Wzięłam po prostu ocet, bo tam przecież też jest kwas. Wlałam trochę octu z butelki na łyżkę, na której była już hera. Trochę za dużo mi się chlapanęło, więc musiałam włądować ten roztwór octu, bo inaczej cała działka poszłaby na straty.

Ledwie wtrynęłam sobie to świństwo, urwał mi się film. Ocknęłam się dopiero po jakiejś dobrej godzinie. Strzykawka dalej była wbita w ramię. Cholerycznie bolała mnie głowa. Najpierw w ogóle nie mogłam się podnieść. Myślałam już, że się dorobiłam na amen i zaraz wykituję. Leżałam na podłodze i ryczałam. Czułam potworny strach. Nie chciałam umrzeć tak sama. Normalnie na czworakach dolazłam jakoś do telefonu. Męczyłam się na pewno z dziesięć minut, zanim udało mi się wykręcić numer do mamy do pracy. Powtórzyłam tylko parę razy: - Mamusiu, proszę, przyjdź, umieram.

Kiedy mama przyszła do domu, jako tako się już trzymałam na nogach. Wzięłam się jakoś w kupę, chociaż dalej formalnie pękała mi głowa. Powiedziałam: - Znowu miałam coś z

tym cholernym układem krążenia.

Mama chyba się domyśliła, że znowu sobie władowałam. Miała kompletnie zrozpaczoną minę. Nawet się nie odezwała. Cały czas tylko patrzyła na mnie takim smutnym, zrozpaczonym wzrokiem. Nie mogłam wytrzymać tego jej spojrzenia. Normalnie wwiercało mi się w moją pękającą z bólu głowę.

Mama zapytała w końcu, czy mi coś kupić. Odpowiedziałam: - Tak, truskawek. - Wyszła i przyniosła mi całą łubiankę.

Tego popołudnia pomyślałam, że już chyba naprawdę się kończę. Działka wcale nie była znowu taka silna, tyle, że trochę za dużo tego octu. Mój organizm stracił po prostu całą odporność. Zwyczajnie zaczynał odmawiać posłuszeństwa. Znałam to z przykładu tych, co już nie żyli. Też najpierw padali parę razy po władowaniu. A potem za którymś razem już się nie obudzili, i do piachu. Nie pamiętam już, dlaczego tak się zlekłam śmierci. Śmierci w samotności. Narkomani umierają samotnie. Przeważnie samotnie w jakimś śmierdzącym kiblu. A ja naprawdę chciałam umrzeć. Właściwie na nic więcej już nie czekałam. Nie miałam pojęcia, co ja robię na tym świecie. Dawniej też zresztą tak naprawdę nie wiedziałam. Ale po jaką cholere taką narkoman w ogóle żyje? Tylko po to, żeby wykańczać innych? Tego popołudnia myślałam sobie, że choćby dla dobra mojej mamy powinnam już umrzeć, i tak już zresztą nie wiedziałam tak za dobrze, czy jestem, czy już mnie nie ma.

Następnego dnia rano poczułam się lepiej. Pomyślałam sobie, może jeszcze trochę pociągniesz. Musiałam iść na tę policję, żeby sami po mnie nie przyszli. Ale jakoś tak nie mogłam się już zebrać, żeby iść sama. Szukałam telefonicznie Stelli i miałam fart, bo udało mi się ją przydybać u jednego z naszych wspólnych klientów. Zapytałam, czyby ze mną nie poszła na policję. Zgodziła się od razu. Akurat niedawno jej matka znowu zgłosiła u glin jej zaginięcie, ale Stella niczego się nie bała, wszystko jej wisiało. Zgodziła się pójść ze mną na policję, chociaż przecież była na gigancie.

Potem razem ze Stellą siedziałam w długim korytarzu na drewnianej ławce pod drzwiami trzysta czternaście i czekałam grzecznie, aż mnie wywołają. Jak mnie wywołali, to poszłam do tego pokoju tak grzeczniutko, że mało brakowało, a jeszcze bym do tego wszystkiego dygnęła. Jakaś pani o nazwisku Schipke uścisnęła mi po przyjacielsku rękę i od razu powiedziała, że też ma córkę, że ona jest o rok starsza ode mnie, ma 15 lat, ale nie bierze narkotyków. Jednym słowem robiła kompletnie pod dobrą mamusię. Spytała, jak mi leci, i przyniosła zaraz kakao, ciasteczka i jabłka.

Pani Schipke całkiem ciepło mówiła także o innych ludziach spośród narkomanów i pytała, co u nich słysząc. Pokazywała mi zdjęcia różnych narkomanów i dostawców, a ja

odpowiadałam bez przerwy tylko: tak, tych to znam z widzenia. Wtedy ona powiedziała, że niektórzy ludzie z tego środowiska bardzo źle o mnie mówią, no i jakoś tak zaczęłam gadać. Zdawałam sobie sprawę, że mnie ta gliniara w najobrzydliwszy sposób podpuszcza, ale mimo wszystko i tak za dużo powiedziałam. Potem podpisałam protokół z samymi bzdurami, które w mniejszym lub większym stopniu sama włożyła mi w usta.

Na koniec przyszedł jeszcze jakiś gliniarz zapytać mnie o „Sound”. No i wtedy to już zaczęłam sypać na całego. Opowiedziałam, ilu znam ludzi, których tam nakłonili do ćpania i o tych brutalnych łaniach, jakie się dostaje od tych z obsługi. Kazałam jeszcze zawołać Stellę, a ona wszystko potwierdziła i powiedziała, że może przysiąc przed każdym sądem.

Pani Schipke przez cały czas grzebała w tych swoich aktach i pewnie bardzo szybko wykapywała, kto to jest Stella. Zaczęła ją trochę przyciskać, ale Stella od razu się postawiła. Już myślałam, że ją zaraz przytkną, ale pani Schipke akurat zakończyła służbę i powiedziała, żeby Stella zgłosiła się do niej jeszcze raz następnego dnia. Stella oczywiście nie poszła.

Na pożegnanie pani Schipke powiedziała do mnie: - No, niedługo pewnie znowu się spotkamy. - Powiedziała to tak cholernie ciepłutko, jak wszystko dotychczas. To było już największe świństwo. Przecież to tak, jakby powiedziała, że mój przypadek jest już beznadziejny.

GERHARD ULBER

radca policji kryminalnej
szef służby do walki z narkotykami
policji berlińskiej

W zwalczaniu plagi narkomanii kierujemy się koncepcją wykorzystania wszelkich dostępnych nam środków w celu ograniczenia podaży nielegalnych środków odurzających, zwłaszcza heroiny, i wspomoczenia w ten sposób działalności terapeutycznej kompetentnych placówek.

W 1976 r. zabezpieczyliśmy 2,9 kg heroiny, w 1977 r. 4,9 kg, a w ciągu pierwszych ośmiu miesięcy 1978 już 8,4 kg. Nie oznacza to bynajmniej, że ilościowo nasze konfiskaty wzrosły proporcjonalnie do podaży czy spożycia heroiny. Ja osobiście jestem tu raczej pesymistą. Znajdujące się w obiegu ilości heroiny wzrosły. Jeszcze przed rokiem aresztowanie niemieckiego pośrednika ze stu gramami heroiny byłoby małą sensacją. Dzisiaj jest to już codzienność.

Musimy zdać sobie sprawę, że przy tak ogromnej stopie zysku coraz więcej Niemców

zostaje wplątanych w handel heroiną. Szmuglerzy oraz rekiny są wprowadzanie prawie wyłącznie cudzoziemcami, podobnie jak pośrednicy, którzy mają z nimi bezpośredni kontakt. Ale już pośrednicy stojący stopień niżej w tej hierarchii rekrutują się przeważnie spośród Niemców. Przekazują oni heroinę w ilości do stu gramów drobnym dostawcom, będącym przeważnie narkomanami, którzy rozprowadzają towar wśród nabywców.

Tak jak się spodziewaliśmy, nasze sukcesy doprowadziły do tego, że przemytnicy i handlarze stali się ostrożniejsi, na co my z kolei musimy odpowiedzieć wzmożonym wysiłkiem w celu ich wykrycia. Im szerzej jednak ingerujemy jawnie w miejscach spotkań narkomanów z dostawcami, tym silniej spychamy ich w rejony, gdzie są dla nas prawie nieosiągalni.

W gruncie rzeczy sposób działania policji jest tu bez znaczenia. Czy to będzie dyskretny nadzór nad tzw. środowiskiem, czy zaznaczanie obecności policji przy pomocy patroli i tak dalej - „rynek” zawsze znajdzie jakieś wyjście. Heroina coraz powszechniej sprzedawana jest w prywatnych mieszkaniach, gdzie kontrola policji już nie sięga.

Przykładowo: spośród osiemdziesięciu czterech berlińskich ofiar heroiny w 1977 roku dwadzieścia cztery w ogóle nie były u nas notowane jako narkomani, a śmierć z pewnością nie przyszła po pierwszej próbie. Często zdarza się, że permanentnie używający środków odurzających trafiają do naszych kartotek dopiero wtedy, kiedy nieprzytomni znajdują się w szpitalu, gdzie lekarzom w ostatniej chwili udaje się ich odratować.

W ogóle można latami brać heroinę, nie wpadając w oko policji. Jednym słowem, policja nie jest w stanie rozwiązać problemu narkomanii własnymi siłami. Już Amerykanie w czasach prohibicji, a my w 1945, jeśli idzie o czarny rynek, przekonaliśmy się o jednym: tam gdzie jest gwałtowny popyt, zawsze znajdzie się odpowiednia podaż.

Mógłbym oczywiście zatrudnić dwudziestu dodatkowych pracowników i udałoby się nam wtedy aresztować jeszcze więcej drobnych handlarzy heroiną. Ale problem by pozostał i jeszcze silniej zaczęłby występować w zakładach karnych, gdzie i dziś trudno sobie z nim poradzić. Narkomani zrobią w więzieniu wszystko, żeby zdobyć narkotyki, a umieszczeni w tych samych zakładach handlarze zrobią z kolei wszystko, żeby im go dostarczyć. Powiedzmy sobie otwarcie: możliwość wysokiego zarobku niezwykle sprzyja korupcji.

Jeśli narkomanów, którzy weszli w konflikt z prawem, nie uda się skoncentrować w jednym zakładzie karnym i odizolować od reszty więźniów, to - przynajmniej w Berlinie - dojdzie albo do chaosu w zakładach karnych, albo będzie to oznaczało koniec nowoczesnych metod penitencjarnych. Trzeba będzie bowiem zrezygnować z udzielania więźniom urlopów i przepustek, drastycznie ograniczyć odwiedziny i tak dalej, aby w ten sposób nie dopuścić do

kontynuowania nałogu podczas odbywania kary i do rozprzestrzenienia się go wśród innych więźniów. W praktyce nie sposób przecież przeprowadzać systematycznych rewizji osobistych każdego wychodzącego na urlop czy na przepustkę i każdego odwiedzającego, chociaż byłoby to absolutnie wskazane, gdyż kobiety przemycają heroinę w prezerwatywach umieszczonych w pochwie, a mężczyźni stosują metodę podobną, zwaną w żargonie odbyt-bombą.

Permanentne zatrzymanie, wyroki i kary ograniczenia wolności nic tu nie zmieniają. Osobie uzależnionej od heroiny jest wszystko jedno, byle tylko mogła dalej oddawać się nałogowi. Prewencyjna działalność uświadamiająca jest moim zdaniem jedyną metodą, pozwalającą liczyć na jakikolwiek sukces w walce o zmniejszenie liczby narkomanów.

RENATA SCHIPKE

lat 35

referentka wydziału walki z narkomanią

Z Christiane zetknęłam się służbowo, w związku z moimi zadaniami jako referentki do spraw wykroczeń przeciwko przepisom o środkach odurzających. Pierwszym razem została wezwana na podstawie rutynowego meldunku o zatrzymaniu i przyszła do mnie w towarzystwie swojej koleżanki, Stelli. W sumie spotkałyśmy się tutaj sześć lub siedem razy.

W tym czasie moje zadanie polegało na przesłuchiwaniu zarejestrowanych narkomanów w celu ustalenia nazwisk osób, u których nabywają nielegalnie środki odurzające. Otrzymujemy ogromną ilość meldunków o zatrzymaniach narkomanów i trzeba się nieźle napocić, żeby ze wszystkim nadażyć. Człowiek nie ma nawet czasu, żeby się głębiej nad tą całą sprawą zastanowić. W mojej pracy staram się jednak rozmawiać z wezwanymi tonem raczej osobistym, aby nawiązać rzeczywisty kontakt, ponieważ tylko wtedy można liczyć na pomyślny wynik przesłuchania.

Początkowo Christiane była bardzo otwarta i chętnie udzielała odpowiedzi. Zwróciła moją uwagę skromnością, zrobiła na mnie dodatnie wrażenie dobrze wychowanego dziecka. W czasie pierwszych przesłuchań sprawiała jeszcze wrażenie małej dziewczynki. Zawsze bardzo dobrze mówiła o swojej matce, która, muszę to również stwierdzić, w przeciwieństwie do wielu innych rodziców, bardzo troszczyła się o córkę. Wielokrotnie kontaktowałyśmy się telefonicznie.

Po kilku przesłuchaniach Christiane stała się niesłuchanie, jak na swój wiek, bezczelna i arogancka. Powiedziałam jej bez ogródek prosto w oczy, że mimo swoich odwyków i tak

zostanie narkomanką. To była bardzo ostra wymiana zdań. Ale nie chcę się tu na Christiane skarżyć. Ona też nie chowa urazy.

Po prostu narkomanom nie można pomóc. Oni zawsze czują się pokrzywdzeni, bo nie potrafią zrozumieć, za co się ich karze. Moim zdaniem, ci młodzi ludzie są po prostu zbyt lekkomyślni. Z ciekawości albo z nudów sięgają po narkotyki, a potem się dziwią, kiedy trzeba ponosić konsekwencje. Uważam za wskazane, aby Christiane otrzymała jak najwyższą karę, ponieważ u tak młodej dziewczyny, jak ona, wstrząs wywołany pobylem w więzieniu mógłby spowodować jakąś poprawę. Taką mam w każdym razie nadzieję.

W metrze o mało się nie poryczałam z wściekłości, że wystarczyło trochę kakao, ciasteczek i główniane ciepłko w głosie, żebym się dała podpuścić tej gliniarce.

Załatwiłam jeszcze na dworcu dwóch klientów, kupiłam towar na Kurfürstendamm i pojechałam do domu. Mój kot leżał w kuchni i ledwie dychał. Chorował już od paru dni. Teraz był już taki wychudzony i tak żałośnie miauczał, że sobie pomyślałam, że niedługo umrze.

Śmiertelnie chorym kotem przejmowałam się jakoś bardziej niż swoim własnym stanem. Od weterynarza dostałam dla niego wyciąg z krwi bydłej na wzmocnienie, ale biedulek nic już nie chciał jeść. Leżał przed miseczką z tym ekstraktem i nawet nie podniósł głowy.

Chciałam sobie władować. Wyjęłam sprzęt i wtedy przyszedł mi do głowy pomysł. Nabrałam trochę tego wyciągu z krwi do strzykawki i wlałam kotu do pyszczka. Przyjął ten zabieg z kompletną apatią. Strasznie długo trwało, zanim udało mi się jako tako przepłukać strzykawkę przed władowaniem. - Tak jakoś nie bardzo mnie to podhajcowało. Wykańczał mnie sam ten strach przed kipnięciem. Chciałam umrzeć, ale przed każdym władowaniem opadał mnie cholerny strach przed śmiercią. Może to zresztą ten kot mi znowu uświadomił, co to właściwie znaczy umierać, jak się jeszcze nawet tak naprawdę nie żyło.

Sytuacja zrobiła się taka bardziej bez wyjścia. Od czasu, jak mama skapowała, że znowu ćpam, nie potrafiłyśmy już ze sobą rozsądnie pogadać. Ja się ciskałam, a ona ciągle patrzyła na mnie tymi pełnymi rozpaczyci oczami. Gliniarze mieli mnie już właściwie na widelcu. Ten protokół, który podpisałam u Schipke, w zupełności wystarczył na sprawę w sądzie dla nieletnich i gwarantowany wyrok. Czułam zresztą, że mama by się nawet cieszyła, jakby mnie już mogła mieć z głowy. W końcu wiedziała, że w żaden sposób nie może mi pomóc. Bez przerwy dzwoniła po jakichś urzędach i poradniach dla narkomanów i była coraz bardziej zrozpaczona, bo przekonała się, że nikt nie chce albo nie może pomóc ani jej, ani mnie. Ciągle tylko straszyla, że wyśle mnie do krewnych do Niemiec zachodnich.

Gdzieś tak w maju 1977 sama pojęłam jakoś tym swoim chorym mózgiem, że zostały mi jeszcze tylko dwie możliwości: albo możliwie szybko właduję sobie „złoty strzał”, albo podejmę poważną próbę wyjścia z nałogu. Wiedziałam, że jestem skazana tylko na siebie. Na Detlefa też już nie mogłam liczyć. Najważniejsze to nie uzależniać tej decyzji od niego.

Pojechałam do „Haus der Mitte” w Gropiusstadt, gdzie zaczęła się moja narkomańska kariera. Klub na razie zamknęli, bo nie mogli sobie dać rady z problemem heroiny. Zrobili tam za to poradnię dla narkomanów. Prawdziwą poradnię, tylko dla Gropiusstadt. Tyle się tam narobiło narkomanów przez te dwa lata, od kiedy hera po raz pierwszy pojawiła się w tej dzielnicy. Powiedzieli mi to, co już sama od dawna wiedziałam:, że jedyna szansa dla mnie, to jakaś normalna terapia. Dostałam adresy „Drogen-info” i Synanonu, bo u nich były najlepsze wyniki.

Normalnie miałam cykora przed taką terapią, bo ludzie opowiadali, że tam niesamowicie ciężko. Podobno przez pierwsze miesiące normalnie gorzej jak w więzieniu. W Synanonie trzeba się było nawet opitolić na łyso. Pewnie po to, żeby udowodnić, że się naprawdę chce zacząć nowe życie. Pomyślałam sobie, że nie ma mowy, żebym się miała ogolić na żarowe i łązić z łysą czachą jak Kojak. Jakoś tak włosy były dla mnie najważniejsze. Za nimi ukrywałam twarz. Myślałam sobie, że jak mi je obetną, to nic tylko się powiesić.

Ta babka w poradni sama mi zresztą powiedziała, że nie mam szans w „Drogen-info” ani w Synanonie, bo tak właściwie to u nich nie ma wolnych miejsc. Warunki przyjęcia też podobno cholernie ciężkie. Trzeba było być fizycznie zdrowym i najpierw udowodnić dobrowolną samodyscypliną, że się w ogóle ma jeszcze siłę rzucić nałóg. Powiedziała jeszcze, że jestem przecież młoda, nie mam nawet piętnastu lat, czyli prawie dziecko. Trudno by mi było spełnić te wymagania, i, że dla dzieci właściwie nie ma jeszcze specjalnego leczenia.

Powiedziałam, że ja to bym chciała do Narkononu. Narkonon to była taka placówka terapeutyczna prowadzona przez sektę Scientology Church. Wielu narkomanów, którzy tam kiedyś byli, opowiadało, że to nawet całkiem w porządku. Nikt nie stawiał tam żadnych warunków przyjęcia, wystarczyło z góry zapłacić. Można było łązić w narkomańskich łachach, zabrać ze sobą płyty, a nawet zwierzęta.

Facetka z poradni powiedziała, że powinnam się zastanowić, dlaczego tylu narkomanów opowiada, że terapia w Narkononie jest taka fajna, a przy okazji zwawo ćpają dalej, i, że ona nie zna ani jednego wypadku wyleczenia po terapii w Narkononie.

Zapytałam, co w takim razie mam robić, jak nie ma szansy na miejsce gdzie indziej.

i powiedziała - Nie ma mowy, wykluczone - Potem odłożyła słuchawkę.

W pierwszej chwili poczułam się kompletnie załutwiona. Potem wróciła wściekłość. Powiedziałam sobie. Mogą mnie pocałować w dupę. Całe życie nikt się o mnie nie martwił, a teraz nagle zachciało im się robić ze mną, co im się podoba Idioci, którzy całe życie wszystko robią nie tak, jak trzeba. Świnie, pozwalają mi zdechnąć. Matka Kessi umiała zadbać, żeby jej córka nie wpadła w kompletne bagno. A moim pierdolonym starym nagle się wydaje, że najlepiej wie, co dla mnie dobre. Poprosiłam o dodatkowy seans i całkowicie się na nim skupiłam. Chciałam zostać w Narkononie, a potem może wstąpić na stałe do Scientology Church. W każdym razie nikomu nie uda się mnie stąd wyciągnąć. Nie mam zamiaru dać się wykończyć własnym rodzicom. Tak właśnie myślałam sobie wtedy, chora z nienawiści.

Trzy dni później znowu zjawił się ojciec Kazali mi przyjść do biura Ojciec był całkiem spokojny. Powiedział, że muszę z nim pójść do Opieki Społecznej w sprawie pieniędzy, które mama zapłaciła za Narkonon, a które opieka miała jej zwrocie.

Powiedziałam - Nie, nie pójdę Tato, przecież cię znam Jak z tobą pójdę, to Narkononu już na oczy nie zobaczę A ja nie chcę umrzeć.

Ojciec pokazał tym z Narkononu jakieś zaświadczenie Było tam napisane, że może mnie stąd zabrać. Mama go do tego upoważniła Szef Narkononu powiedział, że nic się nie da zrobić i, że muszę iść z ojcem. Nie mogą mnie zatrzymać wbrew jego woli.

Szef powiedział jeszcze, żebym nie zapomiała o ćwiczeniach. Bez przerwy konfrontować. Konfrontować to było takie ich magiczne słowo. Wszystko należało konfrontować. Pomyślałam sobie Jesteście idioci Ja już nie mam co konfrontować. Została mi tylko śmierć. Przecież nie wytrzymam. Najdalej za dwa tygodnie znowu sobie właduję. Nie wydolę. Sama nigdy nie dam rady. Był to jeden z tych niewielu momentów, kiedy dosyć jasno rozumiałam całe swoje położenie. Z tej rozpaczycy udało mi się wmówić samej sobie, że Narkonon to była moja ostatnia deska ratunku. Z wściekłości i rozpaczycy rozryczałam się Kompletnie nie mogłam się pozbierać.

MATKA CHRISTIANE

Absolutnie nie uważałam tego za najszcześniejsze rozwiązanie, żeby mój były mąż po tym niepowodzeniu z Narkononem wziął Christiane do siebie, żeby, jak powiedział, w końcu nauczyć ją rozumu Pomijając już to, że nie mógł jej pilnować przez całą dobę, to ze względu na stosunki panujące między nim a mną, w głębi duszy nie mogłam jakoś strawić, że mu zostawiam Christiane. Zwłaszcza, że na krótko przedtem wróciła do mnie jej siostra, bo ojciec

Ale tak jak zawsze, tak i w tym wypadku spostrzegłam się, jak już było za późno. Początkowo wydawało mi się, że Christiane jest w najlepszych rękach. Chciałam, żeby została tam jak najdłużej. Czyli potrzebowałam pieniędzy.

Obleciałam wszystkie możliwe urzędy. Żaden nie uważał się za kompetentny. W żadnym nie powiedziano mi prawdy o Narkononie. Czułam zniechęcenie i było mi nieprzyjemnie. Miałam wrażenie, że niepotrzebnie zabieram tym ludziom czas. Ktoś powiedział mi w końcu, że zanim w ogóle wystąpię o zwrot kosztów leczenia, muszę mieć oficjalne zaświadczenie od lekarza, że Christiane jest narkomanką. Myślałam, że to jakiś dowcip. Każdy, kto ma jakieś pojęcie o sprawie, widział po Christiane, co się z nią dzieje. Ale taka była urzędowa droga. Tyle, że kiedy po dwóch tygodniach udało mi się załatwić wizytę u lekarza, który miał uprawnienia do wydawania takich zaświadczeń, Christiane ponownie uciekła z Narkononu. Już trzeci raz.

Znowu wyplakiwałam oczy. Myślałam sobie: wszystko zacznie się od początku. A jednak za każdym razem miałam nadzieję, że może tym razem jej się uda. Wspólnie z moim przyjacielem zaczęliśmy jej szukać. Popołudniami przeczesywaliśmy park Hasanheide, wieczorami centrum i dyskoteki, a między jednym a drugim wszystkie dworce. Wszystkie miejsca, gdzie kręcą się narkomani. Co dzień i co noc od nowa. Zagląaliśmy nawet do szaletów w City. Zgłosiliśmy na policję jej zaginięcie. Stwierdzili, że mogą ją tylko umieścić na liście poszukiwanych. I, że niedługo pewnie sama się gdzieś pojawi.

Najchętniej bym się gdzieś zagrzebała. Bez przerwy ten strach. Strach, że ktoś zadzwoni i powie: Pani córka nie żyje. Byłam kłębkiem nerwów. Nie miałam już na nic ochoty, nic mnie nie obchodziło, musiałam się zmuszać do pracy. Ale z drugiej strony nie chciałam brać zwolnienia. Zaczęły się kłopoty z sercem. Z trudem poruszałam lewą ręką. W nocy zawsze mi cierpła. Bez przerwy coś mi się przewalało w żołądku. Bolały mnie nerki, głowa, myślałam, że mi pęknie. Wyglądałam jak cień.

Poszłam do lekarza. Dobił mnie do reszty. Wszystko na tle nerwowym, powiedział po zbadaniu i przepisał mi valium. Kiedy się przyznałam, dlaczego jestem taka roztrzęsiona, powiedział, że parę dni temu przyszła do niego taka właśnie młoda dziewczyna i zapytała, co ma robić, bo jest narkomanką. - I co pan jej odpowiedział? - zapytałam.

- Żeby się od razu powiesiła-lekarz na to. W tej sprawie nie można pomóc. Dokładnie tak powiedział.

Kiedy po tygodniu Christiane zgłosiła się z powrotem do Narkononu, nie potrafiłam się nawet szczerze ucieszyć. Zupełnie jakby coś we mnie umarło. Wydawało mi się, że zrobiłam już wszystko, co leży w ludzkiej mocy. i nic nie pomogło. Wręcz przeciwnie.

Tragedia robiła się coraz większa. Przez ten Narkonon Christiane zrobiła s/ę raczej gorsza niż lepsza. Całkiem się tam zmieniła. Pojawiło się w niej coś ordynarnego, odpychającego, straciła gdzieś swoją dziewczęcość.

Już w czasie pierwszych kilku odwiedzin w Narkononie byłam zaskoczona. Nagle Christiane zrobiła się dla mnie obca. Coś się skończyło. Dotychczas mimo wszystko była ze mną jakoś wewnętrznie związana, i nagle nic - pusto. Jak po praniu mózgu.

W tej sytuacji poprosiłam byłego męża, żeby zawiózł Christiane do Niemiec zachodnich. Ale on wolał ją zabrać do siebie. Twierdził, że już on sobie z nią poradzi. Jak nie zrozumie po dobroci, to nawet laniem.

Nie protestowałam. Nie widziałam już wyjścia. Tyle zrobiłam błędów, że nagle zaczęłam się bać, żeby ten wyjazd Christiane z Berlina nie okazał się ich dalszym ciągiem.

Zanim pojechaliliśmy do domu, ojciec zaciągnął mnie jeszcze do swojej ulubionej knajpy na dworcu metra przy Wutzkyallee. Nazywała się „Schluckspecht”. Chciał mi zamówić jakiś alkohol, ale wypłam tylko butelkę soku jabłkowego. Powiedział, że jeśli nie chcę umrzeć, to muszę teraz ostatecznie skończyć z narkotykami, a ja na to: - No właśnie, dlatego chciałam zostać w Narkononie.

Szafa bez przerwy grała jakiś głupawy przebój. Paru chłopaków stało przy automatach i stole bilardowym. Ojciec powiedział, że to wszystko są zupełnie normalni młodzi ludzie, i, że szybko znajdę tu nowych przyjaciół i sama dojdę do wniosku, jakie to było idiotyczne z mojej strony, że się narkotyzowałam.

Nawet nie chciało mi się tego słuchać. Byłam niesamowicie zła i wykończona, tak, że jedno, co chciałam, to być sama. Nienawidziłam całego świata i znowu zaczęło mi się wydawać, że Narkonon to były drzwi do raju, które ojciec właśnie przede mną zatrzasnął. Wzięłam Janie do siebie do łóżka i zapytałam: - Janie, czy znasz się na ludziach? - Odpowiedziałam za nią: - Właśnie, że wcale.-Janie szła do każdego merdając ogonem. Uważała, że wszyscy ludzie są dobrzy. Tego u niej nie lubiłam. Wolałabym, żeby na każdego najpierw warczała i była nieufna.

Kiedy się rano obudziłam, Janie nie zdążyła się jeszcze zsikać w pokoju i chciałam ją zaraz wyprowadzić. Ojciec już wyszedł do pracy. Chciałam otworzyć drzwi od mieszkania - zamknięte. Szarpnęłam za klamkę, z całej siły waliłam w nie ramieniem. Nie puściły. Zmusiłam się do zachowania spokoju, nie chciałam wybuchnąć. Myślałam sobie, że to niemożliwe, żeby ojciec mnie zamknął jak jakieś dzikie zwierzę. W końcu przecież wiedział, że jest też pies.

Latałam jak dzika po mieszkaniu i szukałam klucza. Myślałam, że gdzieś go przecież

musiał położyć. No bo niech tak wybuchnie pożar. Zajrzałam pod łóżko, sprawdziłam na karniszach, nawet w lodówce. Ani śladu klucza. Nie miałam czasu się wściekać, bo trzeba było coś zrobić z Janie, zanim zaświni dywanową wykładzinę. Zaprowadziłam ją w końcu na balkon i nawet zrozumiała, o co chodzi.

Potem rozejrzałam się trochę po mieszkaniu, w którym byłam zamknięta. Trochę się tu zmieniło. Sypialnia była pusta, bo mama wzięła łóżka ze sobą. W dużym pokoju stała nowa wersalka, na której spał teraz ojciec. Był nowy kolorowy telewizor. Zniknął fikus i ten bambusowy kij, którym ojciec często mnie grzmocił. Zamiast tego był jakiś inny kwiat.

W pokoju dziecinnym dalej stała stara szafa na ubrania, w której otwierało się tylko jedne drzwi, bo inaczej by się rozleciała. Łóżko też trzeszczało przy najmniejszym ruchu. Myślałam sobie: czyli co, on cię będzie zamykał, a ty masz się zmienić w normalną nastolatkę, kiedy tymczasem stary nawet nie potrafi jako tako urządzić mieszkania.

Potem poszłam z Janie na balkon. Janie oparła przednie łapy na balustradzie i patrzyła jednaście pięter w dół albo na ohydne bloki Gropiusstadt.

Musiałam z kimś pogadać i zadzwoniłam do Narkononu. Czekala mnie wielka niespodzianka. Zgłosiła się do nich Babsi. Czyli, że ona wtedy poważnie myślała o odwyku. Powiedziała, że dostała moje łóżko. Było mi niesamowicie smutno, że nie mogę być z Babsi w Narkononie. Gadałyśmy strasznie długo.

Jak wrócił ojciec, nawet się nie odezwałam. Za to on głądził, jak nakręcony. Zdążył zaplanować całe moje życie. Dostałam normalnie godzinowy plan na każdy dzień. Sprzątanie, zakupy, karmienie jego gołębi i czyszczenie gołębnika.

Ojciec miał gołębik pod miastem, w Rudow. Miał zamiar kontrolować mnie telefonicznie. Na czas wolny zorganizował dla mnie moją dawną koleżankę, Katarzynę, prawdziwego dzieciucha, który zachwyca się paradą przebojów w telewizji.

Stary obiecał mi też nagrodę. Miałam z nim pojechać do Tajlandii. Bo ostatnio co roku latał do Tajlandii. Miał kompletnego zajoba na punkcie tych wycieczek. Oczywiście przede wszystkim z powodu tamtejszych panienek, no a trochę w związku z tanioczą, jaka tam panuje. Oszczędzał na te wycieczki jak wariat. To był taki jego narkotyk.

Wysłuchałam sobie więc, co tam zaplanował, i pomyślałam, że na razie niech będzie, jak on chce. Zresztą, nic innego mi na razie nie zostało. Przynajmniej nie będzie mnie zamykał.

Następnego dnia zaczęło się od razu na całego. Wysprzątałam mieszkanie, zrobiłam zakupy. Akurat jak skończyłam, przyszła Katarzyna, żeby się ze mną przejść. Latałam z nią jak dzika, tak, że jak jej powiedziałam, że muszę jeszcze jechać do Rudow, żeby nakarmić

gołębie, to już jej się nie chciało ze mną ciągnąć.

Tym sposobem miałam wolne popołudnie. Byłam niesamowicie napalona, żeby coś zaćpać, bo cały czas męczył mnie parszywy nastrój. Nie wiedziałam dokładnie, co to ma być. Pomyślałam sobie, czyby nie wyskoczyć na godzinkę do Hasenheide. To taki park w dzielnicy Neukölln. Tam się paliło hasz. Miałam ochotę na jointa.

Ale nie miałam forsy. Wiedziałam, gdzie ją znaleźć. W takiej wielkiej butli po asbachu ojciec zbierał srebrne monety. Było tego ponad sto marek. Zapas na następną wyprawę do Tajlandii. Wytrząsnęłam z butli pięćdziesiąt marek. Na wszelki wypadek chciałam wziąć trochę więcej. To, co zostanie, mogę potem ewentualnie wrzucić z powrotem. Resztę dołożę, jak zaoszczędzę jakoś przy zakupach. Tak sobie myślałam.

W Hasenheide od razu nadziałam się na Pieta. Piet to ten chłopak z „Haus der Mitte”, z którym pierwszy raz w życiu paliłam hasz. Też już ćpał. Dlatego zapytałam, czy do Hasenheide też już doszła hera.

Zapytał: - Masz szmal?

Odpowiedziałam: - Mam.

On: - No to chodź. - Zaprowadził mnie do grupki kasztanów i kupiłam ćwiartkę. Zostało mi dziesięć marek. Poszliśmy do szaletu przy parku, Piet pożyczył mi swój sprzęt. Z niego też już zrobił się pazerny cwaniacha. Połowę towaru musiałam mu dać za strzykawkę. Oboje władowaliśmy po małej działeczce.

Było mi niesamowicie dobrze. Ludzie z Hasenheide byli najfajniejsi ze wszystkich. Nie tacy wycwanieni, jak ćpuny z Kurfürstendamm. Bo tutaj głównie paliło się hasz. Ale były już i ćpuny. Ci od haszu i prawdziwe ćpuny leżeli sobie zupełnie spokojnie jeden obok drugiego. Na Kudammie haszysz był uważany za narkotyk dla smarkaczy i ci, co go używali, to było dno. Żaden ćpun z Kudammu się z takimi nie zadawał.

W Hasenheide obojętne było, co się bierze. Można było nawet nic nie brać. Nie miało to znaczenia. Właściwie chodziło o to, żeby się fajnie czuć, a ćpali ci, którzy chcieli. Były grupki grających na fletach i bongosach. Pełno też było kasztanów. Wszyscy byli jakby jedną wielką, przyjacielską wspólnotą. Wszystko to kojarzyło mi się w nastroju z Woodstock, bo tam musiało być całkiem podobnie.

Do domu wróciłam punktualnie, zanim jeszcze ojciec o szóstej przyszedł z pracy. Nawet nie zauważył, że jestem nagrzana. Miałam trochę wyrzutów sumienia z powodu gołębi, które nie dostały nic do żarcia. Pomyślałam sobie, że na przyszłość nie będę już łądować heroiny, bo w Hasenheide zupełnie wystarczy mi trochę haszu i nikt nie będzie mi przez to robił sęków. Nie chciałam już wracać do tych fatalnych ćpunów z Kudammu.

i Arabowie byli bardzo dumni. Bardzo łatwo można ich było obrazić. Mnie zaakceptowali, bo zrobiłam na nich wrażenie bardzo pewnej siebie. Mianowicie bardzo szybko wpadłam na to, jak z nimi trzeba. Na przykład nie wolno o nic prosić. Gościnność była dla nich ciągle jeszcze czymś bardzo ważnym. Jak człowiek czegoś chciał, to mógł sobie to po prostu wziąć. Obojętne, czy to były pestki słonecznika czy herę. Ale nie wolno było dać im odczuć, że się nadużywa ich gościnności. Na przykład nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby ich zapytać, czy mogę wziąć trochę hery do domu. To, co brałam, używałam od razu. Dlatego całkowicie mnie zaakceptowali, chociaż tak w ogóle nie mają za dobrego zdania o niemieckich dziewczynach. Doszłam do wniosku, że w paru rzeczach kasztany mają jednak przewagę nad Niemcami.

Wszystko było więc wspaniale i bombowe i nigdy by mi nie przyszło do głowy, że jestem jeszcze ćpunką, aż do momentu, kiedy zauważyłam, że znowu jestem uzależniona.

Wieczorami odgrywałam przed ojcem nawróconą córkę. Często chodziłam z nim do knajpy „Schluckspecht” i, żeby mu było miło, wypijałam czasem małe piwo. Nienawidziłam złośliwego towarzysza z tej knajpy. Z drugiej strony wciągnęłam się w to podwójne życie. Chciałam, żeby i oni mnie zaakceptowali. swoim późniejszym życiu, gdzie nie miało już być narkotyków, też chciałam się jakoś przebić.

Ćwiczyłam się na automatach i jak wściekła trenowałam grę w bilard. Skata też się chciałam nauczyć. Chciałam znać wszystkie męskie gry. Lepiej niż oni.

Jeżeli już mam żyć wśród takich ludzi, jak ci z knajpy, to i tu chciałam coś znaczyć. Nie tak, żeby każdy mógł mi dołożyć. Chciałam być najlepsza. Chciałam czuć się dumna. Tak jak ci Arabowie. Nigdy nikogo nie prosić. Nigdy nie czuć się gorsza.

Ale ze skata kompletnie nic nie wyszło. Miałam już inne zmartwienia, jak poczułam pierwszy lekki głód. Musiałam teraz koniecznie każdego popołudnia być w Hasenheide, no i musiałam mieć czas, bo nie mogłam iść do Mustafy po herę i od razu spadać. Musiałam mu pomagać w handlu i bez pośpiechu żuć pestki słonecznika, chociaż ojcowe gołębie już trzeci dzień nic nie dostały do żarcia. Każdego popołudnia musiałam jakoś pozbyć się Katarzyny, mojej opiekunki, potem sprzątanie, zakupy, w czasie kiedy ojciec zwykle dzwonił, musiałam być pod telefonem i wciąż wymyślać różne historyjki, kiedy mnie przyłapał, że nie byłam w domu. Znowu diabli wzięli dobry nastrój.

Potem przyszło to popołudnie w Hasenheide, kiedy nagle ktoś z tyłu zasłonił mi oczy. Odwróciłam się. Przedemną stał Detlef. Padliśmy sobie w objęcia, a Janie skakała na nas z radości. Detlef bardzo dobrze wyglądał. Powiedział, że jest czysty. Popatrzyłam mu w oczy i powiedziałam: - Tak, bardzo. Żrenice masz jak łebki od szpilek. - Ale faktycznie Detlef zrobił

w Paryżu odwyk, przyjechał właśnie niedawno na dworzec Zoo i władował sobie działkę.

Poszliśmy do mnie do domu. Mieliśmy jeszcze czas do przyjścia ojca. Moje łóżko autentycznie za bardzo się kiwało. Położyłam kołdrę na podłodze i kochaliśmy się na niej cali szczęśliwi. Potem rozmawialiśmy o odwyku. Chcieliśmy zacząć zaraz od przyszłego tygodnia. No bo oczywiście nie od razu. Detlef opowiedział mi, jak to z kumplem wyrolowali klienta, żeby mieć forszę na odwyk w Paryżu. Zwyczajnie zamknęli go w kuchni, zupełnie spokojnie zabrali mu książeczkę czekową na Europę i czekci sprzedali u pasera za 1000 marek. Bernd już wpadł. Detlef uważał, że gliny do niego nie dotrą, bo klient nie znał jego nazwiska.

Spotykaliśmy się teraz codziennie w Hasenheide, najczęściej szliśmy potem do mnie do domu i niewiele już rozmawialiśmy o odwyku, bo było nam ze sobą po prostu dobrze. Tyle, że coraz trudniej było mi to wszystko jakoś zgrać. Ojciec zaostrzył kontrole i absorbował mnie coraz to nowymi zadaniami. U Arabów musiałam mieć czas, żeby urwać też działkę dla Detlefa. Dla Detlefa chciałam mieć bardzo dużo czasu. Cały stres zaczął się od nowa.

Niedługo potem nie widziałam już innego wyjścia, jak koło południa wyskoczyć na dworzec Zoo i obsłużyć jakiegoś klienta. Jeszcze ukrywałam to przed Detlefem. Ale coraz mniej zostawało z dobrego nastroju, bo znowu zaczynała się szarzyzna powszedniego dnia narkomanki. Tych odświętnych dni, które miało się po odwyku - bez strachu przed głodem, a co za tym idzie bez przymusu, żeby zawsze mieć działkę na następny dzień - tych dni po każdym odwyku było mniej.

Gdzieś tak w tydzień po powrocie Detlefa zjawił się w Hasenheide Rolf, ten pedzio, u którego Detlef mieszkał. Wyglądał na podłamanego i powiedział tylko: - Detlef wpadł. - Podobno zgarnęli go w jakiejś obławie i od razu związali w tej sprawie z euroczekami. Paser go przypuconował.

Poszłam do szaletu przy Hermannplatz, zamknęłam się w kabinie i zaczęłam ryczeć. Znowu nici z naszej wspaniałej przyszłości. Znowu wszystko było kompletnie rzeczywiste, czyli kompletnie beznadziejne. Potem został już tylko strach przed głodem. Nie było mowy, żebym w takim stanie potrafiła spokojnie przysiąc się do Arabów, żuć pestki słonecznika i czekać, aż uzbiera się dla mnie na niucha. Pojechałam na dworzec Zoo. Siadłam na gzymsie pod gablotami z reklamą linii kolejowych i czekałam na klientów. Ale na dworcu kompletnie nic się nie działo, bo akurat w telewizji transmitowali jakiś supermeczek piłkarski. Nawet kasztanów ani śladu.

Potem przyłazł jeden facet, którego znałam. Heinz, dawny stały klient Stelli i Babsi. Taki jeden, co zawsze płacił herą, dawał do tego strzykawki, ale za to chciał tylko dymać. Od

kiedy wiedziałam, że Detlefa zapakowali do pudła i to pewnie na długo, było mi i tak wszystko jedno. Podeszłam do tego Heinza, on mnie nie poznał, i mówię: - Jestem Christiane, kumpelka Stelli i Babsi. - Wtedy mnie skojarzył i od razu zapytał, czy z nim pójde. zaproponował mi dwa razy po ćwierć. Bo zawsze płacił w naturze i to było w nim najprzyjemniejsze. Dwa razy po ćwierć to wcale nie tak źle, po przeliczeniu było nie było 80 marek. Wytargowałam jeszcze dodatkowo forszę na papierosy, colę i co tam jeszcze, no i pojechaliśmy.

Najpierw Heinz kupił towar na „rynku” przy Lehminer Platz, bo skończyły mu się zapasy. Okropnie śmieszne było patrzeć, jak fen typowy urzędas, podobny trochę do byłego ministra obrony, Lebera, przemyka między ćpunami. Ale znał się na rzeczy. Miał swoją stałą dostawczynię, która zawsze sprzedawała mu bezbłędny towar.

Miałam straszną chłicę, głód zaczął się na dobre, i najchętniej bym sobie władowała od razu w wozie. Ale Heinz nie chciał mi wydać działki.

Najpierw musiałam obejrzeć jego sklep papierniczy. Otworzył jakąś szufladę i wyjął zdjęcia. Sam robił. Beznadziejnie świńskie porno. W sumie chyba ze dwanaście dziewczyn. Raz były całe, na waleta, raz znowu tylko wykadrowane podbrzusze. Pomyślałam tylko: Ty biedny stary ćwoku. Pomyślałam też od razu o ginekologu. Ale przede wszystkim o towarze, który ten świrnięty pacan ciągle miał w kieszeni. Paru zdjęciom zaczęłam się dokładniej przyglądać dopiero wtedy, jak rozpoznałam Stellę i Babsi w akcji z Heinzem.

Powiedziałam: - Bezbłędne fotki. No, ale nie ma na co czekać. Naprawdę muszę sobie władować. - Poszliśmy na górę do jego mieszkania. Dał mi ćwierć grama, przyniósł też łyżkę, żebym mogła zagotować. Usprawiedliwiał się, że nie ma już małych łyżeczek, ale widać wszystkie musiały mu podprowadzić poprzednie dziewczyny. Wtrynęłam sobie całe ćwierć, a Heinz przyniósł mi jeszcze butelkę ciemnego piwa. Potem na piętnaście minut zostawił mnie w spokoju. Miał wystarczające doświadczenie z ćpunkami, żeby wiedzieć, że po władowaniu człowiek potrzebuje kwadransik spokoju.

Jego mieszkanie nie wyglądało na mieszkanie człowieka interesu. Babsi i Stella zawsze mówiły, że on robi jakieś interesy. W starej szafie w pokoju wisiały krawaty, wszędzie stały kiczowate duperale z porcelany, jakieś puste butelki po włoskich winach oplatane słomą. Firanki były aż żółte z brudu i zaciągnięte, żeby nikt nie mógł zajrzeć do tego zapuszczonego mieszkania. Pod ścianą stały zsunięte dwie stare kanapy, na których w końcu się rozłożyliśmy. Żadnej pościeli, tylko stary koc w kratę, z frędzlami.

Heinz nie był nawet nieprzyjemny, tylko potrafił okropnie marudzić. Normalnie tak długo mi marudził, że w końcu dałam mu się przerznąć, żeby tylko mieć spokój i pójść już do

domu. Do tego jeszcze koniecznie chciał, żebym też coś odczuwała, więc musiałam udawać, no bo w końcu nieźle zapłacił.

Po Stelli i Babsi ja zostałam teraz stałą dziewczyną Heinza. Uważałam to przede wszystkim za praktyczne, bo oszczędzał mi mnóstwo czasu. Nie musiałam godzinami przesiadywać u Arabów dla głupiego niucha, nie musiałam już sterczeć na dworcu Zoo i czekać na klientów, nawet nie musiałam jeździć za towarem. Tak, że nawet całkiem nieźle radziłam sobie przez ten czas ze sprzątaniami, gołębiami i całą resztą.

Prawie każdego popołudnia jeździłam do Heinza i właściwie nawet już nic przeciwko niemu nie miałam. Na swój sposób mnie chyba kochał. Ciągłe mi powtarzał, że mnie kocha, i ja też musiałam mu to mówić. Był niesamowicie zazdrosny. Ciągłe się obawiał, że dalej chodzę na dworzec, i jakoś tak był miły.

W końcu był to jedyny człowiek, przed którym mogłam się do woli wygadać. Detlef w pudle. Bernd w pudle. Babsi w Narkononie. A Stella w ogóle jakby się zapadła pod ziemię. Mama nie chce mnie znać, myślałam sobie. A ojca musiałam bez przerwy okłamywać. Każde zdanie, jakie do niego mówiłam, to było jakieś kłamstwo. Tylko z Heinzem mogłam prawie o wszystkim pogadać, nie musiałam mieć przed nim tajemnic. Właściwie tak na dobrą sprawę, to jedyną rzeczą, o której nie mogłam z nim szczerze rozmawiać, był mój stosunek do niego.

Czasami, kiedy Heinz brał mnie w objęcia, było mi naprawdę dobrze. Miałam uczucie, że się ze mną liczy i, że coś dla niego znaczę. Kto inny się ze mną liczył? Kiedy nie leżeliśmy na tej zdezelowanej kanapie, czułam się raczej jak córka Heinza, a nie jak kochanka. Z tym, że on strasznie umiał marudzić, i z czasem robiło się coraz gorzej. Chciał, żebym bez przerwy z nim była. Musiałam mu pomagać w sklepie i pokazywać się jego tak zwanym przyjaciółom. Bo prawdziwego przyjaciela nie miał.

Przez to, że tyle czasu spędzałam z Heinzem, strasznie musiałam się gimnastykować, bo ojciec robił się coraz bardziej podejrzliwy.

Bez przerwy węszył w moich szpargałach. Musiałam piekielnie uważać, żeby nie przytargać do domu czegoś podejrzanego. Wszystkie adresy i numery telefonów, związane w jakiś sposób z moją rolą narkomanki i prostytutki, musiałam szyfrować. Przykładowo, Heinz mieszkał przy Leśnej. No to malowałam w notesie parę drzew. Numer domu i telefonu były zaszyfrowane jako zadanie matematyczne. Na przykład numer telefonu 3954773 był zapisany tak: 3,95 marki plus 47 fenigów plus 73 fenigi. Wszystko w dodatku ładnie wyliczone. Czyli przy okazji normalnie odrabiałam rachunki.

Któregoś dnia Heinz wyjaśnił tajemnicę zniknięcia Stelli. Siedziała w pudle. Nic o tym nie słyszałam, bo nie miałam już ani czasu, ani powodu, żeby kręcić się między ludźmi,

którzy mogli coś o tym wiedzieć. Heinz był dość zaszokowany tą wiadomością. Nie z powodu Stelli. Nagle zaczął się obawiać najścia glin. Bał się, że Stella go przypuści. Przy okazji dowiedziałam się, że od dosyć dawna toczy się przeciwko niemu śledztwo. Uwodzenie nieletnich i coś jeszcze w tym stylu. Dotychczas miał to głęboko w nosie, chociaż już kiedyś dostał jakiś wyrok. Twierdził, że ma najlepszego adwokata w Berlinie. Ale tym, że Stella mogła powiedzieć, że płacił dziewczynom w herze, trochę się jednak przejął.

Ja też byłam zaszokowana Z tym, że i ja nie przejmowałam się za bardzo biedną Stella, tylko chodziło o mnie samą. Skoro zapuszkowali Stellę, która miała czternaście lat, to przy najbliższej okazji przyjdzie kolej na mnie. A siedzenie w pudle wcale mi się nie uśmiechało.

Zadzwoiłam do Narkononu, żeby podzielić się nowiną z Babsi. Prawie co dzień rozmawiałam z nią przez telefon. Jak dotąd, leczenie w Narkononie bardzo jej się podobało. Z tym, że też już dwa razy stamtąd przyskała, żeby sobie coś drobnego włądować. Kiedy zadzwoniłam teraz do Narkononu, to mi powiedzieli, że Babsi jest w szpitalu w Westend. Żółtaczka

Z Babsi było tak jakoś podobnie jak ze mną. Ledwie się człowiek zabrał poważnie za odwyk, a tu żółtaczka. Babsi też już iks razy próbowała odwyku. Ostatnim razem pojechała nawet z takim jednym z poradni dla narkomanów aż do Tybingi, żeby tam zacząć leczenie. W ostatniej chwili się spietrała, bo mówili, że tam podobno jest cholernie ostro. Fizycznie Babsi była równie wykończona jak ja. Zawsze bardzo dokładnie obserwowałyśmy się nawzajem. Każda z nas mogła dosyć dokładnie zorientować się na przykładzie drugiej, jak bardzo sama już sparszywiła. Bo z nami zawsze działało się bardzo podobnie.

Następnego dnia zaraz przed południem pojechałam odwiedzić Babsi w szpitalu w Westendzie. Razem z Janie podjechałyśmy do Heussplatz, a potem szłyśmy piechotą przez Westend. To zupełnie obłądna okolica. Bombowe wille i od metra drzew. Nigdy bym nie pomyślała, że w Berlinie jest coś takiego. Zdałam sobie sprawę, że w ogóle nie znam Berlina. Wszystko, co w swoim życiu widziałam, to Gropiusstadt i okolice, niewielkie osiedle w dzielnicy Kreuzberg, gdzie mieszkała mama, no i te cztery miejsca, gdzie kręcą się narkomani. Lało jak z cebra. Obie z Janie byłyśmy przemoczone do ostatka. Ale obie byłyśmy szczęśliwe. Cieszyłyśmy się tą wielką ilością drzew, a ja, że zobaczę Babsi.

W szpitalu od razu problem, o którym nawet nie pomyślałam. Oczywiście Janie nie może wejść ze mną. Ale jeden z portierów był całkiem okay. Wziął Janie na ten czas do swojej dyżurki. Dopytałam się jakoś, gdzie leżą chorzy, i zaczęłam pierwszego lepszego lekarza, gdzie znaleźć Babsi. On na to: - Sami bardzo byśmy chcieli wiedzieć. - Powiedział,

że Babsi uciekła już wczoraj. Dodał też, że jak znowu zacznie coś kombinować z narkotykami, to może się to źle skończyć, bo żółtaczką jeszcze nie wyleczona i wątroba nie za dobrze funkcjonuje.

Poszłam z Janie z powrotem do kolejki podziemnej. Pomyślałam sobie, że Babsi ma wątrobę rozwaloną nie gorzej od mojej, i, że u nas wszystko dzieje się jakby równolegle. Tęskniłam za Babsi. Zapomniałam o wszystkich kłótniach. Wydawało mi się, że obie się teraz potrzebujemy. Pozwoliłabym się jej wygadać. Miałam zamiar namówić ją, żeby wróciła do szpitala. Ale potem znowu zaczęłam patrzeć trzeźwo na sprawy. Wiedziałam, że i tak by się nie zgodziła wrócić, jeśli już znowu dwa dni jest na trasie i ćpa. Przecież znałam siebie. Ja też bym nie wróciła. Babsi i ja byłyśmy do siebie cholernie podobne. Zresztą, nawet nie wiedziałam, gdzie jej szukać. Pewnie pałętała się gdzieś po ulicy, siedziała gdzieś z jakimiś ćpunami albo u stałego klienta. Nie miałam czasu, żeby jej wszędzie szukać, bo ojciec kontrolował mnie przez telefon, czy siedzę w domu. Postąpiłam według starej narkomańskiej zasady moralnej: jedyną bliską osobą dla ćpuna jest on sam. Pojechałam do domu. Kompletnie nie miałam ochoty jechać jej szukać, bo zostało mi jeszcze trochę towaru od Heinza.

Następnego dnia rano zeszłam na dół po gazetę. Codziennie kupowałam Berliner Zeitung. Właściwie od dnia, kiedy mama przestała mi podrzucać wieczorem wycinki o śmiertelnych ofiarach heroiny w Berlinie. Podświadomie zawsze najpierw szukałam, czy nie ma wzmianki o kolejnej ofierze. Były coraz bardziej lakoniczne, bo ofiar było coraz więcej.

Tego dnia rano smarowałam sobie chleb marmoladą i przerzucałam gazetę. Znalazłam na samym początku. Wielki nagłówek: Miała zaledwie czternaście lat. Od razu wiedziałam, kto. Nawet nie musiałam dalej czytać. Babsi. Jakoś tak to przeczuwałam. Właściwie nie byłam zdolna do żadnej emocji. Byłam kompletnie martwa. Czułam się tak, jakby pisali o mojej własnej śmierci.

Poszłam do łazienki i władowałam działkę. Dopiero potem mogłam trochę popłakać. Nie wiedziałam, czy płaczę nad Babsi czy nad sobą. Wypaliłam w łóżku papierosa i dopiero wtedy byłam w stanie przeczytać, co tam pisali w gazecie: Jednorazowa strzykawka z mlecznobiałego plastiku tkwiła jeszcze w lewym przedramieniu dziewczynki: uczennica szkoły podstawowej Babette D. (lat 14) z dzielnicy Schöneberg była martwa. Tę najmłodszą, jak dotąd, ofiarę narkotyków znalazł jeden z jej znajomych w mieszkaniu przy Brotteroder Strasse. Nadjy R. (lat 30) oświadczył funkcjonariuszom policji kryminalnej, że poznał tę dziewczynę w dyskotecce „Sound” przy Genthiner Strasse. Ponieważ nie miała gdzie zanocować, przyjął ją do swojego mieszkania. Babette jest 46 tegoroczną ofiarą narkotyków

w Berlinie, i tak dalej. Dostyc drastyczne opisy. Wszystko tak proste i jasne, jak to zwykle w gazetach, które nie mają zielonego pojęcia o środowisku narkomanów. Nawet w wielkich pismach ilustrowanych wypisywali wtedy różne bzdury o Babsi, bo była najmłodszą ofiarą narkotyków w całych Niemczech.

Gdzieś tak koło południa przyszedłam trochę do siebie i czułam już tylko wariacką wściekłość. Byłam przekonana, że jakiś skurwiel dostawca wcisnął Babsi lewy towar, może nawet ze strychniną. Taka hera pomieszana ze strychniną coraz częściej pojawiała się na rynku. Wsiadłam w metro i pojechałam na policję. Bez pukania wparowałam do pokoju tej Schipke. Zaczęłam sypać. Powiedziałam wszystko, co mi było wiadomo o dostawcach oszustach i o alfonsach, którzy motali coś z herą i o „Soundzie”. Wyglądało na to, że większość z tych rzeczy wcale jej nie interesuje. A na koniec znowu mi powiedziała: - No, to do następnego spotkania, Christiane.

Pomyślałam sobie, że glinom „kompletnie zwisa, że ktoś sprzedaje skażony towar. Byli zadowoleni, jak mogli odfajkować w aktach kolejnego ćpuna. Przysięgłam sobie, że sama znajdę mordercę Babsi.

Ten facet, u którego znaleźli Babsi, nie wchodził w rachubę. Był względnie w porządku. Znałam go nawet dość dobrze. Taki jelen z niesamowitym szmałem. Poza tym bardzo zabawny. Lubił otaczać się młodymi dziewczynami. Woził mnie nawet po mieście swoim sportowym wozem, zaprosił kiedyś do lokalu, dał forszę. Ale chędożyć chciał tylko taką, która sama autentycznie ma na to ochotę. Więc jeśli o mnie chodzi, to mógł czekać do usranej śmierci. Był wprawdzie biznesmenem, ale nie docierało do niego, że puszczanie się to też jest biznes.

Poszłam na Kurfürstenstrasse, żeby u tych z samochodów zarobić tyle forsy, żeby móc sprawdzić towar od wszystkich możliwych skurwieli, którzy wciskają lewą herę. Potem połąziłam między ludźmi, kupiłam towar od paru łebków i w końcu byłam już kompletnie nagrzana. Nikt nie miał pojęcia, od kogo Babsi upiła ostatnią działkę. Albo może wszyscy woleli nie wiedzieć. Udawałam przed sobą, że poluję na mordercę Babsi nawet wtedy, kiedy w rzeczywistości chodziło już tylko o to, żeby się naćpać bez wyrzutów sumienia. Bo mogłam sobie powiedzieć, „Musisz znaleźć tego skurwiela, nawet, żebyś sama miała przy tym oberwać. Nawet nie czułam strachu, jak sobie ładowałam, ile wlezie.

BERNO GEORG THAMM

Kierownik poradni psychospołecznej przy organizacji Caritas w Berlinie Zachodnim

HORSTBRÓMER

Psycholog, pracownik poradni dla narkomanów przy Caritasie

Według naszych ocen udział procentowy dwunasto - i szesnastolatków w ogólnej liczbie osób uzależnionych od narkotyków w Republice Federalnej Niemiec i w Berlinie Zachodnim wzrósł w ciągu ostatnich trzech lat od zero do dwudziestu procent. Christiane jest zatem typową reprezentantką grupy wiekowej, będącej nowym celem handlarzy heroiną, podobnie jak i jej koleżanka Babsi, która w roku 1977 zgłosiła się do naszej poradni i w dwa miesiące później zmarła wskutek przedawkowania. Nie mogliśmy pomóc tej czternastoletniej dziewczynce. W tym samym mniej więcej czasie zwróciła się do nas również Stella i inni narkomani z najbliższego otoczenia Christiane. Łącząc w sobie uderzająco duży potencjał agresji z jednej strony i dziecinną potrzebę opiekun czego nadzoru, życzliwości i ciepła z drugiej, wszyscy oni wykazują cechy typowe dla tej nowej generacji młodocianych narkomanów.

Czternastoletnią Babsi przyprowadzili do naszej poradni jej prawni opiekunowie w maju 1977. Zachowywała się jak mała, smutna dziewczynka, trzymająca się jeszcze matczynej spódnicy. W rzeczywistości miała już za sobą, wszystkie wzloty i upadki dwuletniej kariery narkomanki.

Można powiedzieć, że właściwie każdy narkoman pragnie uwolnić się od przymusów narzuconych przez nałóg - od prostytucji, przestępczości, a także nieuchronnego wyniszczenia organizmu. Starszy narkoman, który uzależnił się dopiero mając siedemnaście, osiemnaście czy dziewiętnaście lat, po wielokrotnych nieudanych próbach samodzielnego zerwania z nałogiem zwraca się o pomoc do wyspecjalizowanych instytucji. Wszystkie ich służby - poradnictwo, zabiegi, leczenie - są jak dotąd skrojone na miarę tego mniej lub bardziej dorosłego narkomana. Zasadniczą ideą jest tutaj pomoc w uaktywnieniu woli wyleczenia się na bazie absolutnej dobrowolności.

Na pięćdziesiąt tysięcy narkomanów w Niemczech mamy około stu osiemdziesięciu miejsc w państwowych i miejskich ośrodkach terapeutycznych w rodzaju klinik, komun mieszkalnych i temu podobnych oraz tysiąc sto miejsc w podobnego typu ośrodkach prywatnych. W ośrodkach tych byli narkomani żyją według nader surowego programu. Nie mamy sprawdzonych danych co do skuteczności leczenia. Co najmniej osiemdziesiąt procent zgłaszających się na leczenie wraca jednak, do nałogu, między innymi dlatego, że po kuracji odwykowej wchodzi w te same warunki, które doprowadziły ich do niego poprzednio.

Gwałtownie powielająca się grupa dwunasto - i szesnastoletnich narkomanów nie ma

w ogóle szans rehabilitacji. Dzieci te pod naciskiem opiekunów, Urzędu do Spraw Nieletni czy innych instytucji trafiają wprawdzie do poradni, ale całkowicie odrzucają surowe przepisy istniejących ośrodków terapeutycznych, nie spełniając tym samym podstawowego warunku przyjęcia, mianowicie zasady dobrowolności.

W swoim środowisku nogą się teraz nasłuchać mrozących krew w żyłach opowieści o ośrodkach terapeutycznych od narkomanów, którzy wrócili do nałogu. Babsi również była zdecydowanie nieufna wobec naszej poradni i nieufność ta została jej do końca mimo naszych z nią tutaj rozmów. Wciąż się bała, że gdzieś ją wbrew jej woli wsadzimy. Istotnie, każdemu narkomanowi bardzo trudno jest podjąć decyzję o pójściu na leczenie. Cierpi on wprawdzie z powodu swego nałogu i wszelkich związanych z nim uciążliwości, ale już się do tego cierpienia przyzwyczał. Ale takiej, powiedzmy, terapeutycznej komunie nie dość, że zrywa ze znanym sobie otoczeniem i znajomymi ludźmi, to jeszcze musi się pogodzić, że inni będą mu mówić, co mu wolno, a czego nie, z ingerencją w zakres jego osobistej wolności włącznie. Aby zmanifestować symbolicznie zerwanie ze środowiskiem, narkomanów, delikwent musi obciąć na krótko włosy, zrezygnować z typowego dla swego środowiska stroju i ze słuchania „awangardowej” muzyki, którą dotychczas uznawał.

Dla czternastolatka jednak uczesanie, moda i muzyka mają nieporównanie wyższą wartość niż dla, powiedzmy, dwudziestolatka. Być może całe dwa lata walczył z rodzicami o długie włosy, obcisłe dzinsy, o płyty. A teraz nagle wszystkie te atrybuty, którym zdobył sobie uznanie wśród kolegów w grupie, ma poświęcić jako formę karty wstępu na kurację, która i bez tego wydaje mu się czymś strasznym. Naszym zdaniem są to za wysokie wymagania dla tych dzieci.

Sfera emocjonalna u tych małych narkomanów nie jest jeszcze ukształtowana. Oscylują oni pomiędzy dziecięcymi marzeniami o bezpiecznym świecie a działaniem dorosłych w warunkach ostrej konkurencji. Wewnętrzne rozdarcie człowieka, występujące w kresie dojrzewania, zniwelowane zostaje przez psychiczną i fizyczną zależność od narkotyku. Ci tak młodzi narkomani nie doświadczają stopniowego rozluźnienia więzów z domem rodzinnym i powolnego dorastania do samodzielności; jedyne, czego się uczą w tej krytycznej fazie rozwoju, to ciągła ucieczka od rzeczywistości.

Pomimo ciężkich warunków życia, z którymi przychodzi się tym dwunasto- szesnastolatkom borykać w środowisku narkomanów, i pomimo przyswojonych sobie technik postępowania, nadal pozostają oni emocjonalnie na poziomie rozwoju dziecka, reagując agresją i nieposłuszeństwem, kiedy przychodzi im się podporządkować istniejącym, a nie dostosowanym do ich wieku formom terapii.

Również Babsi nie chciała podporządkować się wszystkim wymaganiom długotrwałej kuracji, mimo iż w toku wielogodzinnych rozmów staraliśmy się ją przygotować do tego kroku. Po odtruciu, przeprowadzonym w jednej z berlińskich klinik chorób nerwowych, zawieźliśmy Babsi do ośrodka terapeutycznego dla narkomanów w Tybindze, jedynej placówki, która w drodze wyjątku przyjmuje czasem pacjentów tej grupy wiekowej. Jedyne, co możemy, to kierować na leczenie - o przyjęciu decyduje na miejscu sam ośrodek. W drodze do Tybingi Babsi sprawiała wrażenie radośnie podekscytowanej i zaciekawionej. Przez cały czas rozmawialiśmy dosłownie o wszystkim. Odtrucie przeszła z pogodą ducha i z pełną świadomością jego wagi. Dopiero gdy dojeżdżaliśmy do Tybingi, stała się niespokojna i zdenerwowana.

Po przybyciu przywitał ją jeden z byłych narkomanów i zaprowadził do poczekalni dla nowych kandydatów. Jednakże zanim jeszcze doszło do rozmowy kwalifikacyjnej, Babsi chciała już wracać do Berlina. Zobaczyła, jakie przyjdzie jej ponieść konsekwencje: bagaż, odzież i ją samą zrewidowano w poszukiwaniu narkotyków. Ponadto miała pozwolić obciąć sobie swoje długie włosy. Kiedy zobaczyła-zbliżającego się z nożyczkami fryzjera, powiedziała nie. Jedna z pań z tego ośrodka próbowała przeprowadzić z nią jeszcze raz gruntowną rozmowę, ale nie zdołała zmienić jej decyzji. Nie było sensu zatrzymywać jej w ośrodku wbrew jej woli, ponieważ mogłaby odmówić uczestnictwa w terapii, stanowiąc zagrożenie dla innych, którzy chcieli się leczyć. Poza tym wykorzystałaby pewnie pierwszą lepszą okazję, aby stamtąd uciec.

Babsi zmarła w czterdzieści cztery dni później po przedawkowaniu heroiny i została najmłodszą ofiarą tego narkotyku spośród osiemdziesięciu czterech oficjalnie stwierdzonych w Berlinie w roku 1977.

Śmierć Babsi jeszcze dobitniej unaoczniała pilną konieczność takiego rozszerzenia czy zmodyfikowania istniejących struktur opieki przeznaczonych dla starszych narkomanów, aby mogły objąć także dwunasto - i szesnastolatki, jeśli zaś byłoby to niemożliwe - stworzenia odrębnych.

Nie chodzi tu o dramatyzowanie całej sprawy, ale z powodu tych dzieci praca z narkomanami w Niemczech znajduje się obecnie na rozdrożu. Jeśli wszystko zostanie po staremu, ta grupa wiekowa dalej będzie przechodzić przez wszystkie oka sieci. Należy wypracować koncepcję leczenia, która uwzględniałaby specyfikę problemu i ograniczała zasadę dobrowolności. Jeśli nam się to nie uda, już wkrótce, tak jak w USA, śmiertelne ofiary narkomanii wśród dzieci w wieku szkolnym przestaną być u nas wyjątkiem.

Jedno jest pewne: same poradnie dla narkomanów i ośrodki terapeutyczne nie

rozwiążą problemu narkomanii, tak jak nie rozwiąże go policja. Nie sposób też zawęzić go do indywidualnego procesu patologicznego u poszczególnych jednostek, traktując go jak chorobę zakaźną duszy lub duchowe pęknięcie, które wystarczy tylko wziąć w łupki i porządnie zagipsować.

Nawet najlepsza terapia nie zdziała cudu i tak naprawdę pomoc może jedynie nielicznym spośród młodych narkomanów.

Liczmy się z dalszym drastycznym obniżeniem przeciętnej wieku środowiska narkomanów, które już teraz niebezpiecznie rozlewa się po szkołach, dyskotekach i klubach młodzieżowych. Obecnie narkomania zagrożony jest już nie tylko drobny procent młodzieży w wieku dwunastu-osiemnastu lat. Na przykład o tym, czy trzynastoletnia dziewczynka przejdzie przez okres dojrzewania bez specjalnych tragedii, czy też wyląduje wśród alkoholików, w sekcie, wśród narkomanów, czy w grupie anarchistyczno-terrorystycznej decyduje często przypadek. Dzisiejsza młodzież ma równie łatwy dostęp do narkotyków, jak dorośli do środków farmaceutycznych. Niemal każde dziecko ma w kręgu swoich kolegów i przyjaciół kogoś, kto używał, używa lub zamierza używać narkotyków. Dzisiejsi narkomani w swojej motywacji zasadniczo różnią się od konsumentów haszyszu i LSD z lat sześćdziesiątych. Już nie chodzi im, jak dawnym hippisom, o rozszerzenie świadomości, lecz przede wszystkim o jej wyłączenie. To samo dotyczy również alkoholu i „miękkich” narkotyków. Dlatego też nie można już zaszeregować poszczególnych osób zagrożonych nałogiem do grupy alkoholików, „wąchaczy” czy „ćpunów”. Granice są tu płynne, a cele nadużycia środków odurzających identyczne.

Jak mogliśmy stwierdzić, informacje przekazywane opinii publicznej, a dotyczące rozmiarów problemu narkomanii, są zarówno jakościowo, jak i ilościowo niewystarczające. Większość polityków z kompetentnych resortów nadal wierzy w tak zwaną falę narkomanii, która przekroczyła już rzekomo swój punkt kulminacyjny, i spodziewa się tendencji spadkowej. Przekonanie to znajduje odbicie w sformułowaniach, kiedy to parlamentarzyści mówią, że mają „całą sprawę w ręku”, jakby chodziło o kran z wodą, który wystarczy zakręcić.

A w rzeczywistości społeczeństwo produkuje coraz więcej niedostosowanych. Do narkotyków ucieka się przede wszystkim młodzież, która ani w szkole, ani w czasie wolnym, ani w środowisku, gdzie pracuje, nie może zaspokoić swoich wewnętrznych potrzeb.

Równoległe do tej tendencji, przybierającej coraz bardziej zastraszające rozmiary, obserwujemy niebywały wzrost znaczenia nielegalnych środków odurzających, takich jak haszysz, LSD czy heroina, które obok społecznie usankcjonowanych środków wytwarzanych

przez przemysł farmaceutyczny i spirytusowy stanowią obecnie artykuł handlowy o wielkiej atrakcyjności, wspaniale, trzeba przyznać, rozprowadzany. Jeśli przyjmując, że w samym Berlinie Zachodnim stosunkowo nieliczna grupa pięciu tysięcy osób, stanowiąca rdzeń środowiska narkomanów, drogą kradzieży, rabunków i prostytutki przywłaszcza sobie dziennie skromnie licząc pół miliona marek i jeśli przedstawić to w skali Republiki Federalnej, otrzymamy olbrzymie sumy. Biorąc pod uwagę wysokość tych sum, trudno oczekiwać, że elementy przestępcze, żerujące na narkomanii, przepuszczą taką gratkę, mimo zdwojonych wysiłków policji i służb kryminalnych. Konfiskowane przez policję ilości heroiny i „miękkich” narkotyków stanowią najwyżej ułamek tego, co w tym samym czasie zostaje rozprowadzone.

Czarny rynek narkotyków pokrywa obecnie Republikę Federalną i Berlin Zachodni gęstą siecią zorganizowanych i indywidualnych dostawców, tak, że dziś można nabyć heroinę wszędzie i o każdej porze, tak jak poprzednio „miękkie” narkotyki. Praktycznie nie ma już obszarów, gdzie nie byłoby sprzedaży narkotyków, różnią się między sobą jedynie stopniem zagrożenia narkomanią, jaki na nich występuje.

Każde większe miasto ma swój własny „rynek”, na terenach wiejskich system dystrybucji opiera się na placówkach skupiających młodzież w czasie wolnym i na dyskotekach.

Prawie każda miejscowość figurująca w książce kodów pocztowych objęta jest siecią handlu heroina. Wszechobecność narkotyku jest z pewnością decydującym czynnikiem wzrostu jego konsumpcji. Młodzież zmuszona do zachowań kompensujących po prostu wszędzie się nań natyka. Tak na wsi, jak i w mieście duża część młodzieży cierpi na bezbrzeżną nudę i niejasno uświadomiane poczucie bezsensu swojego istnienia. Jediną odmianę i rozrywkę stanowią sobotnio-niedzielne dyskoteki.

Ta wciąż wzrastająca liczebnie część młodzieży szuka rozrywki w modnej w danym czasie dyskotece. A to, co ją czeka w tych nie znających prawie werbalnej komunikacji placówkach, to w ogólnym rozrachunku tylko oszołomienie głośną muzyką, potem nieuchronne rozczarowanie, że znowu nic się nie przeżyło.

Te dzieci i młodzież nie znajdują satysfakcji w terażniejszości, nie widzą żadnych perspektyw na przyszłość i nie potrafią czerpać sił z przeszłości. Stało się bowiem tak, że faza dzieciństwa, dająca możliwość swobodnego, względnie samodzielnego, a tym samym stabilizującego jednostkę rozwoju i poznawania świata skurczyła się obecnie niemal wyłącznie do krótkiego okresu przed pójściem do szkoły, ustępując miejsca wczesnemu ukierunkowaniu na sukces i bierną postawę konsumpcyjną.

Okradzony w ten sposób z dzieciństwa młody człowiek posiada jedynie zaczątki

wyobraźni, samodzielności i pewności siebie, przerzuca się chaotycznie z bodźca na bodziec nie mając potem mechanizmów obronnych uodparniających na manipulacje producentów dóbr konsumpcyjnych, którzy starają się wzbudzić w nim jak największe pragnienie posiadania, przy czym wchodzi on w obręb ich zainteresowań najpóźniej w wieku przedszkolnym.

Wskutek zaostrzenia mechanizmów selekcyjnych w szkołach, coraz większa część młodzieży już w okresie dojrzewania dochodzi do wniosku, że mimo ogromnych wysiłków nigdy nie zdobędzie w dorosłym życiu takich finansowych możliwości, które dałyby jej wstęp do atrakcyjnego świata z wystaw sklepowych i reklam, który od dziecka ją fascynował. Jest to świadomość, którą młodzież ta w ustnych deklaracjach bardzo szybko przekształca w potrzebę „alternatywnego” stylu życia, ale która w gruncie rzeczy prowadzi u wielu do zgorzknienia, ponieważ nie dostąpią błogosławieństwa nieograniczonej konsumpcji.

Również w stosunkach międzyludzkich wśród młodzieży pieniądź w coraz większym stopniu spełnia rolę regulatora. Chcąc poznać dziewczynę, młody chłopak musi najpierw wydać dziesięć, dwadzieścia czy nawet trzydzieści marek na dyskotekę, nie mówiąc już o kosztach modnego stroju, płyt, biletów na koncerty rockowe itd. Dla chłopaka chodzącego do szkoły czy uczącego się zawodu są to znaczne wydatki. Te właśnie drobne sprawy rodzą potem wielkie problemy, młodzi zaczynają się buntować, zmuszeni są zaspokajać swoje potrzeby w inny sposób.

Rodzice nie potrafią wskazać im drogi, która byłaby do przyjęcia. Sami uwikłani są przeważnie w nie dające się rozwiązać sprzeczności: mając to, co osiągnęli lub będą mogli osiągnąć w życiu, nigdy nie będą sobie mogli pozwolić na to, czego naprawdę chcą lub czego nauczyli się chcieć. Jednocześnie, w przeciwieństwie do swoich dzieci, nie poddają się tak szybko i wyętzając wszystkie siły nadal wykonują tę swoją syzyfową pracę. Giną gdzieś po drodze takie wartości, jak przyjaźń, życzliwość sąsiedzka, zaufanie, gotowość niesienia pomocy, wrażliwość na problemy drugiego człowieka.

Ogromne спустoszenie czyni coraz powszechniejszy rozkład życia rodzinnego. W Berlinie wysyła się do rodzin zagrożonych tzw. doradców rodzinnych (psychologowie, pracownicy socjalni, studenci). Zastają tam niewyobraźalną tragedię milczącej wegetacji obok siebie lub przeciwko sobie. Wzrastająca liczba rozwodów, trwonienie czasu wolnego przed telewizorami, wskaźnik samobójstw, alkohol, farmaceutyczne „rozwiązanie problemu” - tak wygląda otoczenie młodego człowieka, z którym musi on dojść do ładu równoległe z problemami okresu dojrzewania. Taki młody człowiek znajduje się w labiryncie o wielu wyjściach i gąszczu przesławnych ścianek, nazywających s/ę między innymi - dom rodzinny,

sposób spędzania wolnego czasu, perspektywy pracy, presja sukcesu w szkole, seks, marzenia. Pytanie tylko, jak on przez to przejdzie. Może wybrać wyjście, które zaprowadzi go do ferajny pijącej alkohol, do sekty czy właśnie do środowiska narkomanów. Nie ma bardziej niebezpiecznego, ale i bardziej skutecznego narkotyku na szybkie „rozwiązanie” wszystkich problemów, jak heroina.

Decydującą przeszkodą dla zagrożonej narkomanią młodzieży jest wysoka cena narkotyku. Stąd też handel coraz bardziej koncentruje się na dziewczętach; w porównaniu z liczbą młodocianych narkomanów chłopców udział dwunasto-, szesnastoletnich dziewcząt w ogólnej liczbie narkomanów wzrósł w ostatnich latach w sposób gwałtowny. Ponieważ dziewczęta mogą zdobyć niezbędne sumy w drodze prostytutki, łatwiej im sfinansować nabywanie narkotyku. Dystrybutorzy świadomie je więc uzależniają.

Mechanizm tego jest prosty, rzecz zaczyna się często w dyskotekach. Na miejscu znajduje się przystojny młody człowiek, ubrany według mody obowiązującej w danej dyskotece, i nagabuje młode dziewczęta. Bardzo im się podoba, bo „obłędnie” wygląda - to on daje im gratis pierwsze porcje heroiny do wachania. Robi tak parę razy i już mamy następną osobę uzależnioną, która może potem ewentualnie rozpowszechnić narkotyk w kręgu swoich przyjaciół.

Tak zazwyczaj zdobywają klientów drobni dystrybutorzy, którzy w przeciwieństwie do pośredników i hurtowników sami są przeważnie uzależnieni i ze swoich zarobków pokrywają zaledwie podstawowe potrzeby życiowe, a nierzadko starcza im nawet tylko na codzienną porcję narkotyku dla siebie. W swojej działalności nie muszą się nawet specjalnie wysilać. Gotowość ryzyka u młodzieży jest wielka. W zrozumiałym pędzie, aby w dającym coraz mniejsze szansę na prawdziwe przeżycia otoczeniu wywalczyć sobie coś „własnego”, młodzież, i w coraz większym stopniu także dzieci, przyjmuje „pomocną dłoń” dystrybutora heroiny istotnie przeżywając początkowo dzięki jego „darem” ogólne uczucie szczęścia i bez troski.

Ponieważ stanowi to ostry, pozornie dodatni kontrast z dotychczasową rzeczywistością, tym trudniej jest młodzieży dobrowolnie zrezygnować z tego „obłędnego uczucia”. Po trzykrotnym zażyciu heroiny następuje uzależnienie psychiczne. Teraz już tylko od częstotliwości powtórzeń zależy, po ilu tygodniach dojdzie uzależnienie fizyczne. Od tego momentu narkoman nie może się już obyć bez heroiny nie ryzykując nader bolesnych objawów odstawienia, i staje się stałym klientem dystrybutora. Dla większości nie ma już wtedy ratunku. W miejsce aresztowanego dystrybutora detalisty już następnego dnia pojawia się inny. Bycie dystrybutorem staje się dla każdego narkomana wartym wysiłku celem,

ponieważ może wtedy w przyjemniejszy niż kradzieże i prostytucja sposób finansować swój nałóg. Czyli z każdym zdobytym klientem handel heroiną zyskuje potencjalnego sprzedawcę. W Berlinie spotkać można obecnie nawet czternasto- szesnastoletnich dystrybutorów.

Na terenach wiejskich problem narkomanii nadal jeszcze jest bagatelizowany. Między innymi dlatego, że jego symptomy nie są tak wyraźne jak w dużych aglomeracjach. Większość popadającej w nałóg młodzieży prędzej czy później przenosi się do dużych miast, ponieważ u siebie nie ma możliwości systematycznego zdobywania niezbędnych środków finansowych.

Dziewczęta i kobiety prawie wszystkie bez wyjątku dochodzą przez nałóg do prostytucji. Gros narkomanów pici męskiej specjalizuje się w przestępstwach przeciwko mieniu; jedni we włamaniach do magazynów, warsztatów, samochodów, inni w kradzieżach torebek i kradzieżach w domach towarowych. Każdy z nich ma stałego pasera lub co najmniej stałe dojście do czarnego rynku minikalkulatorów, magnetofonów, artykułów elektrycznych, aparatów fotograficznych, spirytualiów itd. Niezależnie od wartości skradzionego mienia cena, jaką otrzymuje narkoman, rzadko kiedy przekracza sumę potrzebną na dzienną porcję heroiny, chyba, że kradł na zamówienie.

Przy potrzebach wahających się od czterdziestu do dwustu marek dziennie, wszystkie struktury tego środowiska nękane są permanentnym brakiem środków finansowych. Przymus codziennego zdobywania odpowiedniej sumy pieniędzy prowadzi u narkomanów do bezwzględności, agresji, brutalności i postępującej izolacji. Mimo ciągłego zwiększania dawki, euforyzujące działanie heroiny powoli słabnie, znikając w końcu zupełnie. Narkoman wstrzykuje sobie heroinę już tylko po to, aby uniknąć niezwykle bolesnych objawów odstawienia.

Prawie już nie zadawałam sobie trudu, żeby mydlić ojcu oczy. i tak zresztą od dawna coś przeczuwał. Wydaje mi się, że czekał jeszcze tylko na ostateczny dowód. Wkrótce go miał. Któregoś wieczora, jak już nie miałam ani krztyny hery na rano, a nie mogłam wyjść, bo ojciec był w domu, zadzwoniłam po kryjomu do Heinza i umówiłam się z nim na następny dzień w Gropiusstadt. Ojciec zaskoczył nas pod knajpą „Schluckspecht”. Heinz ledwie zdążył prysnąć. Ale stary znalazł towar, który od niego dostałam.

Od razu wszystko mu wyśpiewałam. Przede wszystkim musiałam mu powiedzieć, co wiem o Heinzu. Nie miałam już siły kłamać. Ojciec kazał mi się umówić z Heinzem na następny dzień w Hasenheide, żeby mi znowu przyniósł towar. Potem zadzwonił do glin, wszystko im opowiedział i zażądał, żeby aresztowali Heinza w czasie tego spotkania. Gliniarze mu na to odpowiedzieli, że w Hasenheide tylko obława coś by może dała, a tego się

nie da zrobić tak z dnia na dzień. Czyli, że kompletnie im się nie chciało bawić w zdejmowanie takiego „uwodziciela nieletnich”, jak go nazwał ojciec, bo za dużo by ich to kosztowało wysiłku. Oczywiście ucieszyłam się, że nie muszę odgrywać tej parszywej roli szpicla.

Zawsze myślałam, że stary zakatuje mnie na śmierć, kiedy się dowie, jak go robiłam w jajo. Ale on zareagował zupełnie inaczej. Był wręcz zrozpaczony. Prawie jak mama. Tak jakos serdecznie do mnie przemawiał. Chyba pokapował, że nie da się zerwać z heroiną ot tak sobie, nawet jak się tego bardzo chce. Ciagle jeszcze robił sobie jakieś nadzieje, że mu się ze mną uda.

Następnego dnia znowu mnie zamknął w domu. Psa wziął ze sobą. Nigdy już więcej nie zobaczyłam Janie. Złapał mnie potworny głód. Już koło południa myślałam, że nie wydolę. Wtedy zadzwonił Heinz. Normalnie zaczęłam, żebrać o działkę. Ponieważ bez kluczy nie mógł się dostać nawet na klatkę, chciałam mu spuścić sznurek z 11 piętra. W końcu udało mi się go ubłagać. Zazaądał za to, żebym mu napisała list miłosny i spuściła na sznurku razem ze swoimi majtkami. Nigdy nie dawał towaru za darmo. W końcu - człowiek interesu.

Pozbierałam wszystko, co udało mi się znaleźć w mieszkaniu i co było podobne do sznurka. Plastikowe linki do bielizny, paski od szlafroków, sznurówki i tak dalej. Musiałam wiązać mnóstwo supłów i co chwilę sprawdzać, czy wystarczy na te jedenaście pięter. Potem nagryzmoliłam jeszcze ten list. Na pełnym głodzie.

Heinz faktycznie się zgłosił i zadzwonił z dołu w umówiony sposób. Wyjęłam z szafy majtki z haftem, który sama zrobiłam, zapakowałam to razem z listem do plastikowego woreczka od suszarki i spuściłam przesyłkę z okna swojego pokoju. Udało się. Heinz włożył do środka towar. Parę osób zaczęło się już przyglądać tej naszej dziwnej zabawie. Ale Heinz wcale się tym nie przejął, a mnie i tak było wszystko jedno. Myślałam tylko o działce. Dopiero jak z okna dziewiątego piętra wychylił się jakiś szczeniak i zaczął łapać za sznurek, wpadłam w kompletną panikę. Zaczęłam się wydzierać jak głupia i próbowałam odsunąć sznurek, żeby nie mógł go dosięgnąć. Niesamowicie się bałam o swoją herę.

W końcu miałam ją już na górze i właśnie się zabierałam, żeby podgotować działkę, kiedy zadzwonił telefon. Heinz. Powiedział, że zaszło nieporozumienie. Majtki miały być noszone. Miałam już swoją działkę i właściwie było mi już wszystko jedno. Żeby mi nie zwracał głowy, rzuciłam mu z okna najstarsze gacie, jakie znalazłam w koszu z brudną bielizną. Zawiesiły się na jakimś krzaku. Najpierw Heinz uciekł, ale potem podkradł się z powrotem, żeby je ściągnąć.

Ten Heinz to był kompletnie skończony facet. Zupełna szajba. Jak się potem

dowiedziałam, w czasie jak był ten numer ze sznurkiem, już od trzech tygodni mieli na niego nakaz aresztowania. Tyle tylko, że gliny nie miały czasu go przyskrzynić. Adwokat Heinza mówił mu nawet, że już z nim kiepsko. Ale jeśli szło o dziewczyny, to Heinz dostawał kompletnego zajoba.

Musiałam zeznawać na jego procesie jako świadek. Powiedziałam wtedy całą prawdę. W końcu Heinz był mi właściwie tak samo obojętny, jak każdy klient.

Ale mimo wszystko nie chciałam go obciążać, bo mi go było żal. W każdym razie wcale nie był gorszy od innych klientów, którzy dawali narkomankom pieniądze i wiedzieli dokładnie, że one i tak wydadzą to na herę. Był nawet w gorszej sytuacji od innych, bo autentycznie miał zajoba na punkcie młodych dziewczyn. Wydaje mi się, że bardziej nadawał się do psychiatry niż do kicia.¹

Towar od Heinza wystarczył mi jakoś na tych parę dni, kiedy ojciec zamykał mnie w domu. Czyli z odtrucia nici. Pierwszego dnia, kiedy ojciec nie zamknął drzwi na klucz, przysnęłam. Cały tydzień byłam na trasie, zanim ojciec znowu mnie znalazł i znowu zabrał do domu. Znowu myślałam, że mnie stłucze. Ale on był tylko jeszcze bardziej zrozpaczony.

Powiedziałam mu wtedy, że sama nie dam rady. Nie ma siły, żeby człowiek wydoił, jak przez cały dzień siedzi kompletnie sam. Babsi nie żyje. Detlef siedzi. Stella siedzi. Opowiedziałam mu o Stelli. Że mając te swoje czternaście lat właśnie kończy się w pudle. Słyszałam to od takiej jednej dziewczyny, która siedziała z nią w jednej celi, a teraz ją wypuścili, Stella cały czas chciała się zabić. Jedyne oparcie znalazła w terrorystkach, które siedzą w tym samym pudle. Stella rozmawiała już podobno parę razy o RAF-ie z Moniką Barberich i dostała kompletnego fioła na punkcie tej facetki. Wielu narkomanów uważa terrorystów za obłądnych ludzi. Byli tacy, którzy zanim wsiąkli w narkomanię, próbowali wejść do jakiejś grupy terrorystycznej. A jak było to uprowadzenie Schleyera, to mnie też to jakoś tak wzięło. Właściwie jestem przeciwna wszelkiej przemocy. Nigdy bym nie umiała komuś coś zrobić. Robiło mi się niedobrze na widok przemocy. Ale wtedy pomyślałam sobie, że ci z RAF-u może naprawdę wiedzą, co robią, bo przecież w tym kurewskim społeczeństwie tylko przemocą można coś zmienić.

Ta historia o Stelli strasznie ojca rąbnęła. W końcu stwierdził, że ją wyciągnie z kicia i adoptuje. Wmówiłam mu, że razem ze Stellą na pewno mi się uda zrobić odwyk. Chwycił się tej nadziei jak tonący brzytwy. Idioteczna nadzieja. Ale skąd mógł wiedzieć, jak trzeba działać? Oczywiście, że wszystko robił nie tak, przez ten czas, jak byłam u niego. Ale robił

¹ Heinz G skazany został 10 II 1978 przez Sąd Krajowy w Berlinie na trzy i pół roku pozbawienia wolności za przekazywanie heroiny Chnstiane i Babsi oraz za kontakty seksualne z nieletnią.

wszystko, co mógł. Tak jak mama.

Ojciec poleciał zaraz zrobić piekło w urzędzie dla nieletnich i faktycznie udało mu się wyciągnąć Stellę z pudła. Psychicznie i fizycznie goniła autentycznie resztkami. Była w jeszcze gorszym stanie niż przed wpadką. Kiedy do nas przyszła, nie byłam jeszcze zupełnie „czysta”, chociaż twardo to sobie postanowiłam i jeszcze tego samego dnia zaćpałyśmy razem, i tak by zresztą sama zaczęła ładować. Tylko przez pierwsze dni rozmawiałyśmy jeszcze poważnie o odwyku. Potem szybko wykapowałyśmy, że we dwie możemy robić mojego ojca w konia jak chcemy. Podzieliłyśmy między siebie zadania. Na zarobek też chodziłyśmy często na zmiany. Polowałyśmy wyłącznie na Kurfürstendamm na samochodziarzy.

Wszystko zwiślało mi tak dokładnie, że nawet się już nie bałam wsiadać do obcych wozów. Trzymałyśmy się w tej robocie we cztery. Oprócz Stelli i mnie jeszcze dwie Tyny. Przypadkowo obie miały na imię Tina. Jedna z nich była jeszcze o rok młodsza ode mnie. Czyli, że miała akurat dokładnie czternaście lat. Pracowałyśmy zawsze co najmniej we dwie. Kiedy jedna odjeżdżała samochodem, druga spisywała numery w taki sposób, żeby facio to widział, bo wtedy od razu mu się odechciewało ewentualnych sztuczek. Była to też jakaś ochrona przed alfonsami. Gliniarzy w ogóle się nie bałyśmy. Radiowozy przejeżdżały spokojnie obok, gliniarze często kiwali do nas przyjaźnie. Jeden z nich był nawet moim stałym klientem. Strasznie zabawny facet. Ciągle chciał miłości. Za każdym razem trzeba mu było wyjaśniać, że to, co robię, to przecież praca, a nie miłość.

Innym klientom też trzeba to było wyjaśniać. Większość miała zawsze ochotę ze mną pogadać. Na początek zawsze ta sama gadka. Jak to jest, że taka ładna dziewczyna poszła na ulicę? Przecież naprawdę wcale nie muszę i takie tam. To mnie zawsze najbardziej wpieprzało. Potem chcieli mnie ratować. Normalnie dostawałam oferty matrymonialne. A przecież taki facet doskonale się orientował, że wykorzystuje tragedię narkomanów, żeby się zaspokoić. Strasznie byli zakłamani wszyscy ci faceci. Uważali, że mogą nam pomóc, a sami mieli całą kupę problemów, z którymi nie dawali sobie rady.

Najczęściej to byli tacy, co nie mieli odwagi pójść do zawodowych dziwek. Tacy, co w ogóle mają jakieś problemy z kobietami i dlatego biorą się za dzieci. Opowiadali, jacy strasznie są sfrustrowani przez żony, rodziny i całe to swoje życie, w którym nic się nie dzieje. Czasem nawet wyglądało na to, że trochę nam jakby zazdroszczą, w każdym razie tego, że jesteśmy jeszcze takie młode. Chcieli wiedzieć, co jest teraz modne u młodzieży, jakiej muzyki się słucha, co się nosi, jakieś młodzieżowe wyrażenia.

Jeden facet, taki pod pięćdziesiątkę, koniecznie chciał chociaż raz spróbować haszu,

bo twierdził, że teraz wszyscy młodzi to palą. Więc za dodatkową forszę przeleciałam z nim pół Berlina, zanim udało mi się przydybać jakiegoś handlarza, który miał hasz. Nigdy nie zwróciłam na to uwagi, ale to obłąd, heroina j była na każdym rogu, a haszu za cholerę. Żeby kupić odrobinę, potrzebowaliśmy prawie trzech godzin. Facet wypalił potem w wozie jointa i był wniebowzięty, że pali hasz.

W ogóle spotykało się różnych, zabawnych i wrednych. Jednemu trzeba było przez cały czas pukać w stalową szynę w nodze. Wstawili mu po wypadku motocyklowym. Jeden znowu łąził z papierem, który wyglądał na urzędowe zaświadczenie. Było tam poświadczona pieczęcią, że facet jest bezpłodny. Chciał tylko bez kondona. Najbardziej wredny facet oświadczał, że jest z agencji reklamowej i chce zrobić zdjęcia próbne. W samochodzie wyciągał spluwę i żądał pełnego serwisu za friko.

Najbardziej to chyba lubiłam studentów, którzy przyłazili na dziewczyny piechotą. Dostawiali wtedy specjalnie dla nas tapczan, bo ze świeżo posłanego podwójnego łóżka nie wolno było korzystać. To było żalossne.

Ze Stellą porozumiewałam się zaszyfrowanymi napisami, które smarowało się na słupach ogłoszeniowych czy pustych tablicach na plakaty. Stąd przy zmianie zawsze wiedziałyśmy, co druga z nas właśnie robi i co mój stary wymyślił nowego, żeby nas skontrolować. Kiedy wpadałam w parszywy nastrój, łąziłam czasem do takiego lokaliku, który nazywał się „Teen Challenge”. Specjalnie wybrali ten punkt koło „Soundu” i Kurfürstenstrasse, żeby nawracać takie jak ja. Można było u nich dostać broszurki i książki o nieletnich prostytutkach i narkomankach w Ameryce, które „Teen Challenge” nawrócił na drogę wiodącą ku Bogu. Chodziłam się tam wygadać, wypić herbatę czy zjeść bułkę ze smalcem. Jak tylko zaczynali pieprzyć o Bogu, od razu się zmywałam. W gruncie rzeczy tam też chcieli nas tylko wykorzystać, bo chodziło o to, żeby, jak już zupełnie nie będziemy widzieć wyjścia, wciągnąć nas do sekty.

Zaraz obok było na Kurfürstenstrasse takie biuro komunistów. Czasami czytałam, co wywieszali w witrynie. Wychodziło na to, że chcą kompletnie zmienić społeczeństwo. Podobało mi się to. Ale w mojej sytuacji ich hasła też nie na wiele mi się mogły przydać.

Potem oglądałam sobie wystawy wielkich sklepów-meblowych przy Kurfürstenstrasse i Genthiner Strasse. Od razu wracały marzenia o własnym mieszkaniu z Detlefem. Jeszcze bardziej mnie to wtedy dobijało.

Znalazłam się już właściwie w najniższym punkcie narkomańskiej kariery. Jak nie szło z samochodziarzami, to brałam się za kradzieże. Takie drobne, bo kompletnie nie nadaję się na taką robotę - mam za słabe nerwy. Nawet mnie raz paru ćpunów próbowało namówić na włam, ale miałam za wielkiego cykora. Mój największy wyczyn to było wybicie kastetem szyby w samochodzie i zabranie przenośnego radia. Najczęściej pomagałam innym skrócić trefny towar. Przewoziłam też trefne rzeczy prawdziwym przestępcom. Wozilałam to wszystko do skrzytek bagażowych na dworcu Zoo albo, jak było trzeba, zabierałam stamtąd.

Dostawałam za to co najwyżej dwadzieścia marek. A przecież było to o wiele bardziej niebezpieczne od samej kradzieży. Ale po prostu powoli przestawałam kontaktować.

W domu okłamywałam ojca i kłóciłam się ze Stellą. Umówiłam się z nią, że dzielimy się robotą i herą. O to najczęściej były kłótnie. Bo każda z nas myślała, że druga próbuje ją wyślizgać.

Ojciec oczywiście znowu od dawna wiedział, co się ze mną dzieje. Ale był już kompletnie bezradny. Ja zresztą też. Wiedziałam tylko tyle, że rodzice nie mogą mi już pomóc.

W szkole nie mogłam wydolić. Mimo, że olewałam wszystkie zajęcia. Nie mogłam znieść samego siedzenia tam. W ogóle niczego już nie mogłam znieść. Nie mogłam już łązić na robotę, nie mogłam kręcić się na luzie między swoimi, nie znosiłam ojca.

Znowu było jak dawniej. Grobowy nastrój. Myśli samobójcze. Przecież wiedziałam już, że długo tak nie pociągnę. Ale cały czas byłam jeszcze za wielki tchórz, żeby sobie władować „złoty strzał”. Ciągłe jeszcze szukałam jakiegoś wyjścia.

Myślałam nawet, żeby się dobrowolnie zgłosić do wariatkowa. Do lecznicy Bonhoeffer, czy jak się mówiło: Bonnies Ranch. Zgłosić się tam to już dla ćpuna właściwie koniec. Bonnies Ranch to był prawdziwy postrach narkomanów. Było nawet takie powiedzenie: lepiej cztery lata pudła niż cztery tygodnie Bonnies Ranch. Niektórych po szpitalu przymusowo wysyłali do Bonnies Ranch i oni potem opowiadali potworne historie.

Ale całkiem naiwnie pomyślałam, że jak się dobrowolnie zgłoszę do takich hycli, to ktoś zwróci na mnie uwagę. Jakiś Urząd do Spraw Nieletnich czy kto tam jeszcze musi wtedy zauważyć, że jest taka narkomanka, która gwałtownie potrzebuje pomocy, i, że rodzice kompletnie nie byli w stanie jej pomóc. Ta decyzja zgłoszenia się do Bonnies Ranch była jak próba samobójstwa kogoś, kto w duchu ma nadzieję, że jednak znowu się ocknie, żeby wszyscy mogli mówić: Biedulka, gdybyśmy się tylko o nią bardziej zatroszczyli, już nigdy nie będziemy dla niej tacy niedobrzy.

Kiedy już się zdecydowałam, poszłam z tym do mamy. Początkowo traktowała mnie

bardzo chłodno, bo jednak jakoś tak jakby mnie już spisała na straty. Od razu się rozryczałam, ale tak naprawdę. Potem próbowałam jej opowiedzieć wszystko o sobie; dosyć wiernie. Wtedy ona też się rozplakała, objęła mnie ramieniem i przytuliła do siebie. Obie serdecznie sobie popłakałyśmy. Moja siostra też się ucieszyła, że znowu jestem w domu. Spałyśmy razem w moim starym łóżku. Po jakimś czasie złapał mnie głód.

Zaczęło się kolejne odtrucie. Nawet nie wiedziałam, który to już raz. Chyba już zdążyłam pobić rekord świata w ilości odwyków. W każdym razie nie znałam nikogo, kto by tyle razy dobrowolnie się odtruwał, co ja. i to bez szansy powodzenia. Wszystko było prawie tak samo jak za pierwszym razem. Mama znowu wzięła wolne i przynosiła mi wszystko, co chciałam: valium, wino, pudding, owoce. Wreszcie czwartego dnia zawiozła mnie do Bonnies Ranch. Naprawdę tego chciałam, bo przecież byłam pewna, że inaczej już jutro znowu sobie właduję.

Od razu musiałam się rozebrać do goła i zaprowadzili mnie do kąpieli. Jak trędowata. W dwóch wannach kąpali właśnie dwie kopnięte baby. Wsadzili mnie do trzeciej i musiałam się wypucować pod kontrolą. Nie dostałam już z powrotem ubrania. Zamiast tego dali mi jakieś gacie, które wisiały mi aż gdzieś pod kolanami i które musiałam bez przerwy podtrzymywać, żeby nie zjechały. Do tego jakąś mocno znoszoną koszulę nocną. Potem wzięli mnie na oddział na obserwację. Byłam jedyna normalna na sześćdziesiąt bab. Wszystkie były zdrowo trzepnięte. Z wyjątkiem jednej. Nazywali ją Piippi.

Piippi przez cały czas miała coś do roboty. Starła się być jak najbardziej przydatna i wyręczała pielęgniarke w czym tylko mogła. Z Piippi sobie gadałam. Nie wyglądała na wariatkę, tylko jakoś tak wolno myślała. Już piętnaście lat była tu na obserwacji. Piętnaście lat temu rodzinka wpakowała ją do Bonnies Ranch. Najwyraźniej nigdy jej tu na nic nie leczyli. Zwyczajnie została już na obserwacji. Może dlatego, że tak się tu przydawała. Pomyślałam sobie, że coś tu musi być nie w porządku, jak się trzyma kogoś piętnaście lat na obserwacji tylko dlatego, że trochę wolniej myśli.

Następnego dnia wizytował mnie cały zespół lekarzy. To znaczy większość tych łapiduchów, którzy bezczelnie gapili się na mnie w tej koszulinie, to byli pewnie studenci. Szef całej tej bandy zadał mi kilka pytań, a ja całkiem naiwnie zaczęłam mówić, że za parę dni chciałabym pójść na leczenie, a potem gdzieś do jakiegoś internatu w RFN, żeby zrobić maturę. Co chwilę mówił „tak, tak”, pewnie jak to zwykle w rozmowie z wariatami.

Kiedy już położyłam się z powrotem do łóżka, zaczęły mi się przypominać wszystkie kawały o wariatkach. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie nagadałam jakichś głupot, bo patrzyli na mnie, jak na takiego, co mówi, że jest Napoleonem. Nagle poczułam strach, że tak jak

Piippi na zawsze zostanie na obserwacji, aż zupełnie skapcanieję w tej starej koszuli nocnej i potwornych gaciach.

Ale po dwóch dniach przenieśli mnie z obserwacji na oddział B, bo nie miałam już żadnych objawów. Dostałam z powrotem swoje łachy i nawet pozwolili mi jeść nożem i widelcem, a nie łyżką dla dzieci, jak na obserwacji.

Na oddziale były jeszcze trzy inne narkomanki, które znałam z miasta. We cztery siadałyśmy zawsze przy jednym stoliku, który reszta od razu zaczęła nazywać „stolikiem terrorystek.

Jedna z tych dziewczyn, Lianę, miała już spore doświadczenie więzienne.

Też twierdziła, że w Bonnies Ranch jest gorzej niż w kiciu. Przede wszystkim dlatego, że tam nie ma żadnych kłopotów z dojściem do hery, a tutaj strasznie trudno.

Jak na razie było całkiem wesoło, bo byłyśmy we cztery. Mimo to powoli zaczynałam wpadać w panikę, bo żaden lekarz nie potrafił mi rozsądnie odpowiedzieć, kiedy pójdę na terapię. Mówili tylko „jeszcze się zobaczy” i inne takie, jak do wariatów.

Umowa z mamą i z Urzędem do Spraw Nieletnich była taka, że w Bonnies Ranch mam zostać cztery dni, żeby mieli pewność, że już jestem odtruta. A potem mieli mnie skierować na terapię. Tymczasem mimo, że sama się odtrułam i przyszłam tu prawie „czysta”, o terapii jakoś cicho.

Najgorsze stało się po paru dniach. Przynieśli mi jakiś papier, gdzie miałam podpisać, że zostanę w zakładzie dobrowolnie przez trzy miesiące. Oczywiście odmówiłam i chciałam, żeby mnie natychmiast wypuścili. Powiedziałam, że zgłosiłam się dobrowolnie, więc mogę stąd wyjść, kiedy mi się spodoba. Wtedy przyszedł ordynator i powiedział, że jak nie podpiszę zgody na trzy miesiące, to załatwi przymusowy pobyt na sześć.

Czułam się kompletnie wyrołowana. Zaczęłam się potwornie bać. Nagle uświadomiłam sobie jasno, że jestem kompletnie zależna od tych idiotycznych lekarzy. Skąd mogłam wiedzieć, jaką mi tu wykombinują diagnozę. Mogli mi wkleić jakąś ciężką neurozę albo nawet schizofrenię czy nie wiem co jeszcze. Jako pacjent wariatkowa człowiek nie ma nawet najmniejszych praw. Normalnie pomyślałam sobie: no to będzie z tobą jak z Piippi.

Najgorsze, że nagle sama już nie wiedziałam, na ile jestem wariatką, a na ile nie. Neurozę miałam w każdym razie bankowo. Z rozmów w poradniach dowiedziałam się przynajmniej tyle, że nałóg to neuroza, działanie z przymusu. Myślałam o tym wszystkim, co dotychczas robiłam. Te wielokrotne odtrucicia i od razu znowu to samo, chociaż dokładnie wiedziałam, że kiedyś sama się tym zabiję. Cały ten syf, jakiego zdążyłam narobić w swoim krótkim życiu, to, co wyprawiałam z mamą, to, jak odnosiłam się do innych ludzi. Normalne

to nie było na pewno. To znaczy, że muszę mieć zdrowego pierdolca. Wtedy zaczęłam się już tylko zastanawiać, jak tu ukryć przed lekarzami i pielęgniarkami, że nie jestem tak całkiem normalna.

Siostry traktowały mnie jak czubka, czyli tak jak resztę czubków. Musiałam niesamowicie brać się w garść, żeby nie reagować agresywnie. Kiedy przychodzili lekarze i zadawali pytania, to starałam się odpowiadać tak, jak nigdy bym normalnie nie odpowiedziała. Z całej siły starałam się nie być sobą, tylko kimś zupełnie innym, kimś normalnym. Jak lekarze potem odchodzili, to czułam, że mówiłam akurat wszystko nie tak, jak trzeba. Że teraz to mnie już wezmą za kompletnie sztachniętą.

Jedynę, co mi zalecili w ramach terapii, to robienie na drutach. A na to kompletnie nie miałam ochoty. Zresztą, nie wierzyłam, że mi to coś może pomóc.

W oknach były oczywiście kraty. Ale nie normalne kraty, jak w pudle, bo to przecież było co innego, tylko takie ładne, ozdobne. Wykombinowałam, jak trzeba kręcić głową, żeby ją wytknąć przez te ozdobne wygięcia i tak naprawdę patrzeć jak przez zwykłe okno. Czasem całymi godzinami tak sobie stałam i gapiłam się z, żelaznymi prętami wokół szyi. Powoli zbliżała się jesień, liście robiły się żółte i czerwone, słońce stało już dosyć nisko na niebie i jakąś godzinę świeciło między dwoma drzewami prosto w moje okno.

Czasem przywiązywałam blaszaną tackę na wełnianej nici, spuszczałam ją z okna i uderzałam o ścianę. Albo przez całe popołudnie bezskutecznie próbowałam przyciągnąć sznurkiem uplecionym z wełny jakąś gałąź, żeby zerwać listek. Wieczorami myślałam sobie: Jeśli nawet nie miałaś świra, to teraz go już masz.

Nie wolno mi było nawet wyjść do ogrodu, żeby połączyć w kółeczko z resztą bab. Każdy terrorysta ma prawo raz dziennie wyjść na świeże powietrze. A ja nie miałam. Istniało niebezpieczeństwo ucieczki. Słusznie uważali.

W jakiejś szafie znalazłam starą piłkę do nogi. Kopałam nią bez przerwy w zamknięte szklane drzwi i miałam nadzieję, że się zbiją. Aż mi zabrali piłkę. Walałam głową w szyby. Ale oczywiście wszystkie były z pancernego szkła. Czułam się jak dzikie zwierzę w mikroskopijnej klatce. Całymi godzinami łąziłam wzdłuż ścian. Któregoś razu pomyślałam, że już dłużej nie wytrzymam. Musiałam pobiegać No i po prostu zaczęłam biec. Latałam tam i z powrotem po korytarzu, aż do kompletnego wykończenia, kiedy już normalnie nie mogłam.

Zwędziłam skądś nóż i nocą wydlubałyśmy, razem z Lianę, kit z takiego zamkniętego, ale nie zakratowanego okna. Szyba nie drgnęła nawet na milimetr. Następnego nocy rozebrałyśmy na kawałki łóżko i próbowałyśmy wyłamać kraty z jednego otwartego okna.

Resztę bab z sali tak już wytresowałyśmy, że nawet nie próbowały podskakiwać. Niektóre z nich faktycznie uważały nas za terrorystki. Oczywiście cała ta zabawa była kompletnie bezsensowna, narobiłyśmy w dodatku takiego hałasu, że przydybali nas ci z nocnego dyżuru.

Po tych wszystkich moich numerach w tym zakładzie nie miałam już nadziei, że mnie kiedykolwiek wypuszczą. Wykańczałam się coraz bardziej. Regeneracja organizmu była tylko pozorną. Kałdun mi urósł jak diabli. Twarz wyblakła, i zapadnięta, a jednocześnie obrzmiała; jak patrzyłam w lustro, to mi wyglądała na twarz kogoś, kto już odkiblował swoje 15 lat w Bonres Ranch. Prawie w ogóle nie sypiałam. No bo prawie co noc coś się na oddziale wyrabiało, i ciągle się bałam, że przegapię jakąś okazję do ucieczki. Mimo, że to było bez sensu, co rano szykowałam się zupełnie tak, jakbym zaraz miała iść na miasto. Z niesamowitą wytrwałością szczotkowałam sobie włosy, malowałam się i zakładałam marynarkę.

Raz przyszedł nawet ktoś z Urzędu do Spraw Nieletnich. Też powiedział tylko: - Zobaczmy. - Ale przynajmniej dowiedziałam się przez niego, gdzie siedzi Detlef i jaki ma numer sprawy. Od razu siadłam i napisałam mu parostronicowy list. Jak tylko go oddałam, zaraz wzięłam się za następny. Nareszcie znowu mogłam się porządnie wygadać. Chociaż właściwie w listach nie mogłam tak całkiem. Bo przecież je czytali. Prawdopodobnie już w Bonnies Ranch, a już na pewno ci u Detlefa. Czyli, że w listach też musiałam łączyć na potęgę. Że w ogóle już nie czuję pociągu do żadnych narkotyków i tak dalej.

Dostałam potem od Detlefa cały stos listów naraz. Pisał, że cholernie głupio pograł z tą kradzieżą euroczeków, ale, że zrobił to tylko po to, żeby pojechać na odwyk do Paryża. Chciał mi zrobić tym niespodziankę, bo przecież razem nigdy byśmy nie dali rady. Detlef pisał, że niedługo wychodzi i zgłasza się na leczenie. Odpisałam, że ja też niedługo zaczynam, i oboje pisaliśmy sobie, że po kuracji wynajmiemy razem mieszkanie. Jak widać, w tych listach znowu snuliśmy te nasze marzenia o rajskim życiu po leczeniu. A przy tym wszystkim, jak nie pisałam akurat listu do Detlefa, to mi się wydawało, że już nigdy stąd nie wyjdę.

Miałam jeszcze jedną prawdziwą szansę. Odnowił mi się polip i codziennie mówiłam lekarce, że muszą mnie wysłać do szpitala na operację, bo już nie wytrzymuję z bólu. No i któregoś dnia rano rzeczywiście przewieźli mnie pod nadzorem do szpitala Rudolf Virchow. Po badaniu kazali mi od razu zostać, bo rzeczywiście było dosyć kiepsko. Słyszałam nieraz od innych narkomanów, jak się pryska ze szpitala. Wystarałam się o przepustkę do parku. To jest takie zezwolenie na wyjście do parku przy szpitalu. Oczywiście narkomanom nie tak łatwo wydebić taką przepustkę. Ale jest na to jeden genialny greps. Poszłam do takiej miłej skośnookiej pielęgniarki i powiedziałam, że strasznie bym chciała jakoś pomóc i powozić

trochę po parku biedne staruszki, które nie mogą już same chodzić. Siostrzyczka niczego nie podejrzewała i powiedziała, że to strasznie miłe, że się tak przejmuję.

Od razu dorwałam jakąś staruszkę, która pomyślała pewnie, że jestem bardzo dobre dziecko, wywiozłam ją do parku i powiedziałam do niej: - Poczekaj chwilkę, babciu, zaraz wrócę. A za moment byłam już po drugiej stronie siatki.

Poszłam na dworzec metra przy Amrumer Strasse i pojechałam do Zoo. Jeszcze nigdy nie czułam się tak wolna. Od razu poszłam pod polibudę gdzie o tej porze kręcili się narkomani. Połączyłam sobie trochę między ludźmi i przysiadłam się w końcu do trzech młodych ćpunów na ławkę. Powiedziałam im, że właśnie zerwałam się z Bonnies Ranch. Oczywiście niesamowicie im to zaimponowało.

Miałam obłądną chciwość. Jeden z chłopaków handlował. Zapytałam, czyby mi nie odkopsnął trochę na kredyt. Powiedział, że jak mu pomogę opchnąć towar, to może mi coś dać. Zgodziłam się. Dał mi trochę. Władowałam sobie od razu w kiblu polibudy.

Wziątka była mała, niecałe pół ćwiartki. Towar też nie najlepszy. Poczułam się całkiem fajnie, ale nie, żeby mnie przymuliło. Zresztą, musiałam kontaktować, bo przecież miałam pomóc człowiekowi rozprowadzać towar. Chłopak był całkiem młody, znałam go trochę z Hasenheide. Chodził jeszcze do szkoły. Mógł mieć gdzieś ze szesnaście lat. Od razu wyczułam, że nie jest za bardzo obcykany w branży. Inaczej by mi nie odkopsnął działki od razu, tylko najpierw musiałabym mu rozprowadzić towar.

Zaraz potem zorientowałam się, że pod polibudą nagle zaroilo się od tajniaków. Ten chłopak kompletnie nic nie zauważył. Musiałam podejść do niego i powiedzieć szeptem: - gliny - bo w ogóle nie załapał, co się dzieje. Potem poszłam sobie wolno w stronę dworca Zoo, a on szedł cichcem za mną. Po drodze spotkałam jakiegoś ćpuna, który szedł z naprzeciwka, i mówię do niego: - Przyhamuj, stary. Obława pod polibudą. Ale mogę ci podesłać bezbłędny towar. - Zaraz podszedł do nas ten smarkaty handlarz, normalnie jakby nigdy nic wyciągnął z kieszeni cały towar i powiedział do tego typu, żeby sobie sprawdził. Myślałam, że padnę, jak to zobaczyłam. Trzysta metrów od nas obława, a ten palant wyciąga z kieszeni herę.

Od razu podskoczyło dwóch tajniaków, którzy tylko na to czekali. Nie było sensu uciekać. Ten nieopierzony handlarz normalnie wziął i wyrzucił cały zapas poporcjowanego towaru, jaki miał ze sobą. Wszędzie fruwał fioletowy staniol. Myślał pewnie, że może uda mu się zrobić w herę tego ćpuna albo mnie, i klepał tylko:, że on nie ma z tym nic wspólnego.

Kazali nam się oprzeć o samochód, z rękami nad głową, i obszukali nas, czy nie mamy broni, chociaż żadne z nas nie miało więcej niż szesnaście lat. Przy okazji jeden z tych

francowatych gliniarzy musiał mi oczywiście przejechać łapą po cychach. Ale byłam kompletnie spokojna. Zdażyłam sobie włądować co trzeba, a po Bonnies Ranch i tak mnie już nic nie wzruszało. Od razu zaczęłam się zgrywać na dobrze wychowaną dziewczynkę. Jak spisywali moje dane, byli już nawet dosyć mili. Jeden powiedział do mnie: - Dziewczyno, masz ledwie piętnaście lat, co ty tu robisz? - Ja na to: - Wyszłam się przejść. - I przypalam sobie fajkę. Okropnie się wtedy rozżłościł: - Wyrzuć to natychmiast. W twoim wieku to prawdziwa trucizna. - Musiałam wyrzucić tego papierosa.

Zabrali nas na posterunek przy Ernst Reuter Platz i wsadzili do celi. Ten handlarz z bożej łaski od razu pękł i zaczął wrzeszczeć - Wypuście mnie! Wypuście mnie! - Zdjęłam marynarkę, zwinęłam ją w taką jakby poduszkę, położyłam się na pryczy i zaczęłam kimać. Takie zatrzymanie to ostatnia rzecz, jakiej bym się mogła przestraszyć. Ani przez chwilę się nie bałam, że gliny mogą skądś wiedzieć, że prysnęłam z Bonnies Ranch. No bo na pewno nie zdążyli jeszcze zgłosić mojego zaginięcia.

Wypuścili mnie po jakichś dwóch godzinach. Znowu poszłam pod stołówkę polibudy. Po drodze na całego złapał mnie moralniak. Rozbeczałam się. Znowu po odtruciu skorzystałam z pierwszej lepszej okazji, żeby sobie włądować. i nie wiedziałam teraz, dokąd mam iść. Przecież nie mogę z takimi źrenicami wparować do mamy i powiedzieć: To ja, mamusiu. Zwiąłam. Zrób mi jakąś kolację.

Poszłam do poradni dla narkomanów w dawnej stołówce polibudy. Byli tam fantastyczni ludzie i uspokoili mnie jakoś na tyle, że zdobyłam się na telefon do mamy. Jakoś to zniosła, gdy usłyszała, że dzwonię z poradni. Po drodze do domu poczułam, że mam gorączkę. Kiedy byłam już w łóżku, zrobiło się ponad czterdzieści stopni. Mama zadzwoniła na pogotowie, bo zaczynałam majaczyć. Lekarz chciał mi dać zastrzyk i nagle poczułam paniczny strach, bo miałam dostać zastrzyk w tyłek. Potrafiłam kłuć się dwa, trzy razy dziennie w przedramię. Ale jak mi ten lekarz wkitował igłę w tyłek, to mało nie zwariowałam.

Gorączka zaraz mi potem spadła. Ale byłam kompletnie wykończona. Bonnies Ranch doprawiło mnie całkiem, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Kiedy po trzech dniach mogłam już wstać, od razu pojechałam do poradni. Po drodze musiałam przejść koło polibudy, gdzie kręcą się sami narkomani. Gnałam przed siebie starając się w ogóle nie patrzeć na boki.

Przez tydzień codziennie chodziłam do poradni. Nareszcie mogłam się gdzieś wygadać. Pierwszy raz się zdarzyło, że gdzieś mi się dali wygadać. Dotychczas wszyscy bez przerwy mi coś truli, i mama, i ojciec, ci ludzie z Narkononu, wszyscy. W poradni przy

polibudzie ja musiałam opowiadać, żeby samej dojść do tego, co ze mną jest. Łaziłam do tej poradni jeszcze wtedy, kiedy byłam już na twarzy żółta jak cytryna. Jak raz spotkałam pod stołówką paru znajomków, normalnie uciekli ode mnie i krzyčeli: - Weź spadaj z tym swoim żółtym pyskiem.

Nie chciałam uwierzyć, że znowu złapałam żółtaczkę. No bo to zupełnie zwariowana sprawa. Za każdym razem, jak naprawdę dłuższy czas nic nie brałam i miałam jakąś nadzieję, od razu wyskakiwała mi ta narkomańska choroba. Kiedy bóle brzucha stały się już prawie nie do zniesienia, pojechałam z mamą do kliniki Stieglitz. Chciałam właśnie tam, bo mają bezbłędne żarcie. Przesiedziałam w izbie przyjęć dwie godziny i skręcałam się na krześle z bólu. Każda z przechodzących pielęgniarek mogła się od razu zorientować po moim żółtym pysku, co jest grane. Ale one nic. W poczekalni było pełno ludzi, były dzieci. Gdybym miała zakaźną, mogłam ich wszystkich pozarażać.

Po dwóch godzinach wstałam i zaczęłam iść. Cały czas przy ścianie, bo byłam niesamowicie osłabiona, no i te potworne bóle. Zamierzałam dowlec się jakoś na oddział zakaźny, i kiedy natknęłam się na jakiegoś lekarza, powiedziałam - potrzebuję jakieś łóżko. Nie chcę tu wszystkich pozarażać. Bo jak pan być może raczył zauważyć, mam żółtaczkę. - On na to, że sam nie może mi tu nic pomóc. Muszę przez izbę przyjęć. No to powlokłam się z powrotem.

Kiedy w końcu przyjęła mnie jakaś lekarka, i, żeby nie było zbędnych pytań od razu jej powiedziałam, że dostałam żółtaczkę chyba od ćpania, to usłyszałam lodowate - Bardzo mi przykro, my się tym nie zajmujemy.

Zwyczajnie, narkomanami nikt się nie chce zajmować. No to z mamą z powrotem do taryfy. Mama okropnie klęła na lekarzy, że nic nie chcą dla mnie zrobić. Następnego dnia zawiozła mnie do szpitala Rudolf Virchow. Oczywiście strasznie mi to nie pasowało, bo przecież raz już od nich prysnęłam.

Przyszedł jakiś młody lekarz pobrać mi krew. Od razu pokazałam mu żyły, w które i tak nie ma sensu próbować: - Tu mam zrosty. Żyła nie do użytku. Musi pan wejść w tę pod spodem. Nie pionowo, trzeba ukośnie, inaczej się pan nie wkłuje.

Facet popatrzył niepewnie, ale jak było do przewidzenia i tak spróbował się wkłuć w tę żyłę ze zrostami. Ciągnął i ciągnął, a krwi ani śladu, przez tę próżnię w strzykawce igła zwyczajnie wyskoczyła mi z ciała. Potem już za każdym razem pytał mnie najpierw, gdzie się wkłuć.

Przespałam dwa dni. Żółtaczkę nie była zakaźna. Czwartego dnia próba wątrobowa była zupełnie niezła, mocz prawie normalny, twarz też powoli zaczęła mi bieleć.

Codziennie miałam dzwonić do poradni i dzwoniłam. Miałam przecież nadzieję, że wyślą mnie gdzieś od razu na leczenie. No a potem ta genialna wiadomość. Wypuścili Detlefa. Mama przyprowadziła go do mnie zaraz na najbliższe widzenie w niedzielę.

Wiadomo: wielka radość, uściski, buzi, pełna rozkosz. Chcieliśmy być chociaż chwilę sami i wyszliśmy do parku przy szpitalu. Mieliśmy wrażenie, że w ogóle nie było tej rozłąki. Ledwieśmy wyszli, a już siedzieliśmy w metrze, kierunek „rynek”. Zagrał też przypadek. Od razu trafiliśmy na znajomka, Wilhelm się nazywał, któremu się ułożyło jak rzadko. Mieszkał z jednym pedalem, bardzo znanym lekarzem i jednocześnie pisarzem. Ten lekarz nie dość, że dawał Wilhelmowi kupę szmalu, to jeszcze posyłał go do prywatnego gimnazjum.

No więc Wilhelm od razu odkopsnął nam działkę. Punktualnie na kolację byłam w szpitalu. Następnego dnia po południu znowu przyszedł Detlef. Tym razem mieliśmy duże kłopoty ze skołowaniem hery, tak, że wróciłam do szpitala dopiero o wpół do jedenastej wieczorem. Tymczasem próbował się ze mną spotkać ojciec, bo następnego dnia znowu miał lecieć do tej swojej Tajlandii.

Przy odwiedzinach mama znowu miała w oczach rozpacz. Czulałam się jak ostatnie bydlę. W dodatku przyszedł mój facet z poradni i powiedział w rozmowie, że chyba nie ma sensu cokolwiek ze mną robić. Przysięgłam sobie i im wszystkim, że naprawdę poważnie mi zależy, żeby przestać. Detlef też się rozplakał i powiedział, że to wszystko jego wina. Od razu zgłosił się do poradni. Jak przyszedł potem w niedzielę, to już wiedział, że od poniedziałku idzie na leczenie.

Powiedziałam: - Słuchaj, genialnie, że udało ci się to jakoś pchnąć. Teraz wszystko będzie naprawdę okay. Mnie też skierują gdzieś na leczenie. Na pewno, zobaczysz. Nigdy nie wrócimy w ten syf.

Poszliśmy do parku i powiedziałam: - Chodź, skoczymy na dworzec Zoo. Muszę tam sobie kupić jeden taki dreszczowiec. Dwa pierwsze zeszyty już czytałam, a trzeciego mama nigdzie nie może dostać.

Detlef na to: - Dobra, dobra, dlaczego akurat na dworzec, jakbyś nie mogła gdzie indziej? Powiedz od razu, że chcesz zaćpać.

Cholernie mnie wpieprzyło, że nagle udaje takiego ważniaka, który jak odwyk to na całego. Bo autentycznie nie myślałam o ćpaniu. Rzeczywiście chciałam sobie kupić trzeci zeszyt tego dreszczowca. Powiedziałam: - Coś ty, chory na płuca? Ja i ćpanie. Nie chcesz, to nie jedź.

Detlef oczywiście pojechał. W kolejce jak zwykle ten sam numer. Od razu ścięłam się z paroma babsztylami. Detlefowi jak zwykle się to nie podobało i poszedł na drugi koniec

wagonu. Jak zawsze w tej sytuacji wydarłam się na cały wagon: - Stary, nie masz co udawać, że mnie nie znasz. Każdy widzi, że nie jesteś lepszy ode mnie. - Potem znowu poszła mi krew z nosa. Od paru tygodni w metrze zawsze dostawałam krwotoku. Byłam tym wszystkim cholernie wkurzona i bez przerwy musiałam ścierać tę cholerną krew z twarzy.

Na szczęście dostawałam na dworcu tę swoją powieść. Od razu nastrój mi się poprawił i powiedziałam do Detlefa: - Chodź, połazimy sobie trochę. To twój ostatni dzień na wolności. - Oczywiście automatycznie poleźliśmy tam, gdzie są narkomani. Spotkaliśmy Stelle, spotkaliśmy obie Tyny. Stella znowu diabelnie się ucieszyła, że mnie widzi. Ale z Tinami było całkiem niedobrze. Obie na głodzie. Poszły ze Stellą na Kurfürstenstrasse, ale zapomniały, że jest niedziela. A w niedzielę po południu kompletnie nic tam nie można podłapać. Klienci wypuszczają się w tym czasie z żonami i dziećmi i nie mają głowy do tych rzeczy.

Czułam nawet coś jakby radość, że wyszłam już z tego bagna. Że nie muszę bać się głodu ani polować na jeleni. Już od paru tygodni nie miałam żadnego klienta. Czułam się lepsza od innych i byłam autentycznie zadowolona, aż nawet za bardzo. Myślałam sobie: Dziewczyno, po raz pierwszy łazisz sobie między narkomanami i nie masz chłocy, żeby sobie władować.

Staliśmy na przystanku autobusowym koło dworca Kurfürstendamm. Obok nas dwóch kasztanów, którzy ciągle na mnie mrugali. Pewnie mimo żółtaczki wyglądałam jednak najbardziej świeżo z całej czwórki, no bo w końcu przez dosyć długi czas właściwie prawie nic nie brałam. Nie miałam też na sobie narkomańskich łachów, tylko normalne ciuchy nastolatki, które pożyczyłam od siostry, bo także zewnętrznie chciałam się różnić od narkomanów. W szpitalu ścięłam sobie nawet dosyć sporo włosy.

Kasztany nie przestawały na mnie mrugać. Spytałam obie Tyny: - Jak chcecie, to mogę ich wam przygadać. Nawet jak traficie tylko cztery dychy, to wypadnie wam chociaż po pół działki na twarz. Tinom było absolutnie wszystko jedno, taką już miały chłocę. No to kompletnie na luzie podchodzę do kasztanów i mówię: - Chcecie te dwie? Ja pytać dla was. Pięćdziesiąt marek. Capito? - Pokazałam na Tyny.

Kasztany wyszczerzyły się głupio i mówią: - Nie, ty dupa, ty hotel. Byłam na pełnym luzie, w ogóle mnie to nie wpieprzyło, tylko mówię: - O nie, nawet nie ma mowy. Ale dziewczyny duża klasa. Czternaście lat. Tylko pięćdziesiąt marek. - Młodsza Tina rzeczywiście miała dopiero 14 lat.

Kasztany się zaparły. Zresztą, jak się przyjrzałam obu Tinom, to nawet się nie dziwiłam. Na głodzie Tyny rzeczywiście nie wyglądały za bardzo apetycznie. Wróciłam do dziewczyn i powiedziałam, że tak to nic z tego nie będzie. A potem diabeł mnie podkuśił.

Wzięłam Stellę na bok i mówię: - W tym stanie Tyny i tak nie mają szans nic podłapać. A już na pewno nie kasztanów. Chodź, pójdziemy razem z nimi. We dwie podhajcujemy tych pacanów ile wlezie, a Tyny szybko zrobią resztę. One i tak się dymają z klientami. Zażądamy stowę i kupimy pół grama.

Stella od razu się zgodziła. A przecież podobno dla nas obu kasztany to było już ostatnie dno. W każdym razie żadna z nas nie przyznałaby się drugiej, że miała kiedykolwiek coś z kasztanem.

Podeszłam do obu Tinek, powiedziałam im, co wymyśliłam, i obie od razu były gotowe się dymać. Tylko Detlef się wkurwił i powiedział: - To co, znowu idziesz zarobić? - Ja na to: - Daj spokój. W ogóle palcem nie kiwnę. Przecież jest nas cztery. - Wyobrażałam sobie, że wszystko robię tylko i wyłącznie z litości nad Tinami. Może i było w tym trochę litości, ale podświadomie szukałam jakiejś okrzężnej drogi, żeby dorwać się do hery.

Powiedziałam do całej reszty, że trzeba iść do pensjonatu „Norma” przy Nurnberger Strasse, bo tam są największe pokoje. Gdzie indziej w szóstkę nawet by nas nie wpuścili do pokoju. Potem poszliśmy. Nagle przypałał się skądś trzeci kasztan. Tych dwóch wyjaśniło: - Kolega. Też hotel.

Na razie nic nie mówimy, tylko zainkasowałyśmy stowę. Stella z jednym kasztanem poszła po towar. Znała jednego handlarza, który sprzedawał największe połówki ze wszystkich. Kiedy wrócili z herą, poleźliśmy dalej całą ósemką przez Tauentzien. Przodem my we cztery i Detlef, wszyscy pod ręce. Wymiataliśmy cały chodnik. Za nami tych trzech kasztanów.

Ale sytuacja była troszkę napięta. Tyny chciały dostać hery. Stella ani myślała dać. Oczywiście bała się, że Tyny dadzą dyla. Poza tym chciałyśmy się pozbyć jakoś tego trzeciego kasztana, który w ogóle nie był przez nas zaplanowany.

Stella odwróciła się, pokazała palcem na tego trzeciego i powiada: - Jak ten kasztan z nami, to my nic. - Potrafiła powiedzieć do Turka „kasztan”.

Ale tych trzech zdążyło się już pokumać i wcale się nie przejęli. Stella powiedziała, że w takim razie trzeba ich zwyczajnie wyrolować i dać nogę. Początkowo nie miałam nic przeciwko temu, bo miałam na nogach płaskie buty. Po raz pierwszy od co najmniej trzech lat założyłam buty bez obcasa. Też pożyczone od siostry. Ale potem zaczęłam się łamać. Powiedziałam: - Na pewno kiedyś ich znowu spotkamy i sprawa się rypnie. - Zwyczajnie zapomniałam, że miało to być moje ostatnie popołudnie w tym bagnie.

Stella była zła. Została trochę z tyłu i próbowała jeszcze raz przekonać kasztanów. Akurat przechodziliśmy pod kładką dla pieszych przy Europa-Center. Kiedy za nami zrobiło

się dziwnie cicho, odwróciłam się. Patrzę, a Stelli nie ma. Jakby się zapadła pod ziemię. Z całym towarem. Kasztany też to zauważyły i zaczęły się denerwować.

Pomyślałam tylko: Cała Stella. Poczułam straszną wściekłość. Pomyślałam, że mogła zwiać tylko do Europa-Center i pognałam na górę schodami przejścia dla pieszych. Detlef za mną. Tyny już nie zdążyły. Kasztany je dorwali. Jak wariatka latałam po Europa-Center. Ja prawą, Detlef lewą stroną. Ani śladu Stelli. Ja też jej nie znalazłam, w dodatku miałam wyrzuty sumienia ze względu na Tyny. Widziałam, jak Turcy powlekli je do pensjonatu, i czekałam potem na dworze, aż Tyny skończą wreszcie tę parszywą robotę. Chciałam, żeby przynajmniej dostały po tej działce, na którą się tak napalały. Domyślałam się, gdzie może być Stella. Pojechałam z jedną Tiną na dworzec metra przy Kurfürstendamm. Nic się tam prawie nie działo, bo o tej porze wszystkie ćpuny przenoszą się na górę, do „Cieplarni” przy Kurfürstendamm. Ale nam chodziło tylko o Stellę i poszliśmy prosto do dworcowego szaletu. Ledwieśmy weszły w drzwi, od razu usłyszałam Stellę w akcji. Właśnie komuś bluzgała. W tym szalecie jest od cholery drzwi, ale od razu wyczułam, w którym sraczu siedzi Stella. Zaczęłam walić pięściami w drzwi kabiny i wrzeszczeć: - Stella, natychmiast otwieraj, bo ci przyłożę!

Drzwi od razu otworzyły się gwałtownie. Wyszła Stella. Mała Tina od razu przylutowała jej w pysk. Stella, kompletnie przymulona, powiedziała: - Macie tu całą swoją działkę. Nic z tego nie chcę. - I zmyła się.

Oczywiście to było gównem prawda. Stella od razu władowała sobie połowę tego, co było, żebyśmy jej nie mogły zabrać. Razem z obiema Tinami zmieszałyśmy do kupy resztkę z połówki grama razem z tym, co zdążyliśmy już dokupić, i podzieliłyśmy sprawiedliwie między siebie.

Po odtruciu starczyło mi tego aż znanadto. Miałam kłopoty z wstaniem z kibla.

Pojechałyśmy do „Cieplarni”. A tam znowu Stella w akcji. Właśnie pośredniczyła dla jednego handlarza. My zaraz do niej: - Ej, ty, jesteś nam jeszcze winna ćwiartkę. - Dała nam bez gadania. Widać miała trochę wyrzutów sumienia.

Powiedziałam: - Jesteś ostatnie bydłę. Nie chcę mieć z tobą więcej nic wspólnego.

Poszłam do „Cieplarni”, władowałam co moje z tej działki od Stelli i kupiłam sobie colę. Siedziałam samotnie w jakimś kącie. To były pierwsze chwile od wczesnego popołudnia, że mogłam sobie trochę odetchnąć. Przez moment miałam nadzieję, że przyjdzie Detlef. Potem zrobiło się już za późno. No i zaczęłam rozmyślać.

Początkowo było całkiem niewinnie. Myślałam sobie: Co za kurewski fart. i Najpierw robi cię w konia twój jedyny przyjaciel, potem twoja najlepsza przyjaciółka. Bo między

ćpunami nie ma przyjaźni. Jesteś kompletnie sama. Zawsze jesteś sama. Wszystko inne to urojenie. Cała ta szarpanina dzisiaj o głupią działkę. To przecież nic nadzwyczajnego. Codziennie jest to samo.

To był taki przebłysk zrozumienia. Miałam czasem takie przebłyski. Ale tylko jak byłam nagrzana. Jak nie nie wzięłam, to byłam kompletnie niepoczytalna. Dzisiejszy dzień dostarczył wystarczających dowodów.

Rozmyślałam sobie dalej. Nie było żadnego dramatu. Byłam całkiem spokojna, bo przecież władowałam sobie hery ile trzeba. Do szpitala nie wróciłam. Było już po jedenastej wieczorem.

I tak by mnie zresztą stamtąd wykopali i żaden szpital już by mnie nie przyjął.

Lekarka powiedziała mamie, że jestem o krok od marskości wątroby. Jak tak dalej pójdzie, to nie pociągnę dłużej niż dwa lata. Z „Drogen-info” koniec. Nie miałam po co do nich dzwonić, bo byli w stałym kontakcie ze szpitalem. Zresztą słusznie, że nie przyjmują takich jak ja. W końcu w Berlinie jest tylu narkomanów, którzy chcą się leczyć, a tak mało miejsc. Jasna sprawa, że miejsca dostaną tylko ci, co mają wystarczająco dużo siły, znaczy, że można liczyć, że naprawdę wyjdą z nałogu. A ja do takich na pewno nie należę. Chyba po prostu trochę za wcześnie zaczęłam, żeby jakoś móc się wyrwać.

Byłam zupełnie świadoma. Całkiem na zimno robiłam ten bilans, pijąc przy tym colę. Rozumowałam całkiem praktycznie. Gdzie mam iść na dzisiejszą noc? Mama zatrzęsłaby mi drzwi przed nosem. Albo następnego dnia rano wezwałaby policję, żeby wsadzili mnie do zakładu wychowawczego. W każdym razie ja bym tak na jej miejscu zrobiła. Ojciec w Tajlandii. Stella nie wchodziła w rachubę. Co do Detlefa, to nie miałam nawet pojęcia, u którego klienta będzie dziś nocował. Albo jeśli faktycznie mówił serio z tym odwykiem, to jest u ojca. A jutro i tak wybywa na leczenie. Czyli, że nawet nie mam gdzie przekimac. Ani tej nocy, ani następnej.

Ostatnim razem, kiedy tak trzeźwo rozważałam swoją sytuację, to doszłam do tego, że mam tylko dwie drogi: albo ostatecznie rzucić ćpanie, albo „złoty strzał”. A teraz niestety tej pierwszej już nie było. W końcu pięć czy sześć odwyków bez najmniejszego rezultatu to chyba wystarczy. Nie byłam ani lepsza, ani gorsza od innych ćpunów. W końcu dlaczego akurat ja mam się zmieścić w tych paru procentach ludzi, którzy wychodzą z nałogu? Przecież nie jestem żadna nadzwyczajna. Poszłam na Kudamm i pojechałam na Kurfürstenstrasse. Jeszcze nigdy nie byłam tam na zarobku. Ćpunki nie łążyły tam po nocy, bo za dużo się tam kręci zawodowych kurew. W ogóle się nie bałam. Bardzo szybko obskoczyłam dwóch klientów i wróciłam do „Cieplarni”. Miałam sto marek i kupiłam sobie pół grama.

Nie chciałam iść do szaletu w „Cieplarni” ani na dworcu Kurfürstendamm. Za duży był tam w nocy ruch. Kupiłam jeszcze jedną colę i zastanawiałam się, do jakiego szaletu pójść. Przyszedł mi do głowy ten przy Bundesplatz. W nocy nie ma tam żywego ducha. Rano też jest tam właściwie całkiem spokojnie.

Poszłam piechotą do Bundesplatz. Nie bałam się. Byłam całkiem spokojna. Taki pusty szalet nocą ma w sobie właściwie coś niesamowitego. Ale jakoś tak było mi tam przytulnie. Czysto, jasno. Wszystko dla mnie jednej. Szalety przy Bundesplatz są najlepsze w całym Berlinie. Kible są olbrzymie. Kiedyś wleźliśmy w sześć osób do jednej kabiny. Drzwi nie mają na dole szpary, tylko dochodzą do samej posadzki. I nie ma dziur w ścianach. Ponieważ szalety przy Bundesplatz są najlepsze w Berlinie, już paru ćpunów się tam załatwiło.

Żadnych babsztyli, podglądaczy, gliniarzy. Nie było powodu do pośpiechu. Nic mnie nie gnało. Umyłam twarz, wyszczotkowałam włosy, dopiero potem wyplukałam sprzęt pożyczony od Tiny. Byłam pewna, że pół grama wystarczy. Po ostatnich odtruciach zawsze starczyło ćwierć, żeby mnie znokautować. Teraz miałam już w sobie ponad ćwierć. A żółtaczką musiała dosyć osłabić mi organizm. Wolałabym oczywiście cały gram, Atze załatwił się jednym gramem. Ale nie miałam siły na jeszcze dwóch klientów.

Spokojnie wyszukiwałam sobie najczystsza kabinę. Autentycznie byłam kompletnie spokojna. Nie bałam się. Nigdy bym nie przypuszczała, że samobójstwo może być tak mało dramatyczne. Nie zastanawiałam się nad dotychczasowym życiem. Nie myślałam o matce. Nie myślałam o Detlefie. Myślałam tylko o tym, że zaraz sobie właduję.

Jak zawsze rozłożyłam swoje szpargały po kiblu. Wsypałam działkę na łyżkę, którą też dostałam od Tiny. Na moment przyszło mi do głowy, że teraz z kolei ja wyroluję Tinę. Bo ona siedziała w „Cieplarni” i czekała na swój sprzęt. Potem zauważyłam, że nie mam cytryny. Ale towar był dobry, więc się rozpuścił i bez tego.

Poszukałam żyły na lewym przedramieniu. Wszystko było właściwie jak zawsze przy ładowaniu. Tyle, że teraz to miał być naprawdę ostatni raz. Przy drugiej próbie weszłam w kanał. Pokazała się krew. Władowałam te pół grama. Nie dałam rady jeszcze raz wyciągnąć tłoka, żeby władować to, co ewentualnie zostało w strzykawce. Najpierw poczułam, jakby mi coś rozrywało serce, a potem, że normalnie wywała mi górną część czaszki.

Kiedy się ocknęłam, na dworze było już jasno. Samochody hałasowały jak diabli. Leżałam obok srcza. Wyciągnęłam pompkę z przedramienia. Chciałam wstać i wtedy poczułam, że prawą nogę mam jakąś sparaliżowaną. Mogłam nią trochę ruszać, ale piekielnie mnie wtedy bolało w stawach. Zwłaszcza w biodrowym. Jakoś udało mi się otworzyć drzwi. Najpierw lazałam na czworakach, potem udało mi się jakoś podnieść. Skakałam na jednej

nodze, trzymając się ściany.

Pod szaletem stało dwóch chłopczków, takich po piętnaście lat. Satynowe marynary, obcisłe dzinsy. Dwa małe pedałki. Ucieszyłam się, że pedały. Normalnie w ostatniej chwili mnie podtrzymali, kiedy jak widmo wylazłam kuśtykając z kibla. Od razu skapowali, co jest, i jeden powiedział: - Dziewczyno, co ty wyrabiasz? - Nie znałam ich, ale oni mnie znali z dworca. Zaprowadzili mnie na jakąś ławkę. Był niesamowicie zimny październikowy ranek. Jeden dał mi marlboro. Pomyślałam: Śmieszna rzecz, że wszystkie pedały palą marlboro albo camele. To pewnie przez te reklamy z pedałowatymi typami. Jakoś tak w środku cieszyłam się, że nie wypaliło z tą połówką grama.

Opowiedziałam tym chłopakom, jak mnie Stella wyrolowała i, że władowałam sobie pół grama. Byli strasznie mili. Zapytali, gdzie mają mnie zawieźć. Zjeżyło mnie to pytanie, bo nie chciałam się nad tym zastanawiać. Powiedziałam, żeby mnie zostawili na tej ławce. Ale trzęsłam się z zimna i oni powiedzieli, że muszę do lekarza, bo przecież nawet nie mogę chodzić.

Nie chciałam żadnych lekarzy. Oni powiedzieli, że znają jednego bezbłędnego faceta, lekarza, też pedała, do którego mogliby mnie zawieźć. Uspokoilo mnie, że to pedał. Bo w takich sytuacjach więcej miałam zaufania do pedałów. Chłopcy złapali taryfę i zawieźli mnie do tego lekarza. Facet był rzeczywiście bezbłędny. Od razu zapakował mnie do łóżka i zbadał. Chciał ze mną pogadać o ćpaniu i tak w ogóle, ale ja już z nikim nie chciałam gadać. Poprosiłam, żeby mi dał tabletki nasenne. Dał mi jedną nasenną i parę jakichś innych.

Zaraz wyskoczyła mi ta moja gorączka i zaczęły się krwotoki z nosa. Następne dwa dni prawie cały czas spałam. Kiedy trzeciego dnia bańka znowu zaczęła mi normalnie pracować, nie mogłam tego wytrzymać. Nie chciałam się nad niczym zastanawiać. Musiałam się zdrowo sprężyć, żeby nie zacząć główkować i nie dostać świra. Skupiłam się na dwóch myślach: Pan Bóg nie chciał, żebyś się teraz przekreśliła. Następnym razem wezmiesz bankowo cały gram.

Chciałam wyjść do ludzi, skołować działkę, pokręcić się, o niczym nie myśleć, aż do prawdziwego „złotego strzału”. Ciągłe jeszcze nie mogłam całkiem normalnie chodzić. Ten lekarz pedzio naprawdę strasznie się mną przejął. Kiedy skapował, że mnie już nie utrzyma w domu, skombinował mi kule. Wyprułam od niego o kulach, a po drodze od razu je wypieprzyłam. Nie chciałam wlaźić między swoich o kulach. Jak się sprężyłam, to mogłam kuśtykać i bez tego.

Dokuśtykałam do dworca Zoo i na początek zrobiłam paru klientów. Między innymi był jeden kasztan. Wprawdzie nie Turek tylko Grek. W końcu, tak właściwie, to nic do

kasztanów nie miałam. A ta śmieszna umowa honorowa pomiędzy Babsi, Stellą i mną, że nigdy nie zrobimy tego z kasztanem, kompletnie mnie przestała obchodzić. Wszystko mnie przestało obchodzić.

Może miałam też cichą nadzieję, że przyjdzie na dworzec moja mama, żeby mnie szukać. Jakby mnie szukała, to przyszlaby na dworzec. Chyba dlatego nie poszłam na Kurfürstenstrasse. Ale tak właściwie, to czułam, że teraz to mnie już nikt nie będzie szukał. I przez chwilę pomyślałam sobie, jak to było pięknie, kiedy mama jeszcze na mnie czekała.

Kupiłam działkę, władowałam i wróciłam na dworzec. Musiałam mieć forszę na wypadek, gdybym nie załapała się do żadnego jelenia na noc i musiała iść do hotelu.

Wtedy spotkałam na dworcu Rolfa, dawnego stałego klienta Detlefa, u którego często nocowałam w weekendy. Przez ostatnie tygodnie Detlef znowu mieszkał u Rolfa. Ale Rolf nie był już klientem. Od dawna już sam ćpał i łąził na dworzec na zarobek. Dostyc ciężko mu było coś trafić, bo miał już ze dwadzieścia sześć lat. Zapytałam go o Detlefa. Rolf normalnie się wtedy rozbeczał. Powiedział, że tak, Detlef rzeczywiście jest na leczeniu. I, że kurewsko się żyje bez niego. Rolf uważał takie życie za bezsensowne, też chciał iść na odwyk, kochał Detlefa, chciał się zabić. Takie zwykłe pieprzenie każdego ćpuna. Ta gadka o Detlefie trochę mnie wpieniła. Nie mogłam pojąć, o co temu spsialemu pedałowowi chodzi. Przecież on zupełnie poważnie chciał, żeby Detlef rzucił w cholerę leczenie i do niego wrócił. Nawet dał mu klucz do mieszkania. Jak to usłyszałam, mało mnie szlag nie trafił, i mówię: - Jesteś głupi, parszywy kutas. Dawać Detlefowi klucz, żeby od razu wiedział, gdzie może przysnąć, jak będzie miał kryzys na leczeniu. Jakbyś go naprawdę kochał, to byś zrobił wszystko, żeby Detlef z tego wyszedł. Ale ty jesteś zwykły, zaszany pedał.

Rolf był na głodzie, więc bez trudności mogłam go wykończyć. Ale zaraz zrobiłam się trochę milsza, bo wpadłam na pomysł, że mogę przecież u niego zanocować. Powiedziałam mu, że jak mi się da u siebie przekimać, to obskoczę jednego klienta dla niego i kupię mu działkę. Rolf był wniebowzięty, że chce u niego nocować. Bo on znał w ogóle tylko dwoje ludzi: Detlefa i mnie.

Spałam z nim potem na tym jego francuskim łóżku. Właściwie godziliśmy się bez problemów, bo nie było Detlefa. Tak naprawdę to Rolf był w tym wszystkim niesamowicie biedny, chociaż się nim brzydziłam.

Śmieszne: dwoje kochanków Detlefa leży sobie we francuskim łóżku i Rolf co wieczór truje to samo o Detlefie, jak bardzo go kocha. Regularnie przed zaśnięciem się rozklejał i beczał. Wkurwiała mnie to, ale trzymałam głowę na kłódkę, bo potrzebowałam tego miejsca w jego łóżku. Nic nie mówiłam nawet wtedy, kiedy Rolf zaczął pieprzyć, że jak obaj

wyjdą z nałogu, to urządzi Detlefowi piękne mieszkanie. I tak mi już wszystko wisiało dokumentnie. Poza tym dotarło do mnie w którymś tam momencie, że przecież oboje z Detlefem mamy Rolfa na sumieniu. Jakby nas nie spotkał, toby został sobie zwykłym, nieszczęśliwym, samotnym pedakiem, pracowałby sobie jako operator dźwigu i od czasu do czasu zapijałby te swoje smutki.

Gdzieś tak przez tydzień tylko klient, działka, klient, działka, a w nocy zawodzenia Rolfa. Któregoś dnia rano obudziłam się dosyć wcześnie, bo ktoś otworzył drzwi do mieszkania i tłukł się po przedpokoju. Myślałam, że to Rolf, i wydarłam się: - Ciszej, do cholery, spać nie można. - Wtedy w drzwiach stanął Detlef.

Padliśmy sobie w objęcia, niesamowita radość. Nagle kojarzę: - Ty, słuchaj, wypieprzyli cię z ośrodka. - Przytaknął i wyjaśnił dlaczego.

Jak każdy z nowo przyjętych Detlef też miał na początek przez trzy tygodnie budzenie. Dla ćpuna jest prawie niewykonalne, żeby być punktualnym. Wstawać rano zawsze o tej samej porze i od razu do roboty, znaczy budzić całą resztę, to jest najtrudniejsza rzecz, jakiej można wymagać od ćpuna. Dlatego właśnie to robią w ośrodkach, żeby na tych paru miejscach zostali tylko tacy, co rzeczywiście mają jeszcze siłę. Detlef w każdym razie nie wydolił, trzy razy zaspał i musiał zwijać manełe.

Detlef mówił, że nawet mu się tam podobało. Wprawdzie było dosyć ostro, ale następnym razem jakoś to pchnie do przodu. Chciał teraz możliwie mało brać i jeszcze raz ubiegać się o miejsce. Powiedział, że było tam paru ludzi, których znaliśmy. Na przykład taki Frank, którego kumpel Ingo właśnie się przekreślił. Miał czternaście lat. Jak Babsi.

Zapytałam Detlefa, co teraz zamierza, a on mówi: - Najpierw jakaś działeczka. - Poprosiłam, żeby przyniósł też dla mnie. Za dwie godziny był z powrotem. Przeprowadził dawnego klienta, który nazywał się Piko. Piko wyjął z kieszeni plastikową torebkę i postawił na stole. Myślałam, że źle widzę. Plastikowa torebka pełna hery. Dziesięć gram. Nigdy w życiu nie widziałam tyle hery naraz. Jak już przestałam się dziwić, zapytałam Detlefa: - Co ty, zgłupiałeś? Dziesięć gramów trzymać w domu?

On na to - Bynajmniej. Zaczynam handlować.

Zapytałam: - A pomyślałeś już może o gliniarzach? Jak cię jeszcze raz dupną, to masz murowany wyrok. I parę latek z głowy.

Detlef na to: - Nie mam czasu zawracać sobie głowy gliniarzami. Muszę zacząć główkować, jak tu stanąć na nogi. I przestań mi przynudzać.

Od razu zaczął scyzorykiem dzielić porcje i odsypywać je na małe prostokąci staniolu. Papierki wydawały mi się o wiele za małe. Powiedziałam: - Słuchaj, stary, ludzie aż

się proszą, żeby ich kantować. Musisz robić większe paczuszki, wsypywać tyle hery, co teraz i porządnie to rozwałkować. Wygląda wtedy na więcej. Ludzie kalkulują na oko. Przypomnij sobie proszki do prania. Wielkie opakowanie, a w środku tylko dwie trzecie proszku.

Detlef na to: - Przestań mi przynudzać. Specjalnie daję dużo. I ludzie to zauważą. Wtedy wszyscy będą wiedzieli, że u mnie porcje są większe niż normalnie.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, żeby go zapytać: - Ty, słuchaj, czyj to właściwie towar? - Oczywiście dostał od Piko, tego drobnego łajdaczka. Piko utrzymywał się dotychczas z włamów do biur. A teraz właśnie wyszedł warunkowo z kicia i chciał zrobić szybką forszę wykorzystując dobrodusznego naiwniaka, jakim był Detlef. Towar dostał od alfonsów z Potsdamer Strasse. Stare znajomości spod celi. Piko kupił na takich warunkach jak dostawcy. Tyle, że nie chciał sam rozprowadzać, tylko zostawił to Detlefwowi. Bo sam nie miał zielonego pojęcia o herze i ćpunach. On tylko chlał.

Jak Detlef skończył porcjowanie, policzyliśmy ćwiartki, połówki i jednogramówki, które porobił. Nigdy nie byłam dobra z rachunków, ale jeszcze przed Detlefem wyliczyłam, że wszystko razem daje tylko osiem gram. Zamiast troszeczkę mniej, ładował w paczuszki o wiele za dużo. Jakby to tak rozprowadził, toby musiał dopłacić za dwa gramy. Czyli znowu wszystko z powrotem do przezroczystej torebki. Przy tym oczywiście coś tam zawsze zostaje na papierkach. Pozwolił mi to zdrapać do mojego własnego użytku.

Detlef zaczął teraz robić duże paczuszki i jak wariat rozwałkowywał to jeszcze butelką od piwa, żeby wyglądało na więcej. Robił tylko ćwiartki i w końcu faktycznie miał dwadzieścia pięć sztuk.

Dwie paczuszki władowaliśmy sobie sami, żeby sprawdzić, co to za towar. Hera była naprawdę okay. Zaraz wieczorem poleźliśmy z tym wszystkim do „Cieplarni”. Większą część towaru wzięliśmy i zadekowali. Zakopaliśmy przy pojemnikach na śmieci za dyskoteką. Zawsze mieliśmy przy sobie co najwyżej trzy paczuszki. Jakby była jakaś oblawa, toby nas nie dupnęli od razu jako handlarzy. Szło całkiem niezle. Od razu pierwszego wieczora rozprowadziliśmy pięć gram. Zaraz rozeszło się po ludziach, że towar jest dobry, a porcje przyzwoite. Tylko Stella oczywiście mówiła wszystkim, że jest do kitu. Ale potem i tak przyszła w łachę i chciała pomagać. A ja, głupia krowa, zgodziłam się. Za pięć połówek, które pomogła spuścić, dostała od nas połówkę. Tylko, że przez to dla nas samych nic już nie zostało. Bo Piko oczywiście nie dawał nam za robotę żadnej forsy. Jak sprzedaliśmy dziesięć gram, to półtora grama było dla nas. Ale musieliśmy z tego opłacić jeszcze pomocników. Czyli, że ostatecznie uzbierało się nam tylko na jedną dzienną porcję.

Piko rozliczał się z nami co rano. Wieczorem mieliśmy najczęściej w kasie około dwu

tysięcy marek. Dla Piko było to tysiąc marek czystego zysku, bo przebicie w cenie od pośrednika do drobnego handlarza wynosi sto procent. My mieliśmy z tego tylko swoje półtora grama. W dodatku Piko nic nie ryzykował, chyba, żebyśmy go przypułowali.

Ale tu Piko już się zabezpieczył. Zagroził, że jeśli nas kiedyś przyskrzynią i powiemy choćby słowo na ten temat, to od razu możemy szykować sobie trumnę. Jego kumple z Potsdamer Strasse już nas załatwią. Nawet w kiciu potrafią nas dorwać. Wszędzie mają swoich ludzi. Groził nam alfonsami także na wypadek, jakbyśmy próbowali zrobić go w konia z forszą. Wierzyliśmy w każde słowo. I bez tego diabelnie się bałam alfonsów. Przynajmniej od czasu, jak storturowali Babsi.

Detlef nie chciał zrozumieć, że ten jego Piko niesamowicie nas żyłuje. Twierdził: - O co ci chodzi? Najważniejsze, że nie musisz już łązić na zarobek. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek musiała do tego wrócić. Ja też mam już dosyć tych pierdolonych jeleni. No więc, jaka rozmowa?

Większość tych, co rozprawdzali towar, miała tak samo jak my. Nigdy nie mogli uskładać tyle forsy, żeby kupić dziesięć gram u pośrednika. Poza tym nie mieli dojścia. No bo jak tu złapać kontakt z alfonsami z Potsdamer Strasse? Tak, że drobni handlarze, którzy sami są nałogowcami, najczęściej potrzebują kogoś, kto ich opłaci herą. Właśnie oni wcześniej czy później wszyscy łądownali w pudle. Do facetów w rodzaju Piko gliny już nie docierały. A taki facet nie ma najmniejszych problemów ze znalezieniem nowego sprzedającego, jak mu gliny paru zwiną. Prawie każdy ćpun gotów był sprzedawać za dwie działki dziennie.

Z handlem pod „Cieplarnią” już po paru dniach zaczęła się robić śmierdząca sprawa, bo tam jest bez przerwy kupa tajniaków. Zresztą i bez tego nie mogłam już wytrzymać napięcia. Zorganizowaliśmy to wtedy inaczej. Ja zostałam pod „Cieplarnią” i nagrywałam sobie kupców, a Detlef urzędował na dworcu Steglitz. Jak trafił mi się chętny na herę, to podsyłałam go Detlefowi na dworzec.

Gdzieś w tydzień potem, kiedy Detlef znowu zaczął jednak kręcić się pod „Cieplarnią” z towarem w kieszeni, nagle zatrzymał się przy nim jakiś wóz i facet z tego wozu zapytał, jak dojechać na dworzec Zoo. Detlef tak się spanikował, że od razu zaczął uciekać. Towar rzucił gdzieś w krzaki.

Jak się zaraz potem znowu spotkaliśmy, Detlef twierdził na sto procent, że ten facet, co go zapytał, jak dojechać do dworca Zoo, to gliniarz. Bo przecież nie ma siły, żeby ktoś nie wiedział, gdzie jest ten dworzec.

Sprawa była parszywa. Na razie w każdym facecie, który kręcił się po Kudammie, węszyliśmy gliniarza. Nie mieliśmy nawet odwagi poszukać towaru, który Detlef wyrzucił.

Wydawało nam się, że gliny tylko na to czekają i zaraz nas zwiną.

Poszliśmy do „Athener Grill”, żeby się naradzić. Nie mogliśmy się następnego dnia rozliczyć z Piko, bo przecież straciliśmy towar. I tak by nam nie uwierzył w tę historię. Wpadłam potem na pomysł, żeby mu powiedzieć, że wyrolowały nas jakieś kasztany. Że to kasztany zabrały nam cały towar i wszystką forszę. Powiedziałam: - Afera będzie tak czy tak. Więc możemy spokojnie wydać całą forszę, którą już mamy. W końcu uważam, że to kurewstwo, że nie mamy z tego żadnej doli, a ten głupi palant zarabia na nas codziennie tysiąc marek. Muszę sobie kupić jakieś łachy. W ogóle nie mam nic ciepłego. Nie mogę całą zimę łązić w ciuchach, w których prysnęłam ze szpitala.

Nie byliśmy stworzeni na handlarzy. Detlef nie chciał tego zrozumieć. W końcu zrozumiał przynajmniej tyle, że to zupełnie wszystko jedno, czy oddamy Piko te dwie stówy, czy w ogóle nic.

Następnego dnia zaraz rano poszliśmy na pchli targ. Jak mi się jakiś łach podobał, to najpierw przymierzał Detlef, a potem ja. Chcieliśmy kupić tylko takie rzeczy, które możemy nosić oboje, żeby w razie potrzeby się wymieniać. W końcu kupiłam starą czarną kurtkę z królików, w której Detlef bardzo przyjemnie wyglądał. Potem kupiliśmy jeszcze perfumy, zegar z pozytywką i parę innych rupiec. Nie udało nam się wydać całej forsy, bo nie mogliśmy się zdobyć, żeby kupować bez pojęcia jakieś drogie gówna.

Ledwie wróciliśmy do mieszkania Rolfa, przyszedł Piko. Detlef powiedział, że jeszcze dzisiaj nic nie brał i, że musi sobie włądować, zanim się rozliczy. Oczywiście to nie była prawda, bo jak zwykle włądowaliśmy sobie zaraz, jak tylko wstaliśmy. Detlef miał cykora przed tą całą szopką z Piko.

Piko powiedział „okay” i zabrał się do czytania mojego dreszczowca. Detlef włądował sobie pół grama i od razu zasnął, nawet nie zdążył wyjąć igły z żyły.

Nawet się nie zdziwiłam, że kima, bo przecież całkiem niedawno walnął sobie też z pół grama. Wyciągnęłam mu igłę z przedramienia, bo wkurwiło mnie, że tak po prostu ją zostawił, chociaż wiadomo, że krew krzepnie w igle i wtedy nie ma jej potem jak wyczyścić. W dodatku to nasza ostatnia strzykawka. Kiedy potem przecierałam mu ślad po igle watką z alkoholem, zauważyłam, że w ogóle nie czuję oporu. Jak mu podniosłam rękę, to opadła kompletnie bezwładnie. Zaczęłam potrząsać Detlefem, żeby go obudzić. Wtedy zsunął się bezwładnie z fotela. Twarz miał popielatą, wargi sine. Rozerwałam mu koszulę i próbowałam posłuchać, czy bije serce. Ale nic nie słyszałam.

W majtkach i w koszuli wyleciałam na korytarz. Piko krzyknął za mną: - Nie rób żadnych numerów! - Zadzwoiłam do drzwi jakiejś rencistki i powiedziałam jej, że muszę

natychmiast zawiadomić policję. Dzwonię do glin i mówię: - Mój chłopak nie oddycha. Przedawkował. - Podałam glinom adres, a tu wpada Piko i wrzeszczy: - Zostaw, już jest przytomny. - No to ja do gliniarza: - Nie, już nie trzeba. Falszywy alarm. - I odłożyłam słuchawkę.

Detlef leżał na plecach i oczy miał otwarte. Piko zapytał, czy gadałam coś przez telefon o narkotykach i czy podałam adres. Ja na to: - Nie, niezupełnie. Chyba nie skapowali, o co chodzi.

Piko powiedział: - Jesteś głupia, zasrana histeryczka. - Zaczął się strasznie śpieszyć, bił Detlefa po twarzy i kazał mu natychmiast wstawać. Powiedziałam, żeby zostawił go w spokoju. Wtedy się rozdarł na mnie: - Stul mordę, głupia krowo, i przynieś wody. - Kiedy wróciłam z kuchni, Detlef stał już o własnych siłach i Piko coś mu klarował. Niesamowicie się ucieszyłam, że już może stać, i chciałam go objąć. Wtedy Detlef normalnie mnie odepchnął. Piko spryskał mu twarz wodą i powiedział: - Chodź, mały, musimy iść.

Detlef dalej był zupełnie popielaty na twarzy i ledwie trzymał się na nogach. Powiedziałam mu, żeby się położył. Piko wrzasnął znowu: - Stul mordę! - A Detlef: - Nie mam czasu. - Piko podtrzymywał Detlefa i wyszli razem z mieszkania.

W ogóle już nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Cała się trzęsłam. No bo przez chwilę autentycznie myślałam, że Detlef nie żyje. Położyłam się do łóżka i próbowałam skupić się nad swoim dreszczowcem. Wtedy ktoś zadzwonił do drzwi. Wyjrzałam przez judasza. Gliny.

Kompletnie straciłam głowę. Zamiast prysnąć przez okno, otworzyłam drzwi. Powiedziałam, że to ja do nich dzwoniłam, że mieszkanie należy do jednego pedała, który właśnie wyjechał. I, że dzisiaj rano przyszło jakichś dwóch młodych chłopaków, wstrzyknęli sobie coś w ramię, jeden z nich upadł, no i właśnie wtedy zadzwoniłam na policję.

Gliniarze chcieli się dowiedzieć, jak się ci chłopcy nazywali i jak wyglądali, na to ja coś tam im naplotłam. Spisali moje dane. Za chwilę mieli już odpowiedź z komisariatu i jeden z nich powiedział: - No to pójdziesz z nami. Jest meldunek o twoim zaginięciu.

Gliniarze byli całkiem przyjemni. Pozwolili mi zapakować do plastikowej torby dwa dreszczowce i napisać do Detlefa list. Napisałam mu: Kochany Detlefie, jak się pewnie domyślasz, właśnie wpadłam. Dalsze wiadomości później. Całuję gorąco. Twoja Christiane. Przykleiłam to taśmą do drzwi mieszkania.

Najpierw zabrali mnie na komisariat Friedrichstrasse, a potem do aresztu zbiorczego. Wsadzili mnie tam do takiej celi jak z westernu. Autentycznie same kraty zamiast ścian. Drzwi zrobione z prętów zamykały się z takim samym hukiem, jak u szeryfa z Dodge City,

klucz w zamku też zgrzytał tak samo. Stałam tak, rękami trzymając się prętów, i dosyć nieswojo się czułam. Nie chciałam się zastanawiać, jak bardzo nieswojo, więc położyłam się na pryczy i zasnęłam, bo byłam dosyć przymulona. Potem przynieśli mi naczynie na mocz do analizy i kubelek do podstawienia, żebym nie obsusiała podłogi. Każdy, kto przechodził, mógł sobie elegancko zobaczyć, jak sikam. Cały dzień nie dostałam nic do jedzenia ani do picia.

Gdzieś tak wieczorem przyszła moja mama. Najpierw przeszła obok kraty i nawet na mnie nie spojrzała. Widać miała coś najpierw do załatwienia z gliniarzami. Potem otworzyli drzwi do celi, mama powiedziała „dobry wieczór” jak do kogoś zupełnie obcego i wzięła mnie bardzo silnie pod rękę. W samochodzie czekał Klaus, facet mojej mamy. Mama normalnie wepchnęła mnie do wozu i siadła obok. Nikt się nie odzywał. Klaus widać pobłądził, bo pruliśmy przez cały Berlin. Pomyślałam: Cymbały, nawet nie potrafią dojechać do Kreuzberg.

Kiedy podjechaliśmy do stacji benzynowej, powiedziałam do mamy, że jestem głodna i czy by mi nie kupiła ze trzech batonów z wiórkami kokosowymi. Wsiadła i kupiła, co chciałam.

Po drugim batonie zrobiło mi się niedobrze. Klaus musiał się zatrzymać, żebym mogła z wymiotować. Pojechaliśmy na autostradę północną i już wiedziałam, że nie jedziemy do domu. Myślałam, że może do zakładu i, że niedługo stamtąd prysnę. Potem zobaczyłam tablicę Port lotniczy Tegel i pomyślałam: No nie, to już szczyty. Chcą cię wywieźć z Berlina.

Wysiedliśmy na lotnisku. Mama od razu złapała mnie znowu pod ramię. Wtedy odezwałam się po raz drugi od chwili naszego spotkania: - Może byś mnie tak łaskawie puściła. - Powiedziałam to bardzo powoli, akcentując każde słowo. Przeszała mnie trzymać, ale cały czas była tuż przy mnie. Klaus ubezpieczał z tyłu i też był czujny. Byłam jakaś taka bezwolna. Myślałam: Niech robią, co chcą. Ze mną i tak nic już im nie wyjdzie. Tak się wtedy czułam. Kiedy mama prowadziła mnie do wyjścia, nad którym był napis Hamburg, rozejrzałam się jednak, czy nie dałoby się jakoś prysnąć. Ale byłam za bardzo bezwolna, żeby próbować.

Hamburg. Strasznie mnie to trzasnęło. W takiej dziurze, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Hamburga, mieszkała moja babcia, wujek z ciotką i moim ciotecznym bratem. Uważałam ich za ostatnich kołtunów. Dom taki wylizany, że normalnie nie do życia. Ani pyłka. Nieraz godzinami łażałam tam po mieszkaniu na bosaka, a wieczorem miałam takie czyste nogi, że nawet nie musiałam ich myć.

W samolocie udawałam, że czytam swojego dreszczowca. Nawet zmęczyłam parę

stron. Mama dalej milczała jak kamień. Nawet mi nie powiedziała, dokąd mnie transportuje.

Kiedy stewardesa wypowiedziała tę swoją formułkę: „Mam nadzieję, że lot był dla państwa przyjemny”, zauważyłam, że mama płacze. Potem zaczęła niesamowicie szybko mówić, że zawsze chciała tylko mojego dobra i, że ostatnio jej się śniło, że leżę nieżywa w jakiejś toalecie, nogi powykręcane, wszędzie naokoło pełno krwi, bo jakiś handlarz mnie zamordował i musiała mnie identyfikować.

Zawsze mi się zdawało, że mama ma jakieś zdolności parapsychologiczne. Kiedy wieczorem mówiła „Dziecko, zostań w domu, mam złe przeczucia”, to od razu albo lądowałam się w jakąś obławę, albo ktoś mnie wyrolował czy inne jakieś afery. Od razu przypomniał mi się Piko, że go zrobiliśmy w jajo, i ci jego kumple alfonsy. Pomyślałam sobie, może rzeczywiście mama uratowała mi życie. Dalej się już nie zastanawiałam. Nie chciałam po prostu. Od czasu nieudanego „złotego strzału” w ogóle nie chciałam się już nad niczym zastanawiać.

Na lotnisku w Hamburgu poszłam z ciotką, która po nas przyjechała i z mamą do restauracji, bo mama miała wracać zaraz następnym samolotem. Zamówiłam florida-boy*. Nie mieli na tym zakichanym lotnisku. Pomyślałam sobie, co za dziura z tego Hamburga, jeśli nie mają nawet florida-boy. W ogóle nie wzięłam sobie nic do picia, chociaż suszyło mnie jak diabli.

Potem mama z ciotką zaczęły mi okropnie truć. Przez pół godziny zrobiły plan całego mojego przyszłego życia. Teraz pójdę grzecznie do szkoły, znajdę sobie nowych przyjaciół, potem nauczę się jakiegoś zawodu, a jak już go będę miała, wrócę do Berlina. Takie to było dla nich proste i jasne. Przy pożegnaniu mama znowu zaczęła płakać. Zdusiłam w sobie wszelkie uczucia. To było 13 listopada 1977.

MATKA CHRISTIANE

Przez cały dzień z trudem udawało mi się panować nad sobą. W drodze powrotnej do Berlina wypłakałam z siebie całe napięcie ostatnich tygodni. Byłam smutna, ale jednocześnie czułam ulgę. Smutna, bo musiałam oddać Christiane. Ulżyło mi dlatego, że w końcu oderwałam ją od heroiny.

Nareszcie przynajmniej raz w życiu miałam pewność, że zrobiłam dobrze. Co najmniej od czasu niepowodzenia z leczeniem w Narkononie zrozumiałam, że Christiane ma jakieś szansę przeżycia tylko wtedy, jeśli znajdzie się gdzieś, gdzie nie ma heroiny. Kiedy mieszkała z ojcem, a ja przez ten czas uspokoiliłam się trochę i nabrałam dystansu do sprawy,

coraz jaśniej zaczęło do mnie docierać, że w Berlinie Christiane całkiem zejdzie na psy. Wprawdzie mój były mąż zapewniał mnie, że Christiane przestała już cokolwiek brać, ale nie byłam już taka łatwowierna. Nigdy bym nie przypuszczała, że mogę się jeszcze bardziej bać o życie Christiane niż dotychczas. Ale po śmierci Babsi, jej koleżanki, nie miałam już ani jednej spokojnej chwili.

Z miejsca chciałam wysłać Christiane do krewnych w Niemczech zachodnich. Ale jej ojciec mi przeszkodził. Ponieważ Christiane teraz z nim mieszkała, załatwił sobie tymczasowe uprawnienia opiekuńcze z prawem decydowania o miejscu pobytu córki. Moje prośby na nic się zdały. Nie chciał zrozumieć. Może dlatego, że nie miał za sobą moich doświadczeń. A może nie chciał się przyznać do porażki.

W tym też czasie przesłano mi akt oskarżenia przeciwko Christiane. Miała mieć proces o naruszenie ustawy o środkach odurzających. Pani Schipke z działu narkotyków uprzedziła mnie o tym telefonicznie. Na pocieszenie powiedziała, że nie mam co sobie robić wyrzutów z powodu Christiane. Każdy narkoman sam przecież decyduje o tym, co robi. Dodała, że zna wielu narkomanów z dobrych rodzin. Oni też mają stanąć przed sądem. Nie powinnam się zadręczać.

Byłam nieprzyjemnie zaskoczona, że w akcie oskarżenia jednym z dowodów przeciwko Christiane jest paczuszka heroiny, którą znalazłam kiedyś u niej w pokoju. Ze zdenerwowania zadzwoniłam wtedy do pani Schipke. Kiedy pani Schipke obłudnie poprosiła, żebym przesłała jej tę paczuszkę do analizy, to oczywiście nawet przez myśl mi nie przeszło, że zostanie to kiedyś wykorzystane przeciw Christiane. Schipke powiedziała nawet: - Proszę nie pisać nadawcy, wtedy nic nie będzie można udowodnić.

Nie wydaje mi się słuszne, żeby młodzi ludzie, tacy jak Christiane, dostawali wyroki z powodu swojego nałogu. Christiane nic nikomu nie zrobiła. Niszczyła tylko samą siebie. Kto może za to sądzić? Nie mówiąc o tym, że jak wiadomo, jeszcze żaden narkoman się w więzieniu nie wyleczył.

Akt oskarżenia był dla mnie jeszcze jednym powodem, żeby wysłać Christiane do Niemiec zachodnich. Nagle zrobiłam się zdecydowana jak nigdy. Poszłam do sądu opiekuńczego i szczegółowo wyjaśniłam im całą sytuację. Po raz pierwszy ktoś w urzędzie uważnie mnie wysłuchał. Kompetentny w tych sprawach pracownik socjalny, pan Tillmann, również uznał, że Niemcy zachodnie będą najlepszym miejscem dla Christiane. Obiecał też zająć się sprawą miejsca w ośrodku terapeutycznym, ponieważ trudno przewidzieć, ile potrwa ponowne uzyskanie przeze mnie prawa decydowania o miejscu pobytu Christiane. Na razie łatwiej mu będzie wymóc na moim byłym mężu zezwolenie na pobyt Christiane w ośrodku.

Zgodziłam się z tym. To nie były puste przyrzeczenia. Widziałam, jak bardzo pan Tillmann zaangażował się w całą sprawę.

Niedługo po mojej rozmowie z panem Tillmannem ni stąd, ni zowąd, w któreś popołudnie zjawiała się u mnie Christiane. Właśnie znowu wróciła z poradni. Była kompletnie wykończona, naszprycowana heroiną, mówiła coś o samobójstwie i „złotym strzale”. Najpierw postarałam się ją uspokoić i zapakowałam ją do łóżka. Potem od razu zadzwoniłam do pana Tillmanna. Przyjechał natychmiast. Wspólnie z Christiane ułożyliśmy konkretny plan: najpierw miała pójść na odtrucie do szpitala dla nerwowo chorych. Następnie miała otrzymać miejsce w terapeutycznej komunie mieszkalnej. Taką perspektywę przedstawiła jej poradnia. Poza tym pan Tillmann był w tej sprawie w stałym kontakcie z ośrodkiem terapeutycznym.

Christiane na wszystko się zgodziła. Pan Tillmann błyskawicznie załatwił co trzeba. Posłaliśmy na wizytę do psychiatry i do lekarza, który wydał skierowanie. Potem pan Tillmann pojechał z tym skierowaniem do ojca Christiane i tak długo go naciskał, aż ten wyraził zgodę i mogłam zawieźć Christiane do kliniki.

W dwa tygodnie później Christiane przeniesiona została do Szpitala im. Rudolfa Virchowa, gdzie mieli jej zoperować polipa. Wychodziłam z założenia, że zagrożone narkomanią dziecko wyślą z Bonnies Ranch pod nadzorem do szpitala na operację i na miejscu dalej o wszystko zadbają. A oni ją tam tylko dostawili i koniec. Reszta ich nie obchodziła. Christiane bez przeszkód mogła się stamtąd ulotnić.

Byłam bardzo rozżalona z powodu tego niedbalstwa, które mogło wszystko popsuć.

Po tej sprawie straciłam resztę wiary w instytucje. Tylko ty sama możesz pomóc swojemu dziecku, powiedziałam sobie. Pan Tillmann starał się mnie jakoś podtrzymać na duchu. Do niego miałam zresztą nadal zaufanie.

Na szczęście Christiane niedługo wróciła. Już następnego dnia wieczorem przyszła się do mnie wyplakać. Mówiła, że tak jej przykro z powodu tego wszystkiego. I, że znowu wstrzyknęła sobie heroinę. Nie skrzyczałam jej nawet. Nie było już we mnie agresji. Jakże często dotąd z rozpacz, że nie mogę jej pomóc, wyładowywałam na Christiane całą moją wściekłość. Teraz, kiedy do mnie przyszła, objęłam ją ramieniem i w spokoju ze sobą rozmawialiśmy.

Christiane koniecznie chciała w dalszym ciągu realizować ten plan, który ułożyliśmy z panem Tillmannem. Powiedziałam, że dobrze, będziemy, ale dałam jej jasno i otwarcie do zrozumienia, że jeśli jeszcze raz narozrabia, to nieodwołalnie wysyłam ją do Niemiec zachodnich. Bardzo to sobie wzięła do serca i dała mi słowo honoru.

Przez następne dni regularnie chodziła do poradni.

Rzeczywiście uczepliła się tej perspektywy leczenia. Czasami całe godziny czekała na swoją kolejkę w poradni. W domu siadała i pisała życiorys potrzebny do dokumentów.

Wszystko wyglądało bardzo pięknie. Miejsce było już prawie pewne. Ustalono już, która komuna terapeutyczna ją przyjmie. Rozmawialiśmy nawet o tym, że na Boże Narodzenie nie będzie mogła wrócić do domu. Bo to był już początek listopada.

Jej ojciec też już zrozumiał bezskuteczność swoich starań i nie robił trudności. Naprawdę coś tam się już zaczynało rysować na horyzoncie. I akurat wtedy Christiane dostała drugi raz żółtaczki. W ciągu jednej nocy gorączka podskoczyła jej do czterdziestu jeden stopni. Następnego dnia zawiozłam ją do kliniki Steglitz. Christiane była żółta jak cytryna. Ledwie trzymała się na nogach i z trudem wlokła się przez korytarz. Po zbadaniu lekarka powiedziała, że Christiane ma przekrwienie bierne wątroby w wyniku nadużywania narkotyków. I, że niestety, ale nie mogą jej tu przyjąć, bo w tej klinice nie ma oddziału zakaźnego. To nie była prawda. Mają taki oddział na dwadzieścia pięć łóżek. Tak naprawdę, to nie chcieli mieć w klinice narkomanów. Tyle, że lekarka załatwiła nam przynajmniej przyjęcie w Szpitalu im. Virchowa na następny dzień.

Po paru dniach Christiane znowu miała normalny kolor skóry. Wkrótce znowu była pełna wigoru i cieszyła się, że idzie na leczenie. Jej opiekun z poradni dla narkomanów przy politechnice nawet ją odwiedzał. Wspólnymi siłami podtrzymywaliśmy ją w jej zamiarach. Byłam zdecydowanie dobrej myśli, jak rzadko.

Aż do dnia, kiedy Christiane odwiedziła jej przyjaciółka Stella. Mimo, że usilnie prosiłam siostrę oddziałową, by dla dobra Christiane nikogo do niej nie wpuszczali pod moją nieobecność, chyba, że to będzie ktoś z poradni dla narkomanów.

Popełniłam jednak niewybaczalny błąd przyprowadzając raz Detlefa. Christiane tak bardzo sobie tego życzyła. Detlef wyszedł warunkowo z więzienia. W więzieniu przeszedł odtrucie. Też udało mu się dostać miejsce w jakimś ośrodku terapeutycznym. Uważałam, że należy im się spotkanie. W końcu nie byli sobie przecież obojętni. Pomyślałam jeszcze, że może jakoś umocnią się nawzajem w postanowieniach, jak będą wiedzieli, że to drugie też idzie na leczenie. Jaka ja wtedy byłam naiwna.

Christiane od razu urwała się na całe popołudnie ze szpitala. Kiedy przysłam do niej po pracy, właśnie dopiero co wróciła. Widziałam po niej, że coś sobie wstrzyknęła. Samo to nawet by mną tak może nie wstrząsnęło. Ale jak zaczęła mi wmawiać, że poszła tylko na spaghetti, czyli znowu kłamstwa, nogi się pode mną ugięły.

Poprosiłam siostrę oddziałową, żeby mi pozwoliła zostać z Christiane. Chciałam

zapłacić za łóżko. Powiedziała, że to niestety niemożliwe. I, że na przyszłość sama już będzie uważać. W trzy dni potem, kiedy znowu przyszedłam po pracy w odwiedzinach, siostra wyszła mi naprzeciw i oznajmiła:

- Pani córki nie ma.

- No tak, a mogę wiedzieć, gdzie jest? - zapytałam.

- Tego nie wiemy. Dostała zezwolenie na wyjście do parku i nie wróciła ze spaceru.

Trudno mi opisać, jak się wtedy czułam. W domu położyłam się w dużym pokoju przy telefonie. Wieczorem, dwadzieścia po jedenastej, zadzwonili ze szpitala, że Christiane wróciła. Obojętność pielęgniarek była oburzająca. One uważają tak: Jak chce uciekać, to niech ucieka. Jej sprawa. Miałyśmy tu wystarczająco dużo narkomanów. Oni przecież wszyscy uciekają. Dokładnie tak właśnie ze mną rozmawiały, jak następnego dnia zaczęłam robić im wyrzuty.

Lekarka też się tym za bardzo nie przejęła. Oświadczyła mi tylko, że nie ma już teraz na nic wpływu. Jeśli Christiane jeszcze raz złamie regulamin, trzeba ją będzie zwolnić za brak zdyscyplinowania. I, że punkcja wątroby wykazała, że jak nie skończy z nałogiem, to pożyje najwyżej do dwudziestki. Obiecała przemówić jej do rozsądku. Nic więcej nie może w tej sprawie zrobić.

Następnego wieczora telefon ze szpitala, że Christiane znowu gdzieś wyszła. Całą noc spędziłam na leżance przy telefonie. Christiane nie wróciła. Zniknęła na dwa tygodnie i nie dawała znaku życia.

Pierwsze dwa-trzy dni szukałam jej razem z moim przyjacielem. Zwykła trasa przez dyskoteki i dworce metra. Potem musiałam zabrać jej rzeczy ze szpitala. Jak przyszedłam do domu z jej torbą i zaczęłam wypakowywać książki i wszystkie szpargały, które jej naprzymosiłam do szpitala, to po raz pierwszy przyszedł taki moment, że powiedziałam sobie: Dobrze, w takim razie niech się z nią dzieje, co chce.

Powiedziałam sobie: W porządku, jak tak, to niech się sama martwi. Przestaję jej szukać. Byłam niesłychanie wzburzona. Chciałam, żeby poczuła, że moja cierpliwość się wyczerpała. Inna sprawa, że nie wiadomo, jak długo bym z tym wytrzymała.

W najbliższym komisariacie zgłosiłam jej zaginięcie i zostawiłam policjantom jej fotografię. Już oni ją przydybią w jakiejś obławie. Miałam zamiar wsiąść wtedy z Christiane w pierwszy samolot i odtransportować ją do Niemiec zachodnich.

Po dwóch tygodniach, w któryś poniedziałek rano, dzwonią do mnie z komisariatu Friedrichstrasse. Ten policjant, który dzwonił, był niezwykle miły. Mimo, że Christiane strasznie u nich rozrabiała. Poprosiłam, żeby ją przetrzymał i, a ja wczesnym popołudniem

przyjdę ją odebrać i zaraz odstawię ją samolotem do RFN.

Zarezerwowałam dwa bilety. Dla siebie powrotny, w jedną stronę dla Christiane. Kiedy to mówiłam, poczułam w sercu ukłucie. Potem zadzwoniłam do krewnych.

Po południu wszystko było już załatwione. Idąc na policję wzięłam jeszcze ze sobą mojego przyjaciela. Pomyślałam, że jak będziemy we dwójkę, to nam nie ucieknie z samochodu.

Christiane nie odezwała się nawet słowem. Ja też nic nie mówiłam. Nie byłam w stanie.

Na lotnisku kolana mi drżały, serce czułam aż w gardle. Christiane dalej nic nie mówiła. W ogóle nie zwracała na mnie uwagi. Aż do odlotu siedziała w milczeniu w fotelu, obgryzała paznokcie i czytała książkę, którą wzięła ze sobą. Ani przez chwilę nie próbowała uciekać.

Odetchnęłam dopiero, jak już siedzieliśmy w samolocie. W czasie startu Christiane patrzyła przez okienko. Było już ciemno. Powiedziałam do niej: - Skończyło się. Rozdział pod tytułem „narkotyki” jest już zamknięty. Jedziesz do ciotki Evelyn. Mam nadzieję, że tam już naprawdę zaczniesz nowe życie.

U ciotki i babci przez pierwsze cztery dni miałam febrę. Kiedy już mogłam wstać, od razu założyłam pełny rynsztunek. Odstroiłam się na klasyczną ćpunkę - od kurtki z królików, po buty na najwyższych obcasach. Umalowałam się i poszłam z psem ciotki do lasu. Co rano odstawiałam się tak, jakbym miała iść do swoich, a potem hajda do lasu. Wysokie obcasy włożyły w piach, potykałam się co parę metrów i od upadków miałam kolana całe w sińcach. Ale jak babcia chciała mnie wziąć na zakupy, żeby mi sprawić jakieś „buty do chodzenia”, to przeraziło mnie już samo brzmienie tych słów. Stopniowo przekonywałam się, że z moją ciotką, która miała dopiero trzydziestkę, całkiem fajnie się nawet gada. Oczywiście nie o problemach, które miałam naprawdę. Ale o nich sama nie chciałam rozmawiać, nie chciałam o nich nawet myśleć. Mój problem nazywał się hera, prochy i wszystko inne z tym związane. Detlef, inne ćpuny, Kudamm, zaćpać, nie myśleć, być wolnym. Staralam się i bez heroiny w ogóle nie myśleć. Jedyne, o czym myślałam, to to, że pewnie niedługo stąd prysnę. Ale w przeciwieństwie do tego, co było dotąd, nigdy nie ułożyłam jakiegoś konkretnego planu ucieczki. Odsuwałam to od siebie. Myślałam: Któregoś dnia dasz dyla. Prawdopodobnie tak naprawdę, to nie chciałam uciec, bo bałam się tego, co przez ostatnie dwa lata uważałam za wolność.

Ciotka kompletnie obstawiała mnie zakazami. Mając piętnaście lat musiałam punktualnie o wpół do dziesiątej być już w domu, jeśli w ogóle pozwolili mi wyjść. Nie

miałam tego od dwunastego roku życia. Niesamowicie mnie te zakazy wpięprzały, ale nie wiadomo, dlaczego prawie zawsze się do nich stosowałam.

Przed Bożym Narodzeniem pojechaliśmy do Hamburga, żeby kupić prezenty gwiazdkowe. Zaczęło się z samego rana. Hajda do domów towarowych.

Kompletny zajob. Godzinami przepychać się przez tłumy zidiociałych kołtunów, co chwila rzucających się jak sępy na jakieś rzeczy i grzebiących w grubych portfelach. Babcia i ciotka, wujek i mój cioteczny brat bez przerwy zaglądali w karteczki. Tragedia - dla ciotki Jadwigi, ciotki Idy i dla Jochena i dla pani jakiejś tam w ogóle nie mogą znaleźć prezentu. Wujek kupił jeszcze dodatkowo parę zelówek do samodzielnego, żelowania butów, jakieś rzeczy do samochodu i parę innych gówienek, które w domu towarowym taniej kosztują.

Babcia jest taka mała i zawsze tak myszkuje po domach towarowych, że bez przerwy się nam gubiła. Wtedy zaczynało się szukanie. Chwilami gubiłam ich wszystkich i oczywiście myślałam wtedy, żeby przysnąć. Od razu wykapowałam, że w Hamburgu na Monckebergstrasse zbierają się ćpuny. Wystarczyło, żebym wyszła z domu towarowego, zaczęła paru typów wyglądających na ćpunów i już. Ale jakoś tak nie mogłam. Bo w ogóle nie wiedziałam, czego tak naprawdę chcę. Mimo, że powiedziałam sobie: Wolę zdechnąć w jakimś sraczu, niż napalać się tylko na kupowanie i domy towarowe, jak ci moi. Jakby tak podszedł do mnie jakiś ćpun i zagadał, to chyba bym poszła.

Ale tak właściwie to nie chciałam uciekać. Dlatego mówiłam tym moim parę razy: Słuchajcie, ja już nie mogę. Odwieźcie mnie do domu i przyjedziecie sobie potem z powrotem sami. Normalnie patrzyli na mnie jak na wariatkę. Bo takie świąteczne zakupy to dla nich prawdopodobnie najszczęśliwszy dzień w roku.

Wieczorem nie mogli znowu znaleźć samochodu. Lataliśmy po parkingu z jednego poziomu na drugi i nic. Dla mnie ta sytuacja była nawet fajna, bo nagle coś zaczęło nas łączyć. Gadaliśmy jeden przez drugiego, każdy miał inny pomysł, ale nareszcie wszyscy mieliśmy wspólny cel: chcieliśmy znaleźć ten cholerny wóz. Różniłam się od nich tylko tym, że dla mnie to wszystko było zabawne i bez przerwy chciało mi się śmiać, a oni byli coraz bardziej spanikowani. Zaczęło się robić coraz zimniej i wszyscy dygotali. Tylko mnie to zimno nie bardzo brało, bo mój organizm nie takie rzeczy już znosił. W końcu ciotka stanęła w wejściu do domu towarowego, gdzie jest nawiew ciepłego powietrza, i nie chciała się ruszyć na krok. Wujek musiał ją siłą wyciągać spod tego ciepłego prysznica. Potem udało nam się wreszcie znaleźć ten samochód i wszyscy się śmiali. W drodze powrotnej było mi bardzo dobrze. Czułam się jak w prawdziwej rodzinie, której byłam przecież w końcu częścią.

Zaczęłam się troszkę dostosowywać. W każdym razie starałam się. Trudno było. Przy

każdym zdaniu musiałam niesamowicie uważać na to, co mówię. Bez przerwy. Jak mi się czasem wymknęła jakaś „cholera”, to babcia zaraz mówiła: - Takie ładne dziecko, a jak brzydko się wyraża. - Łatwo wtedy wywiązywała się niepotrzebna dyskusja, bo uważałam, że mi się głupio wcinają. A na koniec zaczynałam się wściekać.

Przyszło Boże Narodzenie. Pierwsza Wigilia od dwóch lat, którą znowu świętowałam przy choince. Ostatnie dwie Wigilie spędziłam z ćpunami poza domem. Nie wiedziałam, czy mam się cieszyć z drzewka. Ale postanowiłam jakoś się sprężyć i pokazać przynajmniej, że się cieszę z prezentów. A potem naprawdę się z nich cieszyłam. Jeszcze nigdy nie dostałam tylu prezentów na Gwiazdkę. Ale i tak w którymś momencie przyłapałam się na tym, że kalkuluję, ile to wszystko mogło kosztować i przeliczam na ćwiartki.

Ojciec też przyjechał na święta. Jak zwykle nie usiedział długo w domu. W oba świąteczne wieczory był ze mną w takiej beznadziejnie porządnej dyskotecie. Za każdym razem wlewałam w siebie sześć czy siedem coli z rumem i kimałam na barowym stolku. Ojciec był cały szczęśliwy, że zaczynam chlać. A ja powiedziałam już sobie: Kiedyś tam przyzwyczaisz się do tych wsiowych smarkaczy i do tych ich dyskotek.

Następnego dnia ojciec poleciał z powrotem do Berlina, bo wieczorem miał być jakiś mecz hokejowy. Bo ostatnio dostał hopla na punkcie hokeja.

Po feriach świątecznych musiałam iść do szkoły. Poszłam do dziewiątej klasy szkoły realnej. Trochę się bałam tej szkoły. No bo przez trzy lata praktycznie się nie uczyłam. Przez ostatni rok w ogóle chodziłam tylko parę miesięcy, bo przez resztę czasu byłam albo chora, albo na odwyku, albo po prostu się urywałam. Ale zaraz pierwszego dnia dosyć mi się w tej szkole spodobało. Klasa malowała właśnie obraz na białej pustej ścianie pracowni. Od razu mogłam się przyłączyć. Malowaliśmy piękne stare domy. Dokładnie takie, jak te, w których miało być moje wymarzone mieszkanie. Przed domami sami pogodni ludzie. Na ulicy rosła palma, do której był przywiązany wielbłąd. Niesamowicie fajny malunek. Na górze napisaliśmy: Pod asfaltem jest plaża.

W klubie odkryłam potem całkiem podobny obrazek. Tyle, że pod spodem było inne hasło: Nie „po kiego” i „co potem”, tylko sierpem i miotem. W klubie ton nadawali ludzie zaangażowani politycznie.

Dosyć szybko zauważyłam, że młodzież ze wsi i z małego pobliskiego miasteczka też nie jest za bardzo zadowolona. Mimo, że tak na oko wiele rzeczy wyglądało inaczej niż w Berlinie. W szkole było o wiele mniej rozrabiania. Większość nauczycieli dawała sobie jeszcze jakoś radę. Większość młodzieży chodziła jeszcze całkiem „przyzwoicie” ubrana.

Chciałam skończyć szkołę, chociaż miałam spore braki. Chciałam koniecznie mieć

przynajmniej świadectwo ukończenia szkoły realnej. Po raz pierwszy od paru lat odrabiałam zadane lekcje. Po trzech tygodniach całkiem dobrze zżyłam się ze swoją klasą i zaczęło mi się wydawać, że jakoś sobie z tym wszystkim poradzę.

Mieliśmy właśnie lekcję gotowania, kiedy wezwali mnie do dyrektora. Siedział za biurkiem i nerwowo przerzucał kartki jakiegoś skoroszytu. Szybko wykombinowałam, że ten skoroszyt to moje akta, które pewnie właśnie przysłali z Berlina. I wiedziałam, że tam jest o mnie wszystko. Urząd do Spraw Nieletnich musiał przesłać do mojej szkoły w Berlinie pełną dokumentację.

Dyrektor westchnął najpierw parę razy, a potem powiedział, że ku swemu zmartwieniu nie może mnie niestety zatrzymać w tej szkole. Nie spełniam wymagań, jakie stawia szkoła realna. Moje akta tak go widać zdenerwowały, że od razu wyrwał mnie z zajęć. Nie chciało mu się nawet poczekać do końca lekcji, żeby mnie wywalić ze szkoły.

Nic nie powiedziałam, bo nie mogłam wydusić słowa. Dyrektor chciał się mnie pozbyć od razu. Już na następnej pauzie miałam się zgłosić u dyrektora szkoły zasadniczej. Byłam kompletnie podłamana. Jak otepiała powlokłam się do tej drugiej szkoły. A jak już się znalazłam u tamtego dyrektora, to się rozryczałam. Dyrektor powiedział, że w końcu nie jest przecież tak źle. Powinnam porządnie przysiąc fałdów i skończyć z dobrym wynikiem szkołę zasadniczą.

Po wyjściu od niego znowu zrobiłam sobie taki rachunek strat i zysków. Właściwie nie żałowałam siebie zanadto. Powiedziałam sobie: W końcu to jasne, że muszę teraz płacić za to, co zrobiłam. Nagle zdałam sobie sprawę, że wszystkie te marzenia o zupełnie nowym życiu bez hery, to była czysta głupota. I, że inni wcale nie widzą mnie taką, jaką mi się wydawało, że jestem, tylko oceniają mnie na podstawie mojej przeszłości. Mama, ciotka, no i dyrektor też.

Zrozumiałam też, że nie mogę tak z dnia na dzień stać się innym człowiekiem. Mój organizm i moja psychika też mi się odplącały. Rozwalona wątroba wciąż mi przypominała, co z nią wyprawiałam. No i w ogóle to przecież nie było tak, że od razu i swobodnie wciągnęłam się w to życie u ciotki. Potrafiłam się wściekać o byle co. Bez przerwy były jakieś zgrzyty. Nie wytrzymałam nawet najmniejszych stresów i nerwowy. A jak czasem poważnie siadał mi nastrój, to przychodziło mi do głowy, że narkotyk bardzo szybko by mnie z tego wyciągnął.

Po tym, jak mnie wywalili ze szkoły, przestałam wierzyć, że cokolwiek osiągnę. Znowu byłam dosyć bezwolna. Nie umiałam się bronić przed wyrzuceniem, chociaż po głupich trzech tygodniach ten dyrektor nie mógł mieć oczywiście pojęcia, czy nie dałabym

sobie jakoś rady. Nie miałam już żadnych planów na przyszłość. Mogłabym właściwie znowu zacząć chodzić do szkoły zintegrowanej. Była tam jedna, dojeżdżało się autobusem. W tej szkole mogłabym wtedy udowodnić, co jestem naprawdę warta. Ale za bardzo się bałam, że i tam zawalę.

Dopiero potem zaczęłam powoli pojmować, co to znaczy, że mnie cofnęli do zasadniczej. Są u nas dwie dyskoteki, takie kluby młodzieżowe. Do jednej chodzą prawie wyłącznie ci z realnej i z gimnazjum, do drugiej ci z zasadniczej i ze szkół zawodowych. Najpierw byłam w tym klubie, do którego chodzą gimnazjaliści. Ale jak wyleciałam ze szkoły realnej, to zaczęłam mieć wrażenie, że tam krzywo na mnie patrzą. No to przeniosłam się do tej drugiej dyskoteki. To było dla mnie całkiem nowe doświadczenie. W Berlinie takich podziałów nie było. Ani w szkole, ani tym bardziej w środowisku narkomanów. W mojej nowej szkole podział zaczynał się już na szkolnym podwórku. W poprzek podwórka była narysowana biała krecha. Po jednej stronie byli na pauzie licealiści, po drugiej uczniowie z zasadniczej. Nie wolno było tej linii przekroczyć. Tak, że z ludźmi z mojej starej klasy mogłam rozmawiać tylko przez tę krechę. To było według mnie najgorsze w tym podziale na młodzież, która być może do czegoś jeszcze w życiu dojdzie, i taką, która przez to, że chodzi do szkoły zasadniczej, spisana jest na straty.

Do takiego właśnie społeczeństwa miałam się przystosować. „Przystosować się” to było co drugie słowo u mojej babci. Jednocześnie, jak wyleciałam ze szkoły realnej, uznała, że poza szkołą nie powinnam się zadawać z tymi z zasadniczej, tylko szukać kolegów wśród uczniów z realnej i z gimnazjum. Powiedziałam jej wtedy: - Musisz się w końcu z tym pogodzić, że twoja wnuczka chodzi do zasadniczej. A ja się przystosuję i znajdę sobie przyjaciół w swojej szkole. - No i znowu była z tego niezemska afera.

Najpierw chciałam sobie kompletnie odpuścić tę szkołę. Ale potem zobaczyłam, że mój nowy wychowawca jest zupełnie w porządku. Starszy facet. Jakiś taki kompletnie staroświecki w poglądach, normalnie taki prawdziwy konserwatysta. Czasem mi się nawet zdawało, że miał jakieś sympatie do nazistów. Ale miał autorytet, chociaż na nikogo się nie darł. Był jedynym nauczycielem, na którego lekcjach dobrowolnie wstawaliśmy, jak wchodził do klasy. Nigdy nie był zestresowany i potrafił jeszcze naprawdę podejść do człowieka indywidualnie. Do mnie też. Niektórzy z młodych nauczycieli na pewno mieli w sobie dużo idealizmu, ale jakoś tak nie umieli sobie w tej pracy poradzić. Oni tak samo mało wiedzieli, o co w tym wszystkim biega, jak i uczniowie. Czasem pozwalali na wszystko, a jak chaos zrobił się już kompletny, to zaczynali się wydzierać. Przede wszystkim nie mieli jasnych odpowiedzi na problemy, które nas tak naprawdę zajmowały. Bez przerwy słyszało się „jeśli”

i „ale”, bo kompletnie nie mieli pewności i sami nie wiedzieli za bardzo, czego się trzymać.

Nasz wychowawca nie robił nam najmniejszych złudzeń co do obecnej pozycji ucznia szkoły zasadniczej. Mówił nam, że będzie nam niesamowicie ciężko. Ale przy odrobinie pilności w paru dziedzinach możemy przewyższyć nawet tych z gimnazjum. Na przykład w ortografii. Mówił, że żaden maturzysta nie zna dziś dobrze ortografii. Nasze szansę wzrastają w związku z tym bardzo, jeśli podania o pracę będziemy umieli napisać w absolutnie bezbłędnej niemczyźnie. Starał się nas nauczyć, jak postępować z ludźmi, którym się wydaje, że są kimś lepszym. I zawsze miał w zapasie jakieś bezbłędne maksymy. Przeważnie mądrości życiowe z zeszłej epoki. Można było konać ze śmiechu. Niektórzy uczniowie tak właśnie robili, ale ja uważałam, że zawsze jest tam jakieś ziarno prawdy. Często byłam innego zdania niż on, ale podobało mi się w nim to, że wyglądał na takiego, co wie, gdzie góra, a gdzie dół.

Większość klasy niezbyt go lubiła. Widocznie za bardzo był według nich wymagający, wkurzało ich to jego ciągle moralizowanie. Większość uczniów była ustawiona kompletnie na zwis. Paru osobom zależało, żeby mieć dobre świadectwo ukończenia szkoły, bo wtedy może nawet uda im się dostać gdzieś na naukę zawodu. Tacy odrabiali grzecznie lekcje, tylko tyle, ile było zadane. Przeczytać jakąś książkę czy sięgnąć do czegoś, co nie jest zadane - gdzie by im się chciało. Kiedy nasz wychowawca albo nawet ktoś z młodych nauczycieli próbował zacząć jakąś dyskusję, to wszyscy patrzyli tylko jak barany przed siebie. Planów na przyszłość, tak jak i ja, nikt z klasy nie miał. No bo jakie może mieć plany uczeń z takiej szkoły? Jak będzie miał fart, to dostanie się gdzieś na naukę zawodu. A wtedy nie może się kierować tym, co by ewentualnie chciał robić, tylko musi brać to, co mu dają.

Wielu osobom było zresztą autentycznie wszystko jedno, co będą potem robić. Może jakieś przyuczenie do zawodu albo będą zarabiać jako niewykwalifikowani czy nawet pójść na zasilek. Panowało przekonanie, że z głodu to jeszcze u nas nikt nie umarł, uczeń szkoły zasadniczej szans na nic nie ma, więc po co się szarpać. Po paru chłopakach było widać, że trafią pewnie za kratki, paru już chlało. Dziewczyny w ogóle się nie zastanawiały. Były święcie przekonane, że w końcu kiedyś tam jakiś typas będzie je utrzymywał, a do tego czasu mogą gdzieś sprzedawać albo pójść do pracy przy taśmie, albo zwyczajnie kisić się w domu.

Nie wszyscy tacy byli, ale takie było ogólne nastawienie w tej szkole. Kompletnie trzeźwe, żadnych złudzeń, a już na pewno żadnych ideałów. Cholernie mnie to przygnębiało. Inaczej sobie wyobrażałam życie bez narkotyków.

Często zastanawiałam się, czemu młodzież jest taka sponurzała. No bo oni nawet nie umieli się z niczego cieszyć. Motorower w wieku szesnastu lat, samochód w wieku

osiemnastu - to było jakieś oczywiste. A jak tak nie było, to człowiek czuł się gorszy. Dla mnie też w tych wszystkich moich marzeniach było oczywiste, że od razu będę miała mieszkanie i samochód. Nie ma mowy, żeby się zaharowywać dla mieszkania czy dla jakiejś nowej wersalki, jak moja mama. Życ, żeby móc sobie coś kupić - to były przestarzałe ideały naszych rodziców. Dla mnie, i chyba dla wielu innych, tych parę dóbr materialnych to było zaledwie minimum potrzebne do życia. Ale do tego musi coś jeszcze dojść. Coś takiego, co nadaje życiu sens. Ale jakoś nigdzie tego nie było widać. Parę osób, między innymi ja, mimo wszystko dalej szukało czegoś, co by nadawało jakiś sens życiu.

Kiedy dyskutowaliśmy w szkole o narodowym socjalizmie, miałam bardzo sprzeczne odczucia. Z jednej strony flaki mi się przewracały, jak sobie pomyślałam, do jakich potworności zdolni są ludzie. Z drugiej strony podobało mi się, że dawniej było jeszcze coś takiego, w co ludzie wierzyli. Powiedziałam nawet wtedy na lekcji: - Chyba bym nawet chciała dorastać w czasach nazistowskich. Młodzież przynajmniej wiedziała wtedy, w co wierzyć, miała jakieś ideały. Wydaje mi się, że dla takich jak my lepiej jest, jak się ma złe ideały niż żadne. - Nie myślałam tak całkiem na serio, ale coś w tym musiało być.

Tam na wsi młodzież też już próbowała wszystkiego, co się dało, bo życie, jakie mieli do zaproponowania dorośli, przestało jej odpowiadać. Nawet moda na brutalność też już dotarła do naszej małej wioski. Rozdawać ciosy zamiast rozumieć. Tak jak widziałam już dwa lata temu w Berlinie, trochę chłopaków i dziewczyn strasznie napaliło się na ruch punkowców. Mnie to zawsze przerażało, jak widziałam, że ludziom, którzy normalnie byli całkiem fajni, zaczynają imponować punki. No bo to już właściwie sama przemoc. Nawet ich muzyka jest po prostu pozbawiona fantazji i tylko ten potwornie ordynarny rytm.

Jednego punkowca od nas nawet dobrze znałam. Zanim wpiął sobie agrafkę w policzek i zaczął chodzić z kastetem, można z nim było całkiem fajnie pogadać. Dorobił się potem w naszej gospodzie. Rozwalili na nim dwa krzesła i wpakowali mu w bebeczki obtłuczoną butelkę. Ledwie go potem odratowali w szpitalu.

Najgorsza była dla mnie ta brutalność w układach między chłopakami a dziewczynami. Wszyscy tyle gadają o emancypacji, a mnie się wydaje, że jeszcze nigdy chłopaki tak brutalnie nie traktowali dziewczyn, jak teraz. Normalnie chyba wyładowują na nich całą swoją frustrację. Chcą władzy i sukcesu, a, że nigdzie im nie wychodzi, to odbijają sobie na babach.

Normalnie bałam się większości tych typów z dyskotek. Może dlatego, że troszkę inaczej wyglądałam od innych dziewczyn, ciągle się jacyś do mnie przywalali. A te gwizdy i to: „te, lala, masz chęć?” bardziej mnie wkurwiały, niż zachowanie facetów z samochodów na

Kurfürstenstrasse. Jak taki klient w Berlinie kiwa, żeby podejść do niego do samochodu, to się chociaż uśmiecha. A te mocne typy od nas nie musiały się wysilać. Tak przynajmniej uważali. Wydaje mi się, że większość klientów jest bardziej miła i nawet delikatniejsza w stosunku do dziewczyn, niż ci młodzi szpanerzy z dyskotek. Bo oni chcieli tylko dymać bez cienia czułości czy delikatności, nie mówiąc oczywiście o płaceniu.

Tak się bałam tych chłopaków, że absolutnie nie pozwoliłam się nawet dotknąć. Już same reguły macanek wydawały mi się dosyć perwersyjne. To, że taki chłopak najpóźniej przy drugim spotkaniu uważał, że ma już automatycznie prawo się do dziewczyny dobierać. A dziewczyny się zgadzały, nawet jak nie miały najmniejszej ochoty się z takim migdalić. Po prostu dlatego, że taka była zasada. I dlatego, że każda się bała, że taki chłopak przestanie z nią chodzić, a inne chłopaki zaczną o niej gadać, że jest oziębła flądra.

Nie potrafiłam tak. Nie chciałam nawet. Nawet jak polubiłam jakiegoś chłopaka i chodziłam z nim, to od razu jasno stawiałam sprawę: Nie próbuj się do mnie przystawiać. Trzymaj łapy przy sobie. Jak będę chciała, to sama powiem. Przez te pół roku, które minęło od mojego wyjazdu z Berlina, ani razu nie chciałam. Każda przyjaźń urywała się od razu, jak tylko chłopak chciał się ze mną przespać.

Oczywiście odgrywała tu pewną rolę kolejna sprawa z przeszłości, za którą musiałam teraz płacić. Nawet jeśli mi się wydawało, że takie łązenie na zarobek nigdy tak naprawdę mnie nie dotyczyło, że było to tylko nieuniknione zjawisko uboczne związane z moim uzależnieniem od heroiny, mój obecny stosunek do chłopaków był właśnie tym uwarunkowany. A to, jak się przeważnie zachowywali, tylko wzmacniało jeszcze moje przekonanie, że teraz znowu chłopcy chcą mnie wykorzystać.

Starałam się przekazać dziewczynom z mojej klasy co nieco z moich doświadczeń z mężczyznami. Oczywiście bez mówienia dokładnie, jakie to były doświadczenia. Ale nigdy jakoś nie docierało do nich to, co mówię. W klasie byłam wprawdzie czymś w rodzaju kącika porad sercowych i musiałam wysłuchiwać wszystkich problemów z chłopakami i dawać rady, bo dziewczyny skapowały, że jestem jakoś tak bardziej doświadczona w tych sprawach niż one, ale nigdy nie załapały tego, co im naprawdę starałam się powiedzieć.

Większość dziewczyn myślała tylko o chłopakach. Całkowicie akceptowały całą brutalność tych związków. Jeśli powiedzmy chłopak puścił swoją dziewczynę kantem i zaczynał chodzić z inną, to nie były złe na niego, tylko na tę nową.

O niej wtedy mówiły, że stara świnia, ostatnia kurwa i co tam jeszcze. No i dla wielu dziewczyn im bardziej chłopak był brutalny, tym bardziej był obłędny.

Tak całkiem zrozumiałam to dopiero na klasowej wycieczce. Pojechaliliśmy do

Palatynatu. Niedaleko od miejsca naszego zakwaterowania była dyskoteka. Większość dziewczyn polazła tam oczywiście jeszcze tego samego wieczora. Po powrocie stamtąd wszystkie marzyły o obłądnych chłopakach z genialnymi maszynami, znaczy motorami. Taki chłopak z obłądną maszyną to był już dla nich szczyt szczęścia.

Też poszłam się rozejrzeć do tej dyskoteki i dosyć szybko skapowałam, co tam jest grane. Z całej okolicy zjeżdżały się chłopaki na motorowerach, motorach i samochodami, żeby zarywać dziewczyny, które przyjeżdżają tu z klasą na wycieczki. Próbowalam więc wytłumaczyć dziewczynom z mojej klasy, że te chłopaki z dyskoteki tylko je wykorzystują. Ale żadna nie chciała mnie słuchać. Już na godzinę przed otwarciem dyskoteki dziewczyny stały przed lustrem, malowały się, układały włosy. A potem starały się w ogóle nie poruszać, żeby im się fryzura nie popsowała.

Przed tym lustrem kompletnie odrzucały swoje ja. Były już tylko własnymi maskami, które miały się podobać chłopakom z obłądnymi maszynami. Pierońsko mnie wściekało, jak to widziałam. W pewien sposób przypominało mi to mnie samą. Ja też malowałam się jak głupia i przebierałam, najpierw, żeby podobać się palącym hasz, a potem ćpunom. Ja też rezygnowałam z własnego ja, żeby tylko uznali mnie za swoją.

Cała nasza wycieczka kręciła się wokół tych beznadziejnych szpanerów, chociaż większość dziewczyn miała w domu stałego chłopaka. Elke, taka dziewczyna, z którą spałam w pokoju, pierwszego wieczora napisała jeszcze list do swojego chłopaka. Drugiego wieczora poszła na dysk i wróciła kompletnie zgnębiona. Powiedziała mi, że pieściła się z takim jednym. Ona chyba zrobiła to tylko dlatego, żeby udowodnić innym dziewczynom, że nią też się zainteresował któryś z tych chłopaków. Miała niesamowite wyrzuty sumienia z powodu swojego stałego chłopaka i nawet się poryczała. Ale ubzdurzała sobie, że jest zabujana w tym zmotoryzowanym pacanie. Jej chłopak oczywiście jeszcze nie miał motoru. Następnego dnia wieczorem wróciła kompletnie załamana i już tylko ryczała. Ten jej fatygant zapytał podobno jedną z koleżanek z naszej klasy: - Ty, słuchaj, co z tą twoją kumpelką, da się w końcu przerąbać czy nie?

Była jeszcze jedna dziewczyna, nazywała się Rosi, z nią była jeszcze gorsza sprawa. Któraś z nauczycielek nakryła ją w samochodzie z jednym chłopakiem, jak się akurat tniutniali. Tutaj mówiło się na to tniutniac. Rosi była taka załamana, że ledwo mogła chodzić. Ten chłopak wmusił w nią przedtem dobrych parę coli z rumem.

Rosi była jeszcze prawiczką, więc się kompletnie załamała. Reszta dziewczyn zrobiła zebranie, żeby się naradzić, co zrobić z Rosi. Nawet im do głowy nie przyszło złościć się na tego typu, który najpierw spreparował Rosi alkoholem, a potem tak właściwie prawie

zgwałcił. Wszystkie autentycznie zażądały, żeby odesłać Rosi do domu. Byłam jedyną dziewczyną, która się sprzeciwiła. Bo one były niesamowicie wściekle, że nauczyciele zarządzili kompletny zakaz chodzenia na dyskotekę. Znaczący chcieli tylko sami obściskiwać się i tniutniac.

Normalnie załamał mnie ten kompletny brak poczucia wspólnoty między dziewczynami. A w każdym razie to, że każda przyjaźń kończyła się natychmiast, jak tylko wchodził w grę jakiś chłopak. Bo to prawie to samo co z herą, która zawsze zakłócała przyjaźń między Babsi, Stellą i mną.

Mimo, że właściwie nie dotyczyło mnie to bezpośrednio, jakoś tak czułam się podłe i beznadziejnie. Przez ostatnie dwa dni wycieczki miałam niebezpieczny nawrót. Od rana do wieczora chodziłam zalana w cztery dupy.

Mimo wszystko stopniowo dojrzała we mnie decyzja, żeby jednak spróbować pogodzić się ze światem takim, jaki on jest. Przystałam myśleć o ucieczce. Uświadomiłam sobie, że taka ucieczka oznacza automatyczny powrót do hery. A coraz jaśniej zdawałam sobie sprawę, że teraz w ogóle by mi to już nic nie dało. Pomyślałam sobie, że musi być jakaś droga pośrednia, że można jakoś dojść do ładu z tym zasranym społeczeństwem, niekoniecznie kompletnie się do niego przystosowując. Znalazłam takiego przyjaciela, przy którym bardzo się uspokajałam. Z nim można było pogadać. I mimo wszystko zawsze wiedział, o co w tym wszystkim biega. Potrafił marzyć, ale na wszystko miał praktyczne rozwiązanie. Jego też wiele rzeczy wkurwiało, ale twierdził, że jak się już coś osiągnie, to któregoś pięknego dnia może się człowiek z tego społeczeństwa jakby wykupić. Chciał popracować najpierw w handlu i zarobić dużą forszę, a potem kupić sobie drewnianą chałupę w kanadyjskich lasach, żeby tam żyć. Dla niego Kanada była takim samym wielkim marzeniem, jak dla Detlefa.

Chodził do gimnazjum i dzięki niemu strasznie się napaliłam na naukę. Zrozumiałam, że nawet taka szkoła zasadnicza też mi coś może dać, jeśli będę pracować dla siebie, a nie, żeby dostać to śmiechu warte świadectwo ukończenia szkoły. Zaczęłam niesamowicie dużo czytać. Dosyć chaotycznie. Wertera Goethego i Wertera enerdowskiego pisarza Plenzdorfa, Hermanna Hessego i przede wszystkim Ericha Fromma. Książka Fromma O sztuce miłości stała się dla mnie prawdziwą biblią. Całe strony znałam na pamięć. Po prostu dlatego, że bez przerwy do nich wracałam. Wypisywałam sobie zdania z tej książki i wieszalałam nad łóżkiem. Ten niesamowity facet naprawdę miał pojęcie. Jakby się tak człowiek trzymał tego, co on napisał, to życie byłoby sensowne, boby sobie człowiek z nim radził. Tylko, że bardzo trudno żyć według tych reguł, bo inni ich nie znają. Chętnie porozmawiałabym sobie z Erichem

Frommem, jak on sobie z tym radzi, żeby żyć w tym świecie według swoich zasad. Zauważyłam w każdym razie, że rzeczywistość nie zawsze daje się skonfrontować z jego maksymami.

W każdym razie, ta książka powinna być najważniejszą lekturą w szkole. Tak mi się wydawało. Ale nawet nie odważyłam się o tym powiedzieć w swojej klasie, bo reszta pewnie znowu by na mnie popatrzyła jak na głupią. Czasem brałam tę książkę ze sobą do szkoły. Któregoś razu czytałam ją na lekcji, bo mi się wydawało, że znajdę w niej odpowiedź na jedno pytanie, które padło w czasie zajęć. Nauczyciel to zobaczył, spojrzął na tytuł i od razu mi ją zabrał. Kiedy chciałam ją po lekcji odebrać, powiedział: - Panienska czytuje sobie na lekcjach pornografię, tak? Książkę konfiskuję. - Autentycznie tak powiedział. Nazwisko Fromm nic mu nie mówiło albo co najwyżej kojarzył je z prezerwatywą.² A tytuł O sztuce miłości od razu mu oczywiście zasugerował pornografię. No bo z czym się tym sfrustrowanym facetom może kojarzyć miłość? Więc był przekonany, że ta stara narkomanka i puszczałka zamierza zdemoralizować pornografią wszystkie dzieci w klasie.

Następnego dnia przyniósł mi książkę z powrotem i powiedział, że jest wprawdzie w porządku, ale mimo wszystko nie powinnam jej więcej przynosić do szkoły, bo tytuł jest taki dwuznaczny.

Były takie sprawy, które jeszcze bardziej mnie załamywały niż ta właściwie nieistotna historia z książką Fromma. Narobiłam sobie sęków u dyrektora. To też był taki kompletnie sfrustrowany i zakompleksiony facet. Nie miał najmniejszego autorytetu, chociaż był dyrektorem. Starał się to zrównoważyć dyscypliną i wrzaskiem. Jak mieliśmy z nim rano lekcję, to najpierw musieliśmy odśpiewać jakąś pieśń, a potem zrobić gimnastykę. Twierdził, że to dla rozruszania się. Dobre oceny dostawało się u niego tylko wtedy, jak się mówiło dokładnie to, co on podyktował.

Mieliśmy z nim też lekcje śpiewu. Raz chciał nam zrobić przyjemność i powiedzieć coś o muzyce, która nas interesuje. Zaczął bez przerwy powtarzać coś o „współczesnej muzyce jazzowej”. Zupełnie nie wiedziałam, o co mu chodzi. Myślałam, że może myśli o muzyce pop, więc mówię: - Co pan ma na myśli mówiąc o współczesnej muzyce jazzowej? Przecież pop i rock to całkiem co innego niż jazz. - Może znowu powiedziałam coś nie tym tonem, co trzeba. Właściwie chyba znów zaczęłam gadać nie zastanowiwszy się, co właściwie chcę tym gadaniem uzyskać. W każdym razie dyrektor z miejsca się zapienił. Zaczął się drzeć jak wściekły i wywalił mnie za drzwi.

Jeszcze w drzwiach próbowałam załagodzić sprawę i mówię: - Prawdopodobnie nie

² Fromm - potoczne określenie prezerwatywy (od nazwy firmy, która je produkuje)

zrozumieliśmy się do końca. - Ale nie pozwolił mi wrócić i całą lekcję przesiedziałam na dworze. W każdym razie na tyle jeszcze panowałam nad sobą, że nie poszłam od razu do domu.

Na następnej lekcji wywołali mnie do gabinetu dyrektora. Jak tylko weszłam, od razu zobaczyłam, że trzyma w ręku skoroszyt. Jak podeszłam, to od razu stało się dla mnie jasne, że to znowu te moje akta z Berlina. Dyrektor przerzucał kartki w skoroszytcie i udawał, że czyta. Potem powiedział, że tu nie Berlin, a poza tym i tak jestem w jego szkole tylko gościem. I w tej sytuacji w każdej chwili może mnie wyrzucić. Tak, że powinnam się zachowywać jak gość.

Po tym wszystkim miałam już kompletnie dosyć. W ogóle nie chciałam już chodzić do szkoły. W końcu nawet o wiele drobniejsze sprawy potrafiły mnie wyprowadzić psychicznie z równowagi. Nie byłam w stanie dojść z tym do ładu. Nie potrafiłam sobie wytłumaczyć, że ten idiota dyrektor w ogóle nie powinien mnie obchodzić. No bo jak broni się przede mną tymi aktami, to właściwie jest jeszcze słabszy niż ja.

W każdym razie po tym incydencie znowu straciłam wiarę w cokolwiek. Dotychczas, pod wpływem tego mojego przyjaciela, zamierzałam po uzyskaniu dobrego świadectwa ukończenia swojej szkoły starać się o przyjęcie do szkoły zintegrowanej. Mimo, że wiedziałam, jakie niesamowite trudności ma taki uczeń szkoły zasadniczej, jak się chce dalej uczyć. A potem nie chciałam już słyszeć o żadnej szkole. Byłam pewna, że nic by z tego nie wyszło. Testy psychologiczne, specjalne zezwolenie kuratorium i kupa innych rzeczy, które trzeba mieć, jak się nie chce skończyć na szkole zasadniczej. No i wiedziałam przecież, że te moje akta z Berlina trafią za mną wszędzie, gdzie tylko pójde.

Miałam tego bardzo rozsądnego przyjaciela, powoli zaczęłam nawiązywać kontakty z moimi rówieśnikami ze wsi, którzy w pewien sposób mi nawet odpowiadali. Byli bardzo różni ode mnie. A w każdym razie jakoś bardziej w porządku niż ci z miasteczka. Autentycznie było między nimi jakieś poczucie wspólnoty. Nawet zorganizowali sobie własny niewielki klub. Tam nie było szpanerów. Wszystko opierało się jeszcze na mniej lub bardziej staromodnym porządku, chociaż czasem chłopaki pili za dużo. I większość mnie zaakceptowała, chociaż byłam całkiem inna od nich.

Przez jakiś czas mi się zdawało, że będę mogła stać się taka jak oni albo jak ten mój przyjaciel. Ale długo w tym nie wytrzymałam. Z tym przyjacielem wszystko się skończyło, kiedy w końcu zachciało mu się ze mną przespać. Nigdy bym się na to nie zdobyła. Po prostu nie umiałam sobie wyobrazić, że miałabym się przespać z kimś innym poza Detlefem. To znaczy, że ciągle jeszcze go kochałam. Dużo o nim myślałam, chociaż nie chciałam myśleć.

Czasami pisałam do niego listy, które chciałam adresować na Roifa, tego stałego klienta Detlefa, u którego ostatnio mieszkał. Ale miałam jeszcze tyle rozsądku, żeby ich jednak nie wysyłać.

Potem dowiedziałam się, że Detlef znowu siedzi w pudle. Stellę też wsadzili.

Dużo myślałam o Detlefie i Stelli, poza tym w okolicy znalazłam ludzi, którzy odpowiadali mi jeszcze bardziej niż moi rówieśnicy z wioski. Lepiej się z nimi rozumiałam, łatwiej było mi z nimi pogadać o moich problemach. W pełni mnie akceptowali i nie musiałam się bać, co to będzie, jak dowiedzą się o mojej przeszłości. Patrzyli na świat mniej więcej tak samo jak ja. Nie musiałam się zmieniać ani dostosowywać. Emocjonalnie byliśmy na tej samej długości fali. Mimo wszystko początkowo broniłam się przed zbyt bliskimi kontaktami, bo oni eksperymentowali z narkotykami.

Moja mama, ciotka, nawet ja sama, my wszystkie sądziłyśmy, że znalazłam się w takim zakątku Niemiec, gdzie nie ma śladu narkotyków. W każdym razie na pewno „twardych”. Jak pisali w gazetach coś o heroinie, to zawsze mowa była o Berlinie albo Frankfurtach. Ja też myślałam sobie czasem: Jesteś tu jedyną byłą ćpunką na paręset kilometrów kwadratowych.

Ale już po pierwszej wyprawie z ciotką na zakupy zmieniłam zdanie. Na początku 1978 pojechałyśmy na zakupy do Norderstedt, takiego nowego miasta-sypialni w pobliżu Hamburga. Jak zawsze, będąc pierwszy raz w nowym otoczeniu, przyglądałam się takim co bardziej frymuśnie ubranym chłopakom. Zastanawiałam się: Ćpa, pali hasz, czy po prostu student? W Norderstedt weszłyśmy do baru szybkiej obsługi, żeby zjeść smażoną kiełbasę. Przy jednym ze stolików siedziało paru kasztanów. Dwóch z nich nagle wstało i przesiadło się do innego stolika. Nie wiem dlaczego, ale od razu miałam wrażenie, że coś tu kręcą z herą. Jakoś tak wiedziałam, jak się zachowują kasztany, kiedy jest sprawa z herą. Zmusiłam ciotkę, żebyśmy stamtąd wyszły, nic jej nie mówiąc o swoich podejrzeniach.

Sto metrów dalej, przed sklepem dzinsowym, wpakowałyśmy się w sam środek „rynku” Norderstedt. Ja oczywiście od razu skapowałam, że tu aż gęsto od ćpunów. Potem z kolei zaczęło mi się wydawać, że oni wszyscy się na mnie gapią i, że od razu wyczuli we mnie ćpunkę. Normalnie dostałam szajby. Wpadłam w kompletną panikę. Złapałam ciotkę za ramię i mówię jej, że muszę się stąd natychmiast wydostać. Ona też coś pokapowała i do mnie: - Dlaczego, przecież ty już nie masz z tym nic wspólnego. - Ja na to: - Przestań. Nie jestem jeszcze gotowa do takiej konfrontacji.

To było wtedy, kiedy już nie myślałam o ucieczce. Kiedy na serio uważałam, że nigdy już nie będę miała nic wspólnego z heroiną. Zaszokowało mnie, że oni mnie rozpoznali. W

domu natychmiast wyskoczyłam ze swoich łachów i starłam z twarzy makijaż. Nie założyłam już swoich butów na wysokim obcasie. Od tego dnia starałam się wyglądać tak, jak dziewczyny z mojej klasy.

Ale potem i tak coraz częściej zaczęłam bywać w klubie razem z tymi ludźmi, którzy palili hasz i brali kwas. Raz zapaliłam sobie z nimi, innym razem nie. Weszłam do bezbłędnej paczki. Większość to byli ludzie uczący się zawodu. Pochodzili z okolicznych wsi. Wszyscy mieli bańki nie od parady. Nie byli tacy kompletnie otepiali, jak większość tych z mojej szkoły. Autentycznie potrafili myśleć. Rozmowy z nimi dużo mi dawały. Przede wszystkim w paczce nie było tej całej brutalności. Wszystkie agresje zostawały gdzieś daleko. U nas była atmosfera przyjaźni.

Zapytałam kiedyś zupełnie idiotycznie, dlaczego nie może być tak samo bez przytruwania się prochami. Odpowiedzieli mi wtedy, że to naprawdę głupie pytanie. Jak inaczej wyłączyć się z tego bagna, jakie mamy na co dzień?

Wszystkich oprócz jednego chłopaka niesamowicie frustrowała praca. Ten jeden był w związkach zawodowych i wybrali go na męża zaufania do spraw młodzieży w tym jego zakładzie. On widział sens w tym, co robi przez cały dzień. Występował w imieniu innych młodych z zakładu i znajdował w tym samopotwierdzenie. Sądził też, że społeczeństwo można zmienić. Często nawet nie potrzebował jointa, żeby złapać dobry nastrój i tylko wypijał parę łyków czerwonego wina.

Reszta w ogóle nie widziała sensu w tym, co robi. Bez przerwy mówili o rzuceniu nauki. Tyle, że nie wiedzieli, co dalej. Wracali z pracy sfrustrowani i agresywni. Jak potem siedzieliśmy razem i któryś zaczynał opowiadać o aferach z majstrem czy o innych takich, to ktoś zaraz mówił: Może byś przestał truć o tej robocie. Potem szła w kółko fajeczka i dopiero wtedy czuli, że są po fajrancie.

Ja miałam o wiele lepiej niż oni. Czasem nawet szkoła sprawiała mi przyjemność. Z drugiej strony było ze mną tak jak z nimi. Od kiedy stało się jasne, że nie mam szans ani na maturę, ani na szkołę realną, też już tak za bardzo nie wiedziałam, po co mi to uczenie się i cały ten wysiłek. I zdawałam sobie sprawę, że jako była narkomanka, nawet, żebym miała nie wiem jakie świadectwo ukończenia szkoły zasadniczej, to i tak nie dostanę takiej pracy, jaką bym chciała.

Świadectwo ukończenia miałam nawet całkiem niezłe. Ale na naukę zawodu mnie nie przyjęli. Zaproponowali tylko jakieś prace dla niewykwalifikowanych. Coś z mocy ustawy, która miała trochę rozładować problem bezrobotnej młodzieży. Nie ćpam już prawie od roku. Ale oczywiście wiem, że to musi potrwać nawet parę lat, zanim człowiek będzie naprawdę

„czysty”. Jak na razie nie mam większych problemów.

Kiedy tak sobie siedzimy wieczorem całą paczką, popijamy czerwone wino, fajka z haszem okrąży parę razy całe towarzyszo, to te codzienne problemy kompletnie gdzieś giną. Rozmawiamy o przeczytanych książkach. Zajmujemy się czarną magią, parapsychologią i buddyzmem. Po prostu szukamy ludzi, którzy fajnie żyją, żeby się od nich czegoś nauczyć. Bo nam jest raczej dosyć parszywie.

Jedna z dziewczyn z naszej paczki chodzi do szkoły pielęgniarstwa I przez nią trafiają do nas różne prochy. Przez jakiś czas znowu brałam valium. Kwasy nie ruszam, bo się boję, że dostanę koszmaru. Innym najczęściej jest bardzo fajnie na LSD.

W najbliższym miasteczku nie ma rynku twardych narkotyków. Jak ktoś bierze, to musi zasuwać do Hamburga. Na miejscu nie ma też nikogo, kto by rozprawiał herę. Czyli, że nie ma się takiego łatwego dostępu do niej, jak w Berlinie, Hamburgu czy nawet w Norderstedt.

Ale jak ktoś chce dostać herę, to oczywiście nie ma żadnych trudności. Paru ludzi ma dobre kontakty. Czasem trafi się też dostawca, który ma przy sobie niemal przenośny sklepik z narkotykami. Jak się człowiek zapyta takiego, czy ma coś do ćpania, to słyszy w odpowiedzi: - A co chcesz? Valium, valerian, hasz, kwas, spidy czy herę?

Wszyscy z naszej paczki twierdzą, że w pełni kontrolują swoje sprawy z narkotykami. W każdym razie jest już trochę inaczej niż te trzy, cztery lata temu w Gropiusstadt.

Ta wolność, którą nasza paczka uzyskuje dzięki narkotynom, jest już trochę innego rodzaju. Nie potrzebujemy już „Soundu”, żeby dawać się ogłuszać potwornie głośną muzyką. Dla ludzi z tej paczki udawanie, że się jest wolnym wśród błyskających reklam na Kurfürstendamm, to kompletne dno. Wszyscy nienawidzimy miasta. Jesteśmy całkiem zwariowani na punkcie przyrody. W weekendy jeździmy sobie samochodem po całym Szlezwiku-Holsztynie, łazimy po różnych miejscach, aż w końcu uda nam się znaleźć coś absolutnie obłędnego. Często jesteśmy na bagnach w takich miejscach, do których poza nami nikt się jeszcze nie dostał.

Ale najbardziej bezbłędna jest nasza kopalnia wapienia. Niesamowita jama pośrodku okolicy. Prawie kilometr długości, ze 200 metrów szerokości, a głęboka chyba na sto metrów. Ściany są pionowe. Na dole jest bardzo ciepło. Ani wiatru. Na dole rosną takie rośliny, jakich nigdzie indziej nie spotkaliśmy. Niesamowicie czyste strumyki płyną przez tę niesamowitą dolinę. Ze ścian tryskają wodospady. Woda zabarwia białe ściany na rdzawoczerwony kolor. Wszędzie leżą białe odłamki, które wyglądają jak kości jakichś potworów i może to nawet są kości mamutów. Olbrzymia koparka i taśmociągi, które na co

dzień robią tyle denerwującego hałasu, w weekendy wyglądają tak, jakby od wieków nikt ich nie używał. Wapienny pył i tak już dawno pokrył je białą warstwą.

W tej niesamowitej dolinie jesteśmy zupełnie sami. Od reszty świata odgradzają nas pionowe ściany. Nie dochodzi tu żaden dźwięk z zewnątrz. Jedynym dźwiękiem jest szum wodospadów.

Zawsze sobie wyobrażamy, że po zakończeniu eksploatacji kupujemy tę kopalnię. Wybudowalibyśmy sobie na dole chałupy, założylibyśmy olbrzymi ogród, trzymali zwierzaki i mieli wszystko, czego trzeba do życia. Jedyną drogę prowadzącą na dno kopalni chcielibyśmy wysadzić w powietrze.

Bo i tak nie mielibyśmy ochoty wrócić kiedykolwiek na górę.